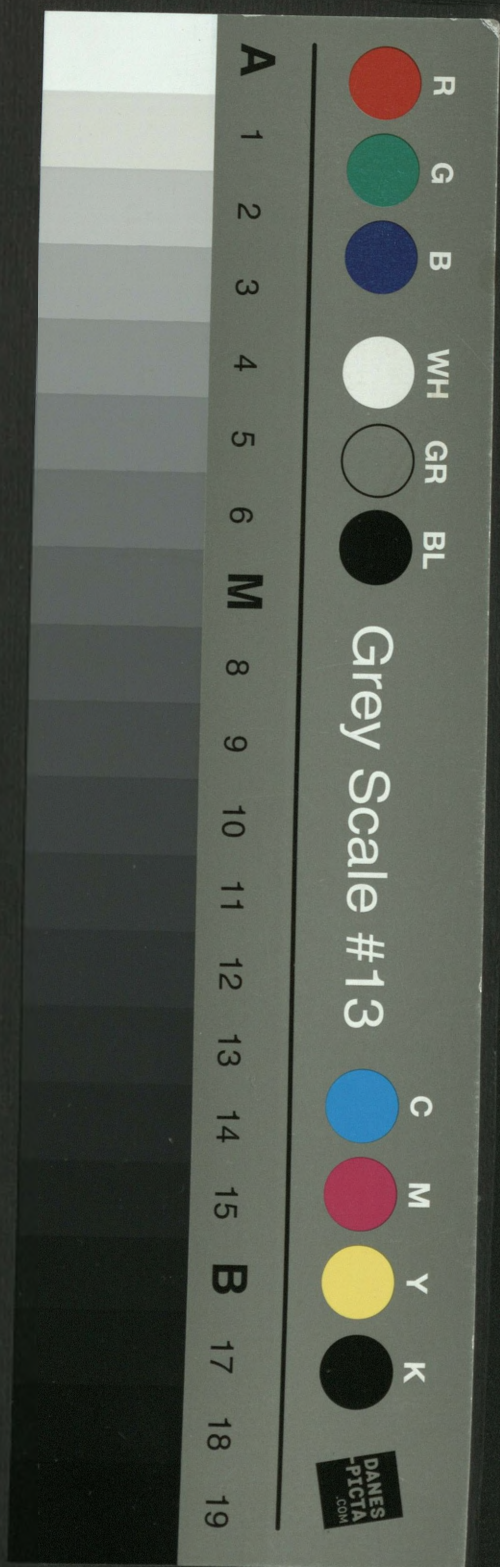
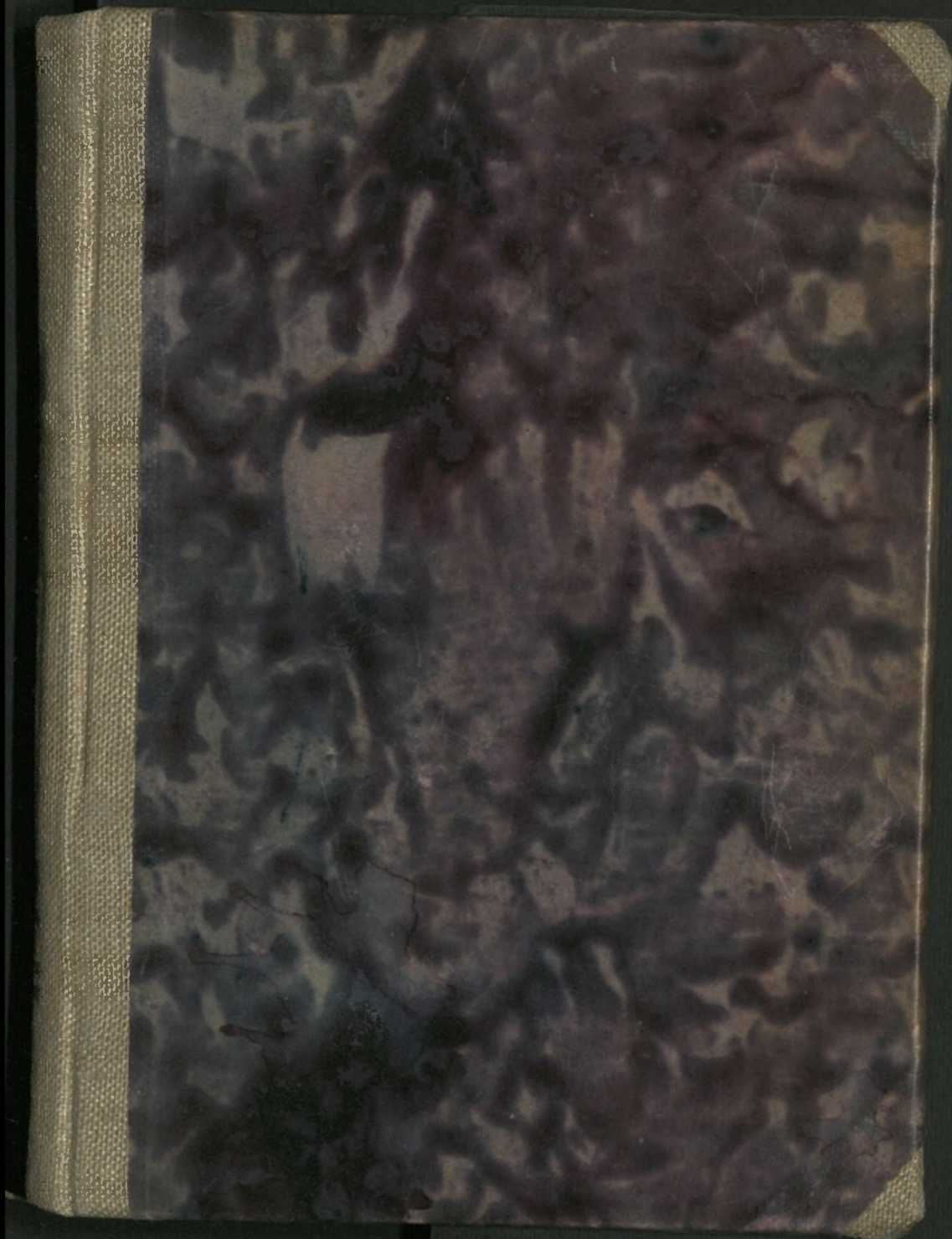
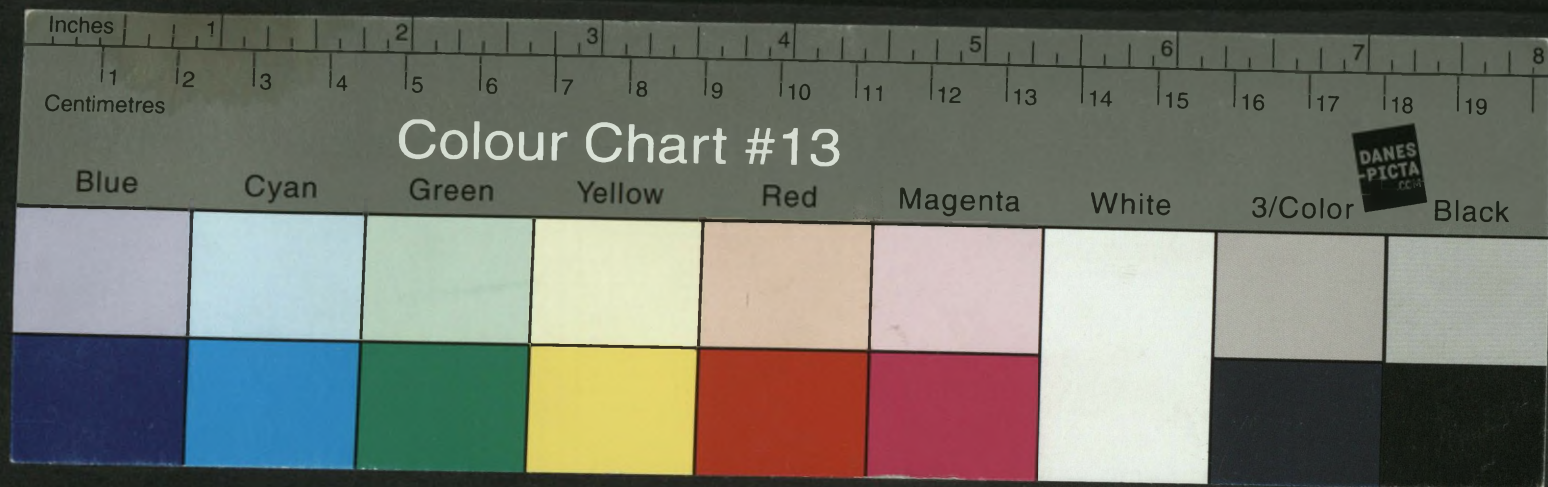


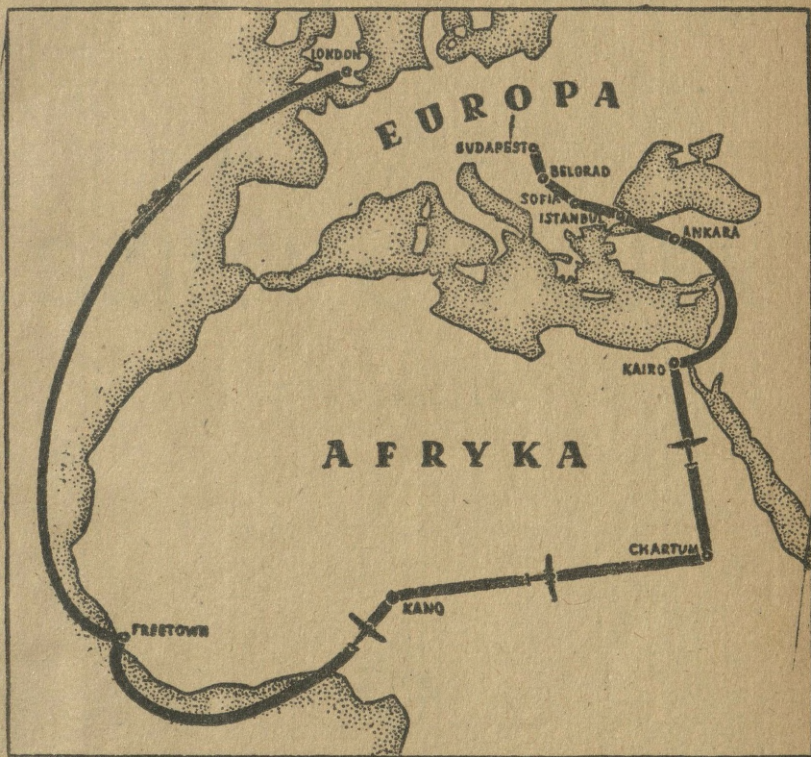


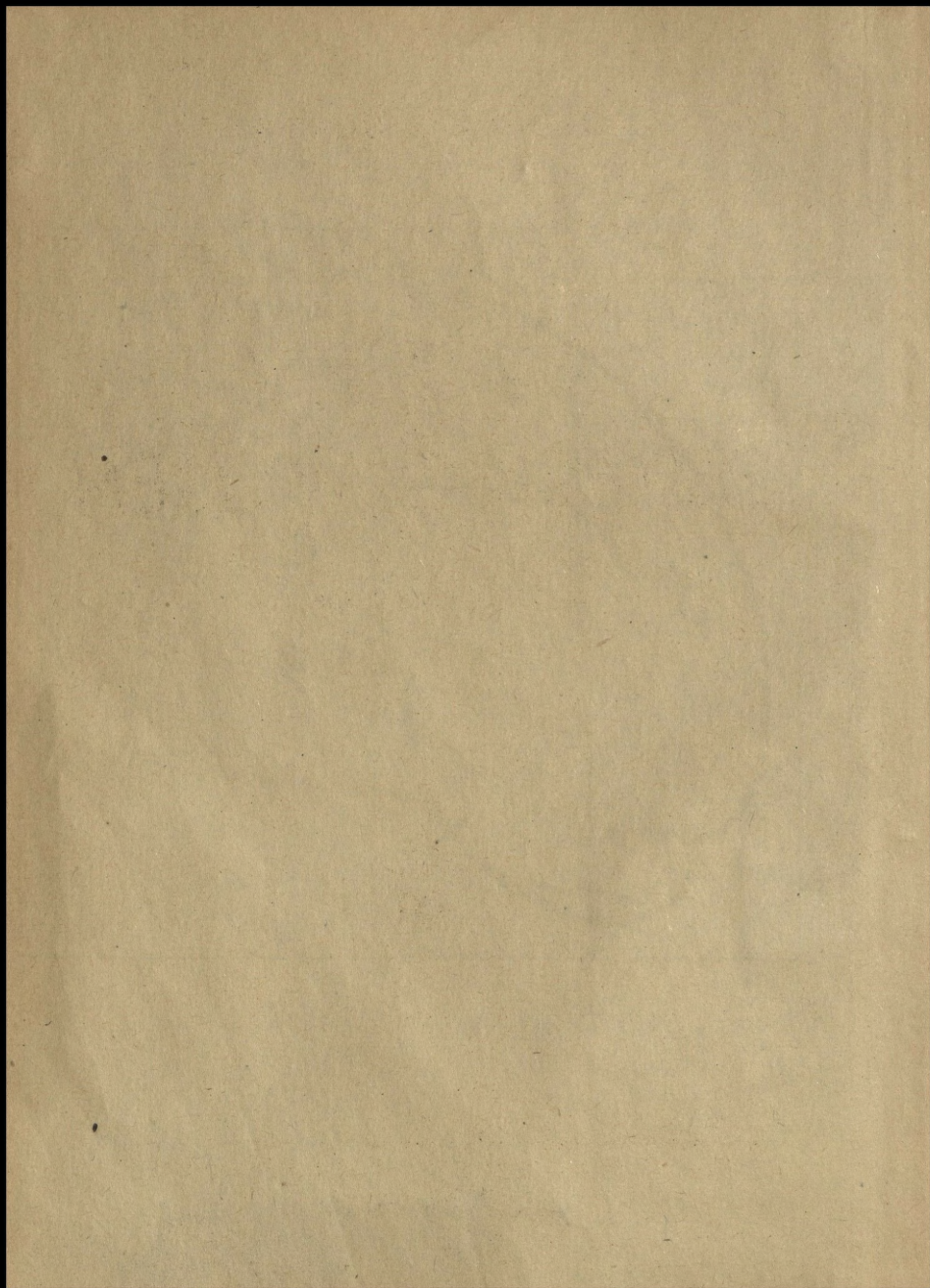


Doc. No 101279

5/5 59

G. T. 10/12





KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

BIBLIOTEKA F.D.A.

Warszawa, Pl. Narutowicza 5

Nr. Inw. 1188 Nr. 1149

PRZEZ DZIESIĘĆ WOJEN

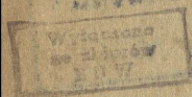
Z ILUSTRACJAMI



K R A K Ó W 1 9 4 7

SPOŁDZIELNIA KSIĘGARSKA
„CZYTELNIK”

884-3: 92



PRINTED IN POLAND
OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ ADAM HOFFMAN
RYSUNKI — STANISŁAW OSTROWSKI

10028/1



M—16524

Drukarnia Państwowa Nr. 1, Kraków, Wielopole 1.

2. 460/58
6. xii

DO CZYTELNIKÓW „ROKU ZIEMI OBCEJ”

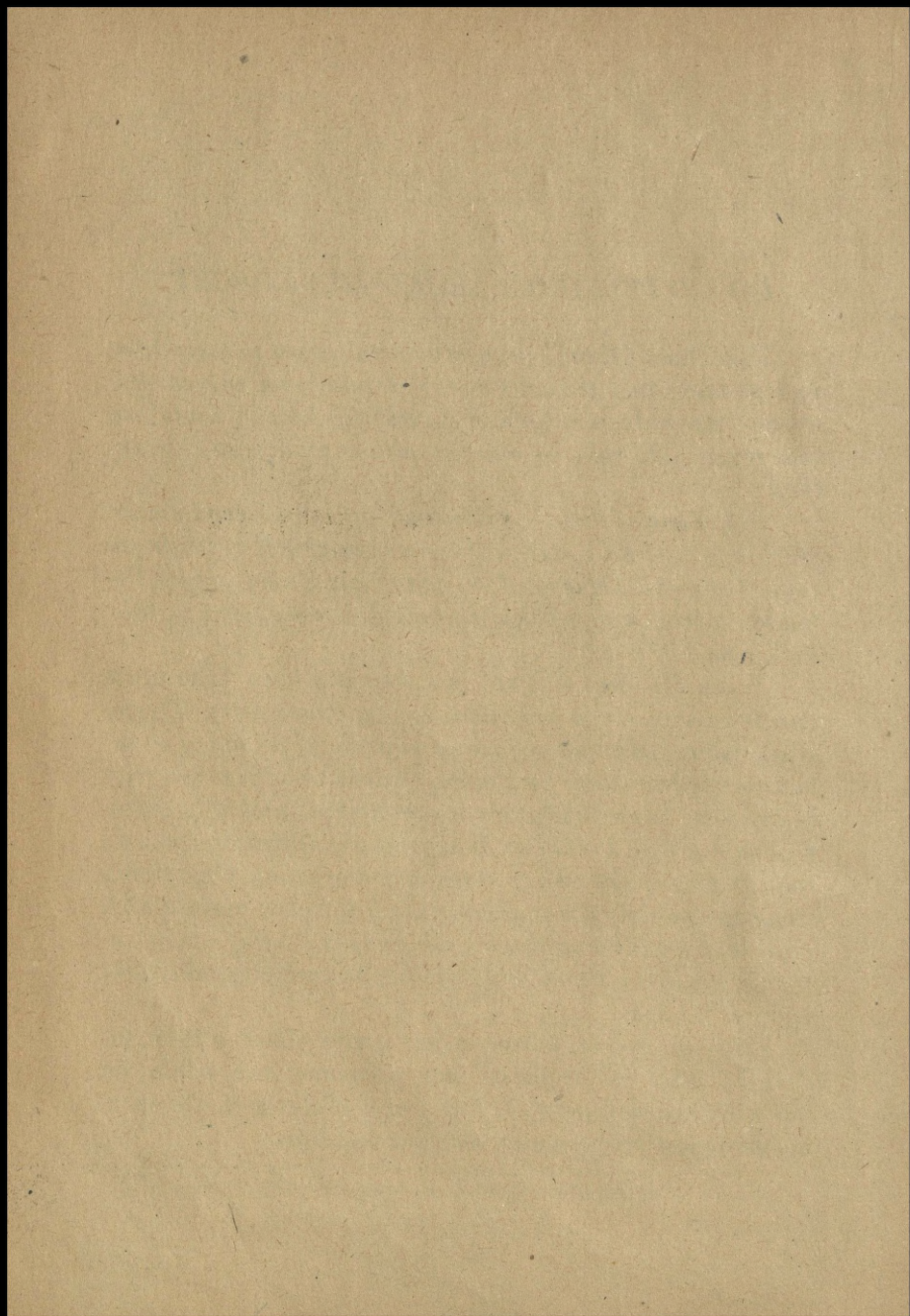
„Rok Ziemi Obcej” przyjęty został przez czytelników nadspodziewanie przychylnie. Nakłada to na autora obowiązek uprzedzenia tych wszystkich, którzy niniejszy tom wezmą do ręki — o nieco odmiennym jego charakterze.

„Rok Ziemi Obcej” próbował opisywać środowisko polskiego wojska i szerokich rzesz emigracji w trudnym roku 1940—41. Opisywał on przeżycia dużej grupy Polaków, wśród których każdy czytelnik miał swoich bliskich i najbliższych.

„Przez Dziesięć Wojen” jest książką inną. Obejmuje ona ten okres mego wojowania, gdy opuściwszy Wyspy Brytyjskie, odłączywszy się od emigracyjnej masy — samotnie wędrowałem ku Polsce. Podróż wiodła przez wiele krajów, gdzie spotykałem niewielkie, niekiedy parosobowe grupy Polaków. Wszyscy oni spełniali doniosłą rolę w skomplikowanej maszynie wojennej. Czytelnicy w Kraju po dziś dzień niewielkie lub żadne mają o nich pojęcie. Stosunkowo mało osób znajdzie tutaj opisy sytuacji, krajów i atmosfery w jakiej przyszło w roku 1941 żyć ich bliskim.

Mimo to, myślę, iż warto jest opomiedzić o tych ludziach, gdyż ich wysiłki, acz podejmowane zdala od wielkich skupisk polskiej Emigracji Walczącej, dla sprawy Zwycięstwa — wcale miały znaczenie.

K. K.



CUP OF TEA

Okręt, którym wyruszyłem w pierwszy etap powrotnej podróży do Kraju, był niewielkim handlowcem holenderskim. Nazwy jego dziś już nie pamiętam. Osobliwością tego frachtowca, rzucającą się w oczy, był ładunek, który w ogromnych skrzyniach sterczał na pokładzie. Skrzynie wysokie na trzy metry, długie co najmniej dwa razy tyle, o szerokości stosunkowo nieznacznej. Laikowi trudno było domyśleć się ...poskładanych samolotów. Na naszym okręcie skrzyń takich leżało cztery. Dwie na przednim, dwie na tylnym pokładzie. Z zachowaniem wszelkich przepisów tajemnicy wojskowej... miały wyraźnie wymalowane miejsce przeznaczenia: Takoradi.

Takoradi — nazwę tę słyszałem przedtem parę razy, lecz nie potrafiłem jej zapamiętać. Teraz dopiero, sylabizując po wjelekroć, nauczyłem się dokładnie wymawiać cel mojej morskiej wędrówki. Miała to być niewielka miejscowość w brytyjskiej zachodnio-afrykańskiej kolonii, leżąca trzy stopnie na północ od równika. A teraz, opuszczając mały szkocki port Leven, położony między Edinburgh a St. Andrews, — znajdowaliśmy się mniej więcej pod 56 stopniem. Ładny kawałek drogi przed nami... I do tego z tak łakomym dla łodzi podwodnych ładunkiem... Już poczyniałem wyobrażać sobie, jak mnie i moje szacowne walizy dyplomatyczne, starannie obgryzają ryby w lodowatym oceanie.

Chwilowo jednak nie zanosiło się na to. Okręt wypłynawszy z portu posuwał się na północ z lekkim odchyleniem ku wschodowi. Płynęliśmy wzdłuż północno-wschodniego wybrzeża Wielkiej Brytanii. Płynęliśmy wbrew memu oczekiwaniu zupełnie sami. Okazało się jednak, iż nasza właściwa droga jeszcze się nie rozpoczęła. Zmierzamy dopiero na miejsce zbiórki wszystkich okrętów, które tworzyć będą transoceaniczny konwój.

Holenderski okręt był skromnym wehikułem morskich podróży. Daleko mu było do luksusu, jakim przeważnie odznaczają się statki wyłącznie pasażerskie. Byliśmy tutaj tylko dodatkiem do towaru. Dodatkiem, któremu przeznaczono na mieszkanie sześć kajut dwuosobowych i jedną messę, będącą równocześnie jadalnią, bawialnią i bufetem. Ten niewielki przybytek zaludniało dziewięć osób, tak zwanych pasażerów.

W tym czasie korzystać z tak ważnych środków komunikacji i transportu, jakim są okręty, można było tylko za specjalnym pozwoleniem ministra marynarki, a dostać je mogli jedynie ci, których podróże związane były z wysiłkiem wojennym Wielkiej Brytanii. Na nasze dziewięć-osobowe grono złożyły się więc następujące osoby, nieodzwonne dla brytyjskiej wojny: najpierw kobieta — jedna jedyną wśród nas, młoda niewiasta udająca się do Afryki w charakterze pielęgniarki szpitalnej, panna w miarę brzydka, w miarę zgrabna, jak przystało na dzielną przedstawicielkę angielskiej klasy średniej, powiedzmy drobnomieszczańskiej. Była ona miłą towarzyszką podróży zarówno w słowie, jak czynie.

Towarzyszami jej przy stoliku w jadalni — prócz kapitana, tłusciutkiego Holendra — było dwóch reprezentantów brytyjskiej marynarki wojennej, którzy z urlopu wracali do swych baz. Jeden rzeczywiście „morski” ma-

rynarz, drugi natomiast, widocznie celem zachowania należytej równowagi psychicznej, przeniósł się właśnie niedawno z łodzi podwodnych do „Navy Air Forces” — do lotnictwa marynarki. Niewątpliwie ten zażywnie wyglądający jegogomość lubił skrajności. Obaj panowie komandorzy byli klasycznymi przedstawicielami dwóch anglosaskich typów fizycznych. „Marynarz wyłączny” reprezentował czysty „anglizm”, tak jak zwykliśmy sobie wyobrażać na podstawie rysunków w książkach kryminalnych dla młodzieży: — wysoki, chudy, o przeraźliwie wystających kościach policzkowych, na dodatek mówiący tak niewyraźnie, iż nawet jego angielscy koledzy nie byli w stanie zrozumieć tego seplenienia. Z czasem przekonałem się, iż miał on jednak pewne zalety, które odróżniały go od typowych Anglików. Drugi natomiast „podwodny lotnik” był grubaskiem okrągłym na twarzy, blondynem z zadartym nosem, o zaroście mającym zdecydowanie rude skłonności.

Nasz stolik — drugi i ostatni w messie — składał się już wyłącznie z mężczyzn. I to w większości cywilów. Miał jedynej kobiety — mieliśmy wśród nas jedyne go podporucznika marynarki, przytem mego sąsiada w kajucie. Był to młodziutki chłopak, syn glasgow'skiego przedmieścia, dopiero co upieczony absolwent oficerskiej szkoły marynarskiej. Jechał na objęcie swej pierwszej w życiu samodzielnej służby, na którymś z okrętów wojennych. Młodziutki poruczniczek, niewielkiego wzrostu, pulchny i różowy, był na ogół bardzo pewny siebie, przy naszym cywilnym stoliku, i równocześnie bardzo jednak nieśmiały wobec dwóch wilków morskich — komandorów, z których jeden „marynarz wyłączny” pasjami lubił znęcać się nad młodzieńcem. To — jakby w kawalerii polskiej rzekli — „cukanie”, miało zupełnie specyficzną postać. Komandor dręczył mego współlokatora wymowa,

czysto londyńskiego akcentu której biedny glasgow'czyk absolutnie nie był w stanie zrozumieć. Męcząc się niewymownie, zmuszony był prosić komandora o powtarzanie zdań czy pytań; powtarzanie kończyło się zwykle na spelowaniu. Z biedaka pot spływał, a stary wilk morski uśmiechał się pogardliwie, zapalając rytualną fajkę.

Grono cywilów składało się prawie wyłącznie (wyjątkiem byłem właśnie ja!) z czterech agentów handlowych, jednego młodego zupełnie, dwóch w średnim wieku i jednego starszego, którzy jechali do Afryki, dbać tam o to, by finansowe interesy ich ojczyzny nie poniosły strat zbyt wielkich. Byli to mężczyźni nie wyróżniający się niczym szczególnym, jakich zawsze można spotkać wśród wszystkich białych narodów kuli ziemskiej i zawsze określić „typowymi dla danego narodu“.

Wreszcie byłem — ja. Opatrzony paszportem dyplomatycznym na jedno z tych najbardziej międzynarodowych nazwisk, w każdym języku jednakowo pisanych a inaczej wymawianych, i z celem podróży — polskim poselstwem w Belgradzie, gdzie jakoby miałem rozpocząć mą dyplomatyczną karierę. Ponadto miałem dwie potężne walizy dyplomatyczne — po brzegi wyładowane pocztą do Kraju, instrukcjami, szyframi no i — przede wszystkim — dziesiątkami tysięcy dolarów, we wszelkich możliwych odcinkach.

Tak obładowany ruszył nasz okręt w swoją podróż, kierowany — jak przystało na holenderski statek — przez holenderskiego kapitana, który z prawdziwą rozpaczą w pocziwych, tłuszcem oblepionych oczach, raz po raz wspominał żonę i dzieci, pozostałe w Haarlemie, pod Niemcami; ponadto dwóch oficerów holenderskich, jednego stewarda bliżej nieokreślonej narodowości i co najmniej przez dwa tuziny marynarzy wszelkich odcieni skóry — począwszy jednak nie od białej, lecz żółtej.

Dwa dni płynęliśmy zupełnie sami przy spokojnej, nawet słonecznej pogodzie. Opływaliliśmy dokoła całą Szkocję, której niewysokie góry stale dawały się widzieć przez szkła lornetek.

Życie nasze ułożyło się już zdecydowanie monotennie i, — jeżeli nie będzie żadnych zasadniczych katastrof, — w tych ramach upłynie nam aż do samego końca. Jego cechą zasadniczą jest „cup of tea or cup of coffee“, regulujące okresy dnia.

O szóstej rano kelner, pomocnik stewarda, budzi brutalnie z najlepszego snu, by podetknąć wściekle słodką, zaprawioną skondensowanym mlekiem „cup of tea“. Potem możemy spać dalej. Śniadanie podają między godziną 9-tą a 10-tą rano. I tu zaczyna się raj dla obżartuchów. Na okrętach nie obowiązują żadne restrykcje jedzeniowe, przeciwnie niż w Wielkiej Brytanii. Okręty mają przepaściste spiżarnie, które zaopatrują w zamorskich krajach, nie bacząc na ograniczenia. I tak w spiżarni nie będzie się wieść karabinów maszynowych, armat czy samolotów! Można ją tedy zapełniać na pokojową miarę.

Je się więc na śniadanie sakramentalne „porridge“, dalej różne gatunki ryb, biały chleb pszenny w dowolnych ilościach w asyście niezliczonych odmian jamów i serów, na koniec do wyboru herbata, kawa lub kakao. Zjadłszy śniadanie nie robi się nic (można czytać lub spacerować), tylko czeka się do godziny wpół do dwunastej, gdy, bez względu na to gdzie schowasz się biedny pasażerze, dopadnie cię kelner — z „cup of coffee“. „Coffee“ niczym specjalnym nie różni się od „tea“ — słodycz skondensowanego mleka, tworzącego co najmniej 30% napoju zabija jej smak. Lunch podają o pierwszej w południe.

Składa się on z masy różnych przystawek oraz jed-

nego 'dania' zasadniczego, a na 'deser' — „cup of tea“, chleb, jamy i sery.

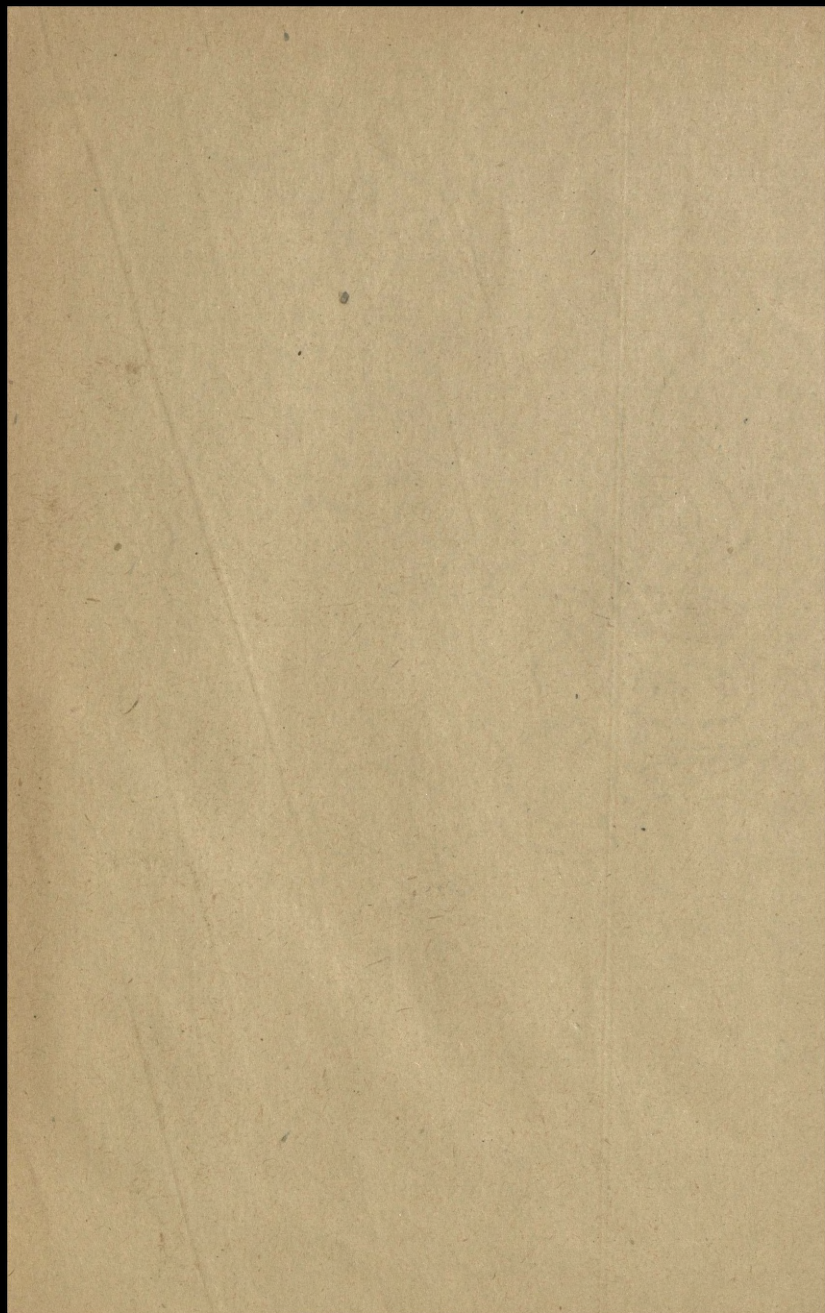
Zaraz po lunch'u, o 15-tej, znów cup of tea or cup of coffee. O piątej po południu, rytualna „tea“, którą równocześnie piją wszyscy Anglicy na całej kuli ziemskiej, obojętnie czy czujący pod stopami pokład okrętu, lód podbiegunowy, piaski pustynne, czy parkiet londyńskiego baru. Nasza „tea“, by dziwacznym zwyczajom brytyjskim stało się zadość, składa się z „cup of coffee“ i paru sucharowatych „cakes“.

Po uroczystej „tea“ lecimy wszyscy na pokład, by, w braku golfa, szybkim spacerem rozprężyć swe mięśnie strudzone całodziennym piciem herbaty. Taki spacer po pokładzie — to obiekt bardzo interesującego studium dla psychologa, a nawet i socjologa. Gdy ja — odległy Europejczyk — spacer uprawiałem powoli, traktując go jako wypoczynek po pracowicie spędzonym nad książkami dnia, — moi brytyjscy towarzysze przebiegali tam i spowrotem pokład w jakichś nader pospiesznych lansadach, robiąc kroki wielomilowe, w tempie co najmniej rowerzysty. Czterokrotnie w obie strony przelecieli pokład, nim ja dodreptałem z jednego końca na drugi. Tak odpoczywali po dniu, w czasie którego tylko siedzieli na leżakach, nie robiąc nic.

Po dwóch dniach zakotwiczyliśmy się na koniec w zatoce między brzegami górskimi, które wyglądały dziko i pustynnie. Całymi milami ciągnęły się karłowate lasy. Był to Loch Ewe na północno-zachodnim wybrzeżu Szkocji. Punkt zborny dla całego konwoju.

Pełno już tu było okrętów. Od wielkich towarowców, na pokładzie których przez lornetkę doliczyć się mogłem dwudziestu i więcej skrzyń z samolotami, do okręcików mniejszych od naszego. Były okręty z Kanady i Australii, z Liverpoolu i Capetown, Rotterdamu i Marsylii. Na





wietrze furkotały flagi wszystkich możliwych sprzymierzonych. Brak było tylko polskiej — ale parę polskich okrętów minęliśmy w porcie Leven, gdzie szykowały się też do podróży.

W sumie naliczyłem pięćdziesiąt parę statków, a miało ich być jeszcze więcej.

Spoczywaliśmy beczynn timer. Jedyne ruchy statku polegały w ciągu półtora dnia oczekiwania na przekręcaniu się dziobem to w jedną, to w drugą stronę, w zależności od przyływu i odpływu.

Wreszcie po kilkudziesięciu godzinach takiej „stójki“, wielki konwój zaczął wypływać z Loch Ewe w kierunku północnym.

Wspaniała to widok, kiedy morze ożywia się raptem ruchem tylu statków. W mniej więcej półmilowych odległościach od siebie, powoli i majestatycznie, suną morskie budowle, dzięki skrzyniom samolotowym wymodelowane w fantastyczne kształty. Wygląda to trochę na jakąś paradę w uroczyste święto narodowe. Szeregi suną z jednakową prędkością, wyrównane. Z daleka widać, jak prawie stujednostkowy konwój otoczyło parę okrętów wojennych. Ponad nami zaczynają przelatywać tam i sam lekkie bombowce wywiadowcze, należące do lotnictwa marynarki. Ich zadaniem jest wypatrywanie łodzi podwodnych w głębinach morskich, gdyż łódź pod wodą dostrzec można tylko z samolotu.

Nocą, prosto płynące okręty — zaczynają posuwać się drobnym zygzakiem. To jeden ze sposobów ochrony przed nieprzyjacielskimi torpedami.

Od następnego już rana każdy z pasażerów rozpoczyna „służbę“ przeciw łodziom podwodnym. Każdy ma trzy godziny dziennie dyżuru, który polega na wypatrywaniu, czy gdzieś na powierzchni wody nie sunie, wystawionym peryskopem, pozostawiając piankowaty ślad

na wodzie, łódź podwodna. Okręt handlowy zawczasu ostrzeżony o obecności łodzi, zawsze zdoła jej umknąć. Posiada większą prędkość poruszania. Tak strażujemy półtorej godziny dziennie na czubie, półtorej na tyle okrętu. Ponadto, prócz nas, czuwa jeszcze na maszcie, w bocianim gnieździe, marynarz. Jego obserwacje, jak się okaże, są warte najwięcej. Nasze odgrywają rolę poręczy przy wielkim moście. Nikt się ich nie trzyma, nikt na nie zwraca uwagi, a co by było, gdyby ich nie było... Poręcz dodaje tylko psychicznej pewności bezpieczeństwa. Tak samo i nasza obserwacja. Służy tylko samopoczuciu.

Przecież uważamy.

Ruszyliśmy w naszą podróż. Podróż poprzez podmorsko-powietrzną niemiecką blokadę Wysp.

MEMENTO MORI...

Całym konwojem płynęliśmy w kierunku północno-zachodnim. Prosto na Islandię. Dziwnymi torami wiodły wtedy drogi do Afryki.

Jest to podobno szlak najmniej uczęszczany przez bombowce niemieckie. A tych należy obawiać się bardziej, niż łodzi podwodnych. Ukazanie się bombowca nad konwojem nie oznacza jednak, iż zaraz rozpocznie on rzucanie bomb. Tego robić nie będzie na pewno. Zbyt wielką siłą przeciwlotniczego ognia dysponuje konwój. Działa przeciwlotnicze znajdują się nie tylko na towarzyszących okrętach wojennych, ale każdy statek handlowy i pasażerski zaopatrzony jest już teraz w przeciwlotnicze sprzężone karabiny automatyczne oraz w niewielką armatkę przeciwlotniczą. Na naszym statku niedawno wmontowane działka obsługuje kanonier brytyjski.

Ukazanie się bombowca — to niechybny znak, iż gdzieś w pobliżu czuwa łódź podwodna.

Dla marynarki najniebezpieczniejszym dziś działaniem nieprzyjaciela jest współpraca między łodzią podwodną a bombowcami. Sama łódź podwodna nie jest tak groźna, gdyż dość trudno jest jej zobaczyć okręt, trafia nań raczej przypadkowo, a jeżeli ofiara dostatecznie wcześniej zauważy ślad peryskopu — co nie jest specjalnie ciężkie — zdąży uciec. Ponadto łódź podwodna posiada ograniczony zasięg działania; ze względu na zao-

patrzenie nie może zbyt daleko oddalać się od baz. Dlatego też na wielkooceanicznych szlakach stosunkowo rzadko pojawia się jakaś łódź niemiecka. W tym wypadku korzysta ona z pomocy okrętu towarzyszącego, zaopatrującego ją w żywność, wodę i paliwo. Zlikwidowanie takiego „towarzysza“, równa się przeważnie radykalnemu unieszkodliwieniu paru operujących w jego rejonie łodzi.

Inaczej jednak, gdy łódź może działać wspólnie z wywiadowczym samolotem. Informuje on wtedy swą podwodną koleżankę o trasie posuwania się zaobserwowanych konwojów. Łódź ustawia się w odpowiednim miejscu nieruchomo, tak by peryskop, nie tnąc fali, nie zostawiał śladu — wtedy rozpoczyna się dopiero bal. Parę statków może pójść na dno, nim wykryją napastnika.

Pan Bóg jednak stanowczo musiał być Anglosasem, gdyż niebezpieczne współdziałanie podmorskiego i powietrznego wroga, ma nader ograniczony krąg działania. Wiosną 1941 roku promień współdziałania łodzi z bombowcem wynosił 600 mil od bazy. Trasą, którą płynęliśmy była stosunkowo najbezpieczniejsza — właśnie dlatego, iż najbardziej oddalona od wszelkich możliwych baz niemieckich.

Niemniej — nie należało lekceważyć niebezpieczeństwa.

Gdy tylko odbiliśmy od portu — jeden z oficerów zgromadził nas w messie i wyreżyserował ewentualną katastrofę. Każdy otrzymał już to korkową, już nadymaną powietrzem kamizelę. Rynsztunek ten należało założyć na ubranie, płaszcz i wszelkie inne stroje, gdy tylko posłyszemy sygnał alarmowy. Ponadto należy wszystko zostawić w kajucie na pastwę oceanu, zabrać jedynie pieniądze, dokumenty, koc i tym podobne utensylia, a następnie lekkim truchcikiem pobiec do jednej z czte.

rech łodzi ratunkowych, na z góry wyznaczone dla siebie miejsce. Ładować się do łodzi można dopiero na drugi sygnał alarmu. Na trzeci następuje spuszczenie łodzi na powierzchnię i... pisz do mnie na Berdyczów!...

Próby nie były jednak doprowadzane do tej ostateczności. Obejmować miały tylko dwa pierwsze stadia alarmu. Gdy już wygodnie rozsiedliśmy się w łodzi, z niechęcią niezadowolonym konstatuując jej zatłoczenie, a wobec tego raczej niemiłe perspektywy takiej podróży po oceanie — następował gwizdek odwołujący całą imprezę.

Tego rodzaju wprawki mieliśmy powtarzać odtąd co dzień. Memento mori...

Jednak złośliwy Neptun przygotowywał nam już emocje nieco innego rodzaju, choć też ze złotej serii memento mori...

Rozpoczęło się zupełnie nieoczekiwanie. Poprzedniego wieczora kładąc się do łóżka, jeszcze obserwowałam niebo nie więcej i nie mniej zachmurzone, niż zwykle w czasie tych wiosennych mgieł w północnej części Oceanu Atlantyckiego, a rano już bujaliśmy się na wszystkie cztery strony świata. Gdy wyszedłem na pokład — deszcz mżył gęsto. Mimo to jeszcze zupełnie dobrze widziałem, jak płynące po naszej lewej i prawej stronie okręty przewalały się przez spienione morze. Nie zwykłem widowsk tego rodzaju wydawać by się mogło, że lada moment okręt wyskoczy w ogóle z wody, że za chwilę wychynie koniec czuba, który przecież niemal że pionowo już wydiera się z morza. Fala jednak przechodzi z czuba pod środek okrętu. Czub opada, ale za to tył wyjeżdża w górę. Huśtawka trwa bez przerwy.

Z daleka wygląda to jednak znacznie groźniej, niż jak się jest samemu obiektem takiej zabawy. Przypuszczam, że nasz statek też musi wznosić swój czub tak nie-

samowicie wysoko do góry, a jednak gdy pełniąc przeciw-łodziową służbę stoję na nim, i przez burłę patrzę w dół — nie wygląda to tak strasznie.

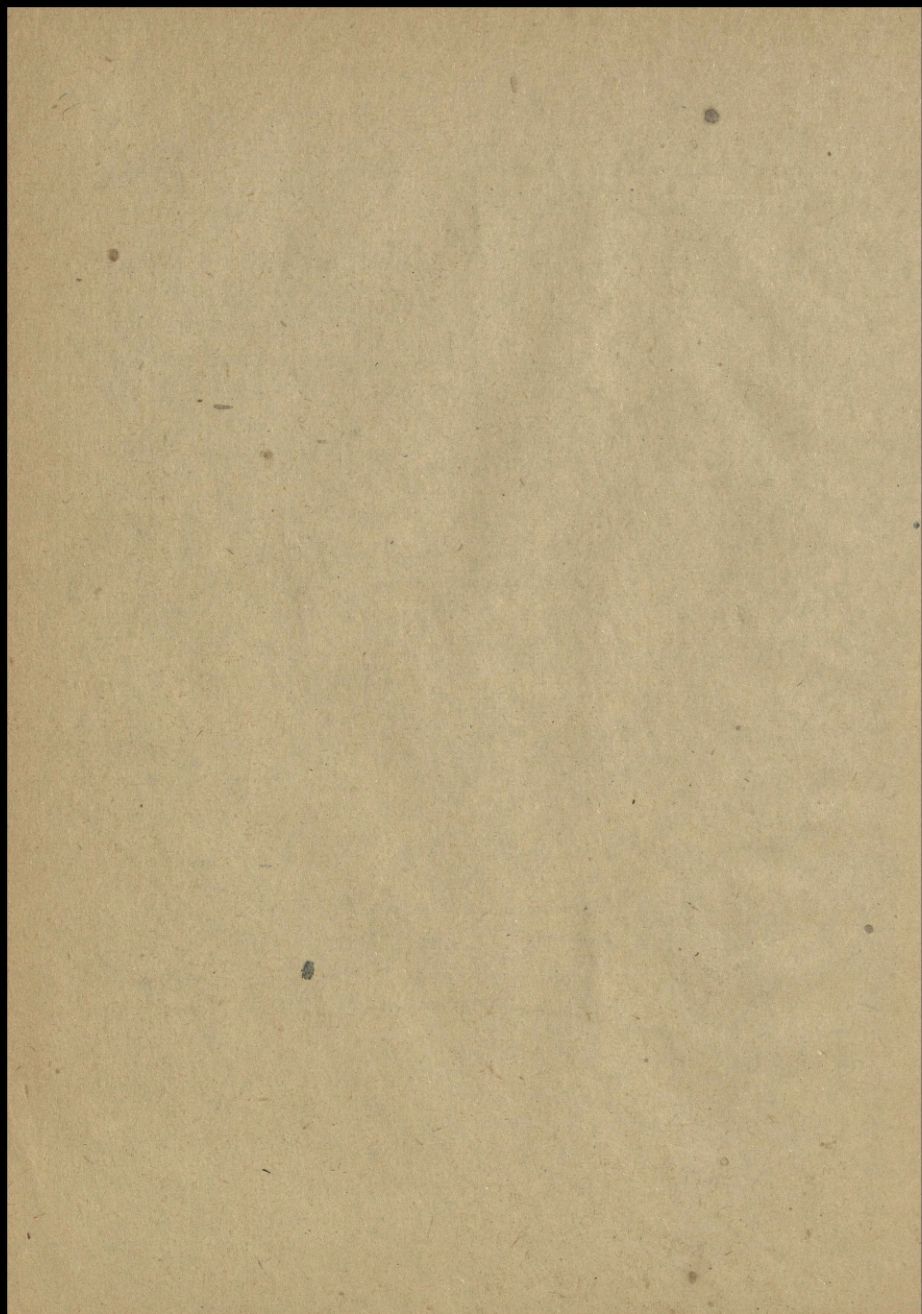
Gorzej przedstawia się jednak sprawa, gdy się stoi na tyle okrętu. Nie wiem dlaczego, ale wszystkie te frachtowce mają tył pokładu niczym nie osłonięty. Półkole pokładu w tym miejscu nie ma żadnej burty. Jak długo statek płynie spokojnie — nie odgrywa to najmniejszej roli. Teraz jednak wygląda niepokojąco. Pokład jest bliski — i jak się zacznie po nim jechać w dół — Święty Boże nie pomoże...

Całe półtorej godziny przesiedziałem wobec tego w drewnianym kojcu, gdzie umieszczona była stara, zepsuta busola. Po tym czasie musiałem jednak opuścić bezpieczny przybytek, gdyż następowała zmiana warty. Jak tylko stąpnąłem poza kojec — poślizgnąłem się na mokrych deskach i jak niepyszny zacząłem sunąć po pokładzie, w przepaścistą głębię ryczącej wody. Czulem się podobnie, jak ongiś w Warszawie, gdy wpadłem pod drugi wagon tramwaju. Też myślałem, czy zginę od razu, czy też trochę popływam po powierzchni. W ostatniej chwili zdołałem jednak uchwycić leżący na pokładzie zwój lin — zatrzymały mnie. Teraz „moja zmiana“, jeden z agentów pomógł wstać.

O mały włos a byłbym ładnie wyglądał.

Zabawa rzeczywista zaczęła się jednak dopiero drugiego dnia przy lunchu. Wtedy zaczęły chodzić po powietrzu półmiski i talerze. Towarzyszyły im krzesła i foteleki, które na tym zacnym okręcie nie były niczym przyczepione do podłogi. Stół był wyposażony w urządzenie chroniące garnitury pasażerów. Były one jednak wielce niedoskonałe. Urządzenie polegało na wysuwanej do góry, z czterech krawędzi stołu, ramce, wysokiej na jakie 3 cm. Miała ona stanowić przeszkodę dla talerzy,





zsuwających się po równi pochyłej ze stołu. Była to jednak przeszkoda nader problematyczna. Wobec gwałtownych uników stołu — zastawa po prostu unosiła się raptem w powietrzu i jeżeli któryś z jedzących nie zdążył chwycić jej w locie — lądowała poza stołem, na podłodze czy na czyichś kolanach. W rezultacie, po paru takich susach — jedzenie odbywało się metodą polegającą na trzymaniu talerza w ręku.

Talerze i krzesła wprawdzie latały po messie, jak opętane, okręt bujał się zupełnie solidnie, raz po raz jakaś bardziej agresywna fala przewalała się przez dolny pokład — w niczym to jednak nie zmieniło utartego trybu naszego życia. Boy budził regularnie o godzinie szóstej podając „cup of tea“, rozchlapującej się nam po kołdrze. Wszystkie rytualne „tea“ i „coffee“ szły swym niezmiennym trybem. I przedobiadowy (o 18 godzinie) „drink“ też odprawiał się przepisowo. Aż za przepisowo nawet — jak na mój gust. Szczególnie drugiego dnia sztormu.

Właśnie próbowałem coś czytać, siedząc na kanapie w jednym końcu messy, gdy przez drzwi, z drugiego końca, wkroczył boy niosąc pełną tacę „whisky and soda“. Dzielili nas z pięć, a może i więcej metrów. I w takiej właśnie chwili okręt musiał wykonać jakiś znakomity piruet. Tak znakomity — że taca wyfrunęła z rąk boya, poszybowała wspaniale tych parę metrów i z nieporównanym wdziękiem wylądowała całą swoją zawartość na moim jedynym garniturze, za pełne 10 funtów kupionym na Regent Street. Przez cały wieczór musiałem paradować w pidżamie i płaszczu, co wobec zimna wcale nie należało do najwyższych rozkoszy.

Poza wypadkami tego rodzaju, sztorm morski, dla ludzi nie podlegających zawrotom głowy, jest rzeczą zupełnie przyjemną. Spacer po pokładzie — przypomina

trochę podróż „kolejką nadpowietrzną” popularną w lepszych lunaparkach. Widok latających mebli i innych gratów — ma w sobie niewątpliwie pewną bajkową świeżość, do jakiej konsument zwykłego miejskiego życia nie jest przyzwyczajony.

Osobiście byłem niezwykle dumny z faktu, iż szczerdra natura dała mi przeżyć taką burzę. Duma moja wzrosła w dwójnasób, gdy rano drugiego dnia sztormu wyszedłszy na pokład, z niepomiernym zdziwieniem stwierdziłem, iż płyniemy absolutnie sami. Śladu ni popiołu po całej reszcie konwoju. Z wrodzoną bystrością wykombtnowałem sobie, że to sztorm rozpędził okręty. Jak po „wrześniu” po raz pierwszy, po „francuskim czerwcu” — raz drugi, a po bombardowaniu Londynu — trzeci, — musiałem stwierdzić, że tego rodzaju imprezy wyobrażałem sobie znacznie gorzej. Tak i teraz — — — burza trochę mnie rozczerowała. Sztorm wprawdzie potrafił rozpędzić konwój stuokętowy, lecz ja go w gruncie rzeczy prawie jeszcze nie odczułem. Z drugiej strony brak opieki okrętów wojennych zaniepokoił mnie trochę. Nie po to przecież jechałem do Kraju, by zatonać pod Islandią w masie tak przeraźliwie zimnej wody.

Uczucia dumy, pogardy i niepokoju były jednak krótkotrwałe. Gdy zagabnałem w tej materii kapitana — dostałem druzgocącą odpowiedź. Właśnie w nocy — obojętnie burzliwej czy spokojnej — minęliśmy 600 milę od najbliższej możliwej niemieckiej bazy — i cały konwój uległ programowemu rozwiązaniu. Okręty wojenne wróciły po nowych podopiecznych, a z frachtowców każdy poszedł swoją drogą, zgodnie z celem rozlicznych przeznaczeń.

Niestety — sztorm był za słaby, by rozgonić konwój. Rozgonił tylko moje marzenia.

Neptunowi widać był potrzebny mój zniszczony al-

koholem garnitur, gdyż wspomniany piruet okrętu — był ostatnim tego rodzaju wyczynem. W ciągu nocy morze się uspokoiło. Kapitań, jeszcze przy obiedzie, wieczorem, obwieścił nam, że minęliśmy już jądro burzy. Ranek wprawdzie był jeszcze ciemny i chmurny, ale fale nie skakały już po pokładzie i spacerowano zupełnie spokojnie.

Do południa wypogodziło się już tak gruntownie, że można było przystąpić do następnego punktu morskich atrakcji. Do powtórnej próby „ratowania się łodziami“. Teraz wypadło to znacznie sprawniej. Jeszcze parę razy — i możemy tonąć, ewentualnie być topieni.

Sztorm podziałął na moich współtowarzyszy ożywiająco. Wspólne — nazwijmy je wielkim słowem — przeżycie, zbliżyło nas znacznie do siebie.

Przyszła pielęgniarzka zwierzyła mi się, iż jedzie do szpitala również do Takoradi i bardzo się zdziwiła, gdy jej powiedziałem, że tam jest jeden (o jednym tylko wtedy wiedziałem) Polak i że on właśnie czeka na mnie. Po udzieleniu sobie tych krzepiących wiadomości, mogliśmy już resztę spacerowego czasu przebyć w miłym mileczeniu, trzymając się tylko czule pod ręce, co znacznie uodparniało każde z nas na huśtanie się ruchomego pokładu.

Zaraz po tym, gdy zszedłem do messy, chudy komandor poklepał mnie po łopatkach i coś zabulgotał, śmiejąc się przytem serdecznie. Z tego dłuższego spiczu pojąłem na szczęście tylko końcowe zdanie. Brzmiało ono „Do you like chess“. Tonem pełnym zrozumienia dla całej przemowy odpowiedziałem z głębokim wdechem — O yes! Wobec tego zasiedliśmy do szachów, gry, której jedyną dobrą stroną jest to, iż w czasie niej można nic nie mówić.

Mój towarzysz był zadowolony, że wreszcie znalazł

partnera do swej ulubionej, zgoła nie angielskiej, rozrywki. Na takim statku nie było to proste. Szachy nie są popularne w brytyjskiej nacji. Pod tym względem rozumiem ich w zupełności. Ja też nie lubię tej zacnej rozrywki, która bardziej męczy, jak uspokaja. Zresztą, nie bez satysfakcji, muszę stwierdzić, że na ogół wybitni ludzie w historii kładą pasjansa lub łowią ryby, a wybitni ludzie w szachach na ogół nie przejawiają ponadto żadnych innych szczególnych talentów. Jest to umiejętność niewątpliwie wymagająca inteligencji, ale i wysysająca ją do cna. Dla tych istotnych względów grywam w szachy tylko w bardzo wyjątkowych sytuacjach. Pierwszy raz grałem, jak mnie uczono. Drugi raz — jak w przedwojenne Boże Narodzenie halniak zwał mi z Hali Pyszej śnieg i parę dni nie miałem nic do roboty. Teraz, na Atlantyku, przeżywałem trzeci okres gry w szachy. Niczym się od poprzednich nie różnił. Regularnie przegrywałem.

Szachy sprowokowały jednak bardzo interesującą rozmowę wieczorem przy obiedzie. Mój sąsiad z prawej strony stołu spytał mnie raptem, czy w Polsce grają tak samo w szachy jak w Anglii, dodając z miejsca, że on sam gra tylko w golfa.

Zażenowany brakiem indywidualności moich rodaków — musiałem dać odpowiedź twierdzącą. Na to dostałem natychmiast drugie, już zupełnie jasne, pytanie: czy gram w golfa?

— Niestety, nie.

— Czy Polacy lubią grać w golfa? — Inkwizycja ciągnęła się nadal.

— Polacy nie znają golfa. Grają w niego tylko ci, co są w Anglii.

— A to szkoda Polaków. Jaki wobec tego jest wasz narodowy sport?

To „wobec tego“ było rozbrajające. Nałomiast meritum pytania nie było wcale proste. Narodowy sport Polaków? Football? Raczej nie! Konna jazda — prędzej, ale to też nie odpowiada pojęciu „golfa“. Bridż?! Nie. Może myślistwo.

Nie potrafiłem dać odpowiedzi na to pytanie. Ze wstydem przyznałem, że nie mamy żadnego narodowego sportu.

Dziś jednak potrafiłbym dać odpowiedź.

— Powstania!

BÓG CIAĞLE ZA WYSOKO

Sztorm przeszedł, zmieniliśmy kierunek. Płynęliśmy teraz prosto na południe. Nareszcie wiedziałem, że żegluję w stronę Afryki. Pogoda stawała się coraz jaśniejsza, a morze coraz łagodniejsze.

Płynęliśmy tak całymi dniami, w czasie których żadne wydarzenia nie mąciły nam podróżniczego spokoju. Wszystkiego dwa razy mijały nas jakieś pasażerskie okręty, z których jeden niósł flagę francuską. Drugi nie miał żadnej. Szły ze wschodu na zachód, z Europy do Ameryki.

Przez pierwszą połowę podróży płynęliśmy tak, by możliwie daleko ominąć portugalskie Azory i hiszpańskie Wyspy Kanaryjskie, gdzie była możliwość znajdowania się bazy niemieckich łodzi podwodnych; wygięliśmy nasz kurs mocno ku zachodowi, tak gdzieś na Bermudy. Ten zachodni kierunek powodował nieustanny konflikt naszych zegarków z czasem faktycznym. Codzień rano czas geograficzno-słoneczny przesunął się o parenaście minut w przód. Regulowany nieustannie zegar w messie — stale różnił się od naszych ręcznych zegarków.

Po jakich ośmiu dniach podróży znaleźliśmy się mniej więcej na wysokości Azorskich wysp i Gibraltaru. Pogoda ustaliła się wtedy piękna, czysta i upalna. Temperatura powietrza, jaka powstawała gdy chłód wody mieszał się z żarem słońca, była łagodna i przyjemna. Na

ładzie stałym upał o tego rodzaju natężeniu powoduje duszność, przyprowadzając o zawroty głowy. Tutaj zaś powietrze miało w sobie coś rześkiego. Ocean był spokojny i równy, jak wykutu z marmuru. Najmniejszy nawet ruch wody nie przerwał jednolitości powierzchni. Stojącemu na przodzie okrętu wydawało się, iż to ostry nóż introligatorski tnje równo papier przygotowany do wytwornych opraw. Stojąc tam, można było wzrokiem sięgnąć po przez przeźroczystą taflę, do wnętrza oceanu. Głęboko widać było całe tabuny ryb i rybek płynące przed się. Delfiny stadami nurkowały i śmigały przed czubem okrętu, jakby robiąc sobie zabawę, który zręczniej wyminie toczącą się w przód przeszkodę. Przypominały w tym małych chłopców w wielu europejskich, a bodajże wszystkich prawie egzotycznych portach, którzy w pogoni za rzuconą do wody monetą przepływali pod kilem okrętu na drugą jego stronę. Od czasu do czasu od nieruchomej powierzchni wody odrywał się jakby jakiś płat przeźroczysty i szybował ponad oceanem. Na pierwszy rzut oka — był to ogromny rój ważek, który wyrwawszy się z wody do góry, zataczał kręgi, zniżał się i podnosił, podlatywał w jedną i drugą stronę, by na koniec opaść z powrotem i wkleić się znów w jednolite zwierciadło morskie. Nie były to jednak ważki, lecz latające ryby. Błonkowate skrzydła pozwalają im tak krążyć i szybować nad powierzchnią wody, jak długo tylko bezkarnie przebywać mogą w odmiennej atmosferze. Rój skrzydlatych istotek lecąc ponad wodą rozsnuwa lekki tiul mieniający się w słońcu najprzeróżniejszymi barwami, niby kunsztowny szal pięknej seniority.

Dnie spędzaliśmy na leżakach w błogim nieróbstwie. Popołudnia, gdy żar słońca był już mniejszy, urozmaicaliśmy zabawną grą w ręczne serso. Polegało to po prostu i zwyczajnie na przerzucaniu z rąk do rąk, przez

dwie partie stojące po każdej stronie kredą namalowanej linii — sznurkowego kółka. Nieskomplikowana, lecz miła była to rozrywka.

Tymczasem reszta świata daleka była od podobnego spokoju. Już na parę dni przed moim wyjazdem z Londynu, wojska niemieckie obsadziły całą Bułgarię, która wtedy przystąpiła do „paktu osi”. Teraz rozpoczął się frontalny polityczny atak na Jugosławię. Rządzący regent, książę Paweł, był nader chętny — jak wynikało z komunikatów BBC — do podpisania akcesu do Osi. Było to fatalne nie tylko dla losów Grecji, a tym samym dla alianckich interesów na Bałkanach, ale i dla moich spraw osobistych. Przystąpienie Jugosławii do Osi równałoby się zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Polską i usunięciu naszych placówek dyplomatycznych. A ja przecież mam paszport dyplomatyczny aż do Belgradu, skąd dopiero mają nie przerzucać przez „zieloną” granicę do naszej bazy w Budapeszcie. „Zielona” między Węgrami a Jugosławią nie nastroczała żadnych poważnych trudności, ale już ewentualna „zielona” pomiędzy Grecją a Jugosławią i druga między Jugosławią a Węgrami — może być znacznym szkopułem.

Dla tej przyczyny z najwyższym niepokojem słuchałem codziennych komunikatów. Nawet nasza niegadaliwa messa ożywiła się nieco pod wpływem napływających eterem wiadomości. Roztrząsano, choć bez specjalnego animuszu, pro i contra przystąpienia Jugosławii do Osi. Trzeba przyznać, że moi angielscy towarzysze umieli się zdobyć na zupełnie obiektywne oceny i sprawy Jugosławii nie rozpatrywali pod kątem swoich korzyści, lecz możliwości wewnętrznych tego kraju, któremu — sami otwarcie przyznawali — nie byli w stanie udzielić żadnej efektywnej pomocy.

Były to ostatnie dni marca. Kocioł bałkański wrzał

pełną parą. Co parę godzin radio londyńskie przynosiło wiadomości, które potem, między sobą, powoli rozważaliśmy na gorącym, południowym słońcu. Tam było gorąco i tu było gorąco.

Wypadki następowały z piorunującą prędkością. Le-dwo regent książę Paweł wysłał do Berlina delegację, która miała uroczystym podpisem zadeklarować Jugosławię Osi — już w samej Jugosławii zwolennicy alian-tów, wspólnie z królem Piotrem, dokonali zamachu stanu. Młodziutki król sam objął rządy. Cofnął bawiącym w Berlinie parlamentariuszom ich pełnomocnictwa. W języku praktycznym oznaczało to ni mniej ni więcej tylko wypowiedzenie wojny Osi. Wszyscy na okręcie byliśmy podekscytowani — co dalej wyniknie z tej historii.

Następnego popołudnia BBC podało, że węgierski premier hr. Teleky zastrzelił się we własnym mieszkaniu. Pierwsze komentarze londyńskie szły po linii wiązania tego niewątpliwie politycznego samobójstwa z niedawnym podpisaniem przez Teleky'ego paktu wieczystej przyjaźni pomiędzy Węgrami a Jugosławią. Mocą tego paktu Węgrzy zrzekali się swych pretensji do najżyźniejszych krain w Europie: do Banatu i Baczki.

Gdy usłyszałem tą wiadomość — zrobiło mi się trochę nieswojo — jeszcze tak dobrze pamiętałem suchą postać Teleky'ego, nie tylko premiera ale i Naczelnego Skauta Węgier, którego w czasie wielkiego zlotu skautowego, „Jamboree“, w roku 1933 w Gödöllő na Węgrzech, tak często widziałem przemierzającego konno złotowe tereny. Polacy, którzy w roku 1939 zjawili się na Węgrzech, sądzili, iż właśnie jemu zawdzięczali wiele z gościnnego przyjęcia, jakie ich spotkało. Powszechnie uważano, iż reprezentuje koła najbardziej anty-niemiecko, najbardziej rozsądnie nastawionych węgierskich polity-

ków. Za akt dużej rozwagi politycznej poczytywano przymierze z Jugosławią. A teraz... Za budapeszteńskim strzałem czaiła się wielka tragedia dwóch narodów; położenie Polaków na Węgrzech może ulec zasadniczemu pogorszeniu. Moja droga do kraju zaciągała się czarnymi chmurami.

Rozmyślania tego rodzaju przerwał sygnał alarmowego pogotowia. Ki diabeł! Dopiero przed dwoma godzinami odbyliśmy przecież naszą codzienną porcję próbnego alarmu! Czyżby ten miał być prawdziwy? Zrobiło mi się mocno niewyraźnie. Pobiegłem do kajuty. Tu już młody porucznik z zapalem wciskał się w nadymaną kamizelkę i objaśnił, że na lewo od burty widać z daleka ślad peryskopu łodzi podwodnej.

Zupełnie inaczej wyglądał alarm sztuczny, a zupełnie inaczej prawdziwy. Z miejsca zacząłem się zastanawiać, czy nie brać jednak ze sobą waliz dyplomatycznych, wraz ze skarbami, które zawierały. Zreflektowałem się zdawszy sobie sprawę, że możemy dostać się w ręce niemieckie; po prostu do niewoli. Z taką walizą miałbym dopiero kłopot. Chwyciłem tylko koc i pobiegłem do łodzi.

Tu siedzieli już wszyscy pasażerowie. Po pokładzie biegali jeszcze trucheikiem marynarze. Okręt zmienił raptem kurs i rozwijając dużą szybkość wyraźnie uciekał od łodzi. Czy ona nas goniła — nie potrafiłem dowiedzieć się tego od żadnego z mych sąsiadów. O tym mógłby nam tylko coś powiedzieć majtek siedzący na maszcie, ale on dzielił się tego rodzaju informacjami wyłącznie z kapitanem. Ten zaś ani na moment nie opuszczał mostka kapitańskiego, uparcie śledząc jeden punkt przez lunetę. W grucie rzeczy wszystko to toczyło się zupełnie naturalnie i spokojnie. Gdyby nie lekki niepokój, jaki — mimo całkowitej pewności szczęśliwej

ucieczki — z lekka owiewał nas wszystkich, a mnie niezwyčajnego morskich eskapad, szczególnie — nic nie wskazywałoby na istniejące poważne zagrożenie. Jeszcze raz, jak już tyle razy w Londynie, musiałem podziwiać zimną krew synów Albionu, którzy albo rzeczywiście mają nerwy przytępione, albo robią wszystko by na takich wyglądać. W drugim wypadku — tym większa ich zasługa.

Tak w ciszy i spokoju, grzejąc się tylko niepomier- nie w płaszczach i ratowniczych kamizelach na upale, przesiedzieliśmy prawie półtorej godziny. Łódź nie próbowała nas gonić. Na koniec alarm „odtrąbiono“. Wróciliśmy do kabin, by się rozjuczyć. Temat do rozmów był już zapewniony na dzień cały.

Tak przypomniał nam Mr. Hitler, że ręka jego nie tylko mać na Bałkanach, ale i w oceanie Atlantyckim.

Rychło dowiedziałem się, że plany tego jegomościa nie ograniczały się do tych dwóch obszarów.

Skończył się marzec. Kwiecień zalewał nas potokami słońca. Minęliśmy już nie tylko wyspy Azorskie ale i Kanaryjskie. Przeszliśmy już nawet północny zwrotnik. Teraz płynęliśmy na południowy wschód. Morze było coraz gładsze, coraz czystsze niebo. Dokoła było coraz piękniej. Natomiast wojenne horyzonty zaciągały się chmurą gradową.

Piątego kwietnia rano radio BBC wypaliło raptem wiadomością nieoczekiwaną.

Wojska niemieckie zdobyły Benghazi!

Oniemiałem też dokumentnie, że już więcej nie byłem w stanie nic pojąć z tego, co mówią w głośniku. Wawellowi odbito Bengazi. Niemcy w Afryce. Skąd Niemcy w Afryce? W Libii? Musieli przepłynąć morzem. A więc na morzu nie panują Brytyjczycy. Zamiast, by Wavell, — jak byliśmy przygotowani — wszedł niedługo do

Tripolisu, to Rommel (po raz pierwszy świat usłyszał wtedy to nazwisko) wlaźł do Benghazi. Wszystko to razem uderzyło po łbie, jak ciężkim obuchem. Byłem prawie nieprzytomny.

Tymczasem... wiadomość ta na nikim z mych towarzyszy nie wywarła najmniejszego wrażenia! Usłyszeli „Benghazi wzięte“. No — to wzięte i sprawa załatwiona. Cóż to Benghazi! Miasto w Libii. Miasto nie leżące nawet w granicach Imperium. Historia Imperium zna takich Benghazi więcej. Nawet bardzo dużo. Nie raz i nie dwa razy trzeba było oddawać miasta niedawno zdobyte. Lecz czy przez to naruszone zostało Imperium? Czy zmienił się tok życia i spraw nad Tamizą? Nie. A więc nie ma się czym przejmować. Gdy ja roiłem niezliczone warianty strategicznych i militarnych możliwości — oficerowie i kupcy brytyjscy grali najspokojniej w serso pokładowe. może radzi, iż ktoś za nich odprawia konwensans martwienia się. Wieczorem natomiast, gdy skłonny byłem przysypywać głowę popiołem i wdziąć żałobne szaty — najniespodziewaniej w świecie otrzymałem zaproszenie na „Święto okrętu“, jakie wystawnym obiadem czczono właśnie tegoż dnia.

Obiad był rzeczywiście wspaniały. Były doskonałe ryby — bez ości. Niezłe mięsa. Wytworne przystawki. Dużo alkoholu. Dużo wesołości. Toast „The King“ i inne. Nikt nie myślał martwić się jakimś Benghazi.

Podziwiałem tę odporną psychicznie rasę.

Rano dnia następnego, był to szósty kwiecień 1941 roku, o szóstej godzinie obudził mnie boy z nadmiernie słodką „tea“. Śniadanie było też o przepisowej porze i przepisowo obfite. Gdy o 11-ej dostałem regulaminową „cup of coffee“, jakby na świecie nic się nie działo, odezwał się radiowy głośnik. Znów bluznął w nas potok światowych zdarzeń.

Niemcy, Węgrzy, Bułgarzy i Włosi wtargnęli dziś rano do Jugosławii i Grecji.

A dla równowagi — też dziś w Niedzielę Palmową — Heile Selassie, wygnany przed laty ze swej stolicy, ma uroczystie odbywać swój wjazd z powrotem do Addis Abbeby, zdobytej niedawno przez brytyjskie i południowo-afrykańskie wojska.

Benghazi zostało raptem wytłumaczone Jugosławia. Hitler uderzył z obu stron, by nikle siły brytyjskie na Bliskim Wschodzie postawić w trudnej sytuacji. Radio mówiło już o tym, że korpus brytyjski śpieszy na pomoc Grecji i Jugosławii. Ratunek Bałkanom równał się wycofaniem wojsk z Libii. To tłumaczyło klęskę w Benghazii, ale nie rozjaśniało sytuacji. Zbyt dobrze sam wiedziałem, jak dalece jeszcze Imperium Brytyjskie nie jest przygotowane do poważnej walki w obcym kraju. Radio pozwalało nam jednak wierzyć w siłę Imperium, przemyślność jego generałów i dzielność jego żołnierzy.

Dziś jest Niedziela Palmowa. Dzień nadziei. Tak pięknie splótł się z tym dniem wjazd Heile Selassiego do Addis Abbeby. Ma to być może krzepiący dla Jugosłowian i dla nas symbol tej sprawiedliwości, co zawsze wypływa na wierzch i Bożej Ręki, co nierychliwa (ileż czasu czekał zacny Abisjńczyk!) ale sprawiedliwa. Dopatrywałem się w tym pewnego sensu dziejów, że właśnie kraj, od którego rozpoczęła się wojna na tej półkuli, — pierwszy otrzymał wolność. W Abisynii broniły się już tylko resztki garnizonów włoskich pod wodztwem ks. Aosty.

Dzień przesiedziałem nad mapą Bałkan, snując różne plany wojenne. Uderzenie nastąpiło ze wszech stron. Jugosławia jest słabym krajem. Jedyne nadzieja — to góry i wądoły.

Nadzieje wojenne pokładane w naturze — to słabe nadzieje. Gorzkie myśli kłębiły się po głowie.

Czy Jugosławia wytrzyma? I jak długo?

Pytania takie frapowały nie tylko mnie jednego. Po południowa dysputa w messie rozwinęła się nad podziw interesująco. Okazało się, iż drogi kapitan holenderskiego transoceaniku, a z nim i wszyscy pasażerowie tegoż, nie bardzo wiedzieli, gdzie leży Jugosławia. Martwili się tedy, iż wobec braku dostępu do morza nie będzie ona w stanie otrzymać pomocy brytyjskiej. Pewni, bardzo pewni byli, iż to słowiańskie Zjednoczone Królestwo jest, — tak jak Czechosłowacja — (jaka i gdzie jest Czechosłowacja wiedzieli!) państwem śródlądowym. Broniąc tezy zgoła przeciwnej, dowieść jej zdołałem dopiero wtedy, gdy potrafiłem pokazać Jugosławię na brytyjskim atlasie, specjalnie w tym celu zniesionym z kajuty kapitana. Uwierzono, gdyż okazało się, że i atlas i ja tak samo umieszczaliśmy Jugosławię na mapie Europy. Nieco zażenowany kapitan usprawiedliwiał się, iż on całe swe długie życie tylko i wyłącznie pływał na szlakach łączących zachodnią Europę z Południową Afryką i Indiami Holenderskimi.

Osobiście usprawiedliwiałem go całkowicie, nie rozwiało to jednak moich obaw o Jugosławię. Przeciwnie, obawom tym przydało sił.

Czy i tym razem powtórzy się — jak we „wrześniu” — dławiąca i okrutna sytuacja, w której Bóg był za wysoko, a Wielka Brytania za daleko...?

Tymczasem dokoła świat — jak na ironię — był coraz śliczniejszy. Jutro mieliśmy zawinąć do pierwszego portu naszej podróży. Do Freetown.

FREETOWN

Gdy na Bałkanach dorzynano Jugosławię i przezwy-
ciągano Grecję, gdy w Libii wojska brytyjskie, nowo-
zelandzkie i australijskie wycofywały się w popłochu —
w Sierra Leone, brytyjskiej kolonii położonej na zacho-
dnim wybrzeżu Afryki, wojny nie znać wcale. Życie
toczy się najnormalniej w świecie, a raczej dokładniej:
najnormalniej w Sierra-Leone. Przynajmniej tak się wy-
daje, gdy nasz holenderski stateczek powoli zakotwicza
się w porcie Freetown, leżącym u ujścia rzeki Sierra-
Leone do oceanu.

Statek natychmiast obkoczony został przez niezli-
czoną ilość niewielkich, podłużnych łódek murzyńskich,
drażonych w pniach drzew. Każda z tych afrykańskich
czajek załadowana jest po brzegi świeżutkimi owo-
cami — głównie bananami i ananasami. Banany, bar-
dziej jeszcze niż ananasy, są przedmiotem łapczywej
ciekawości wszystkich pasażerów. To już przecież tak
dawno, aż przed pięciu miesiącami, jak banany znikły
z Wyspy. A jest to przysmak niemal że narodowy. Kla-
sycznie zgrabni, jakby zdjęci z greckich posągów, Mu-
rzyńni drapią się po schodkach przystawionych do obu
burt i w zamian za ćwierć-pensa dostarczają znakomi-
tych bananów w największych ilościach.

Freetown jest białym miastem, rozpiętym amfiteatral-
nie na dwu wzgórzach, spośród których centralna rzeka
kolonii wypływa do oceanu, przy okazji tworząc port.

Oba wzgorza są pokryte soczystą zielenią. Wraz z szafiirem nieba, granatem wody i okrutną bielą malowanych wapnem chatek — zieleń ta tworzy kontrasty tak czyste w swoim kolorycie, że aż budzące wątpliwość co do ich autentyczności. Trudno uwierzyć tym barwom tak samo, jak niewiarygodnie przez nieskazitelnosć swych kolorów wyglądały pierwsze plenery kolorowych filmów.

Wrażenie braku wojny — jest niestety tylko złudą. Port wcale nie wygląda tak sielankowo, jakby należało spodziewać się po beztrosko buszujących w swych czółnach tubylcach, po spokoju krajobrazu i rozleniwieniu ludzi niemrawo ruszających się w lepkiej spiekocie. Cały wjazd do portu jest zaminowany i jedynie tyczony bojami przesmyk wskazuje drogę nadpływającym licznie okrętom. W porcie i na redzie stoją większe i mniejsze wojenne jednostki floty. Jest tego kilkanaście sztuk. Siedzą na wodzie spokojnie i cicho, z grzecznie złożonymi wzdłuż kadłubów lufami dział. Na pokładach w południową godzinę afrykańskiego odpoczynku nie widać nikogo.

Wszystko wydaje się być tutaj spokojne i ustabilizowane. Dlatego tak niesamowite wrażenie robi w pewnej chwili gwałtowna kanonada artyleryjska, jaka, ni z tego ni z owego, wybucha z wszystkich naraz okrętów. Kanonada jest niespodziewana. Zdziwieni szukamy na powierzchni morza sprawcy niepokoju. Patrząc — niczego nie dostrzegamy, a artyleria wali w najlepsze dalej.

Niebieściutkie niebo pocentkowane jest białymi dymkami, wśród których, a raczej ponad którymi, przewija się majestatycznie niewielki samolocik, wyglądający z dołu niczym zabawka dziecinna.

Jest to drugi znak wojny. A równocześnie jeden z zabawniejszych obrzędów wojennych, jakie zdarzało mi

się widzieć. Według kanonady i przelotów samolotu ustawiać można zegarek. Jest teraz punkt pierwsza w południe. Codziennie od dziewięciu miesięcy o tej samej porze pojawia się nad Freetown samolot. Codziennie, od dziewięciu miesięcy, wita go huraganowy ogień ze wszystkich znajdujących się w porcie i na lądzie dział. Codziennie bezskutecznie. Samolot spokojnie przesuwa się z północy na południe i znika, by wrócić dnia następnego o tej samej porze. Historia jest cierpliwa. Ludzie też — zwłaszcza w podrównikowym upale. Gdy strzelanina ucichła, a niebieska zjawa przeminęła — dowiadujemy się dopiero od któregoś z bawiących na okręcie funkcjonariuszy portu — tutejszej tajemnicy. Tajemniczy powietrzny intruz jest francuskim samolotem, regularnie nadlatującym, z nie tak bardzo dalekiego Dakaru. Urzędnicy i wojskowi z Freetown podejrzewają, iż samolotem tym, pod barwami francuskimi, przylatują na codzienny rekonesans niemieccy lotnicy. Rekonesans ten obejmuje Barhurst i Freetown, nie dochodzi jednak do Gold Coastu, jak się później przekonałem.

Samolot zginął w przestworzach. Marynarze z powrotem „rychtują“ do dołu lufy okrętowych dział. I idą spać dalej. Mają spokój teraz aż do dnia następnego. Są zadowoleni ze spełnienia swego obowiązku i prawdopodobnie szczególnie radzi, iż żaden z pocisków nie pokwapił się trafić w uparty aeroplan. Jutro i tak przyleciałby drugi, a dziś byłby zupełnie niepotrzebny zamęt w ustalonym porządku podzwrotnikowego lenistwa.

Po południu, koło godziny piątej, żar nie wiele jest lżejszy niż przedtem, ale jest to godzina, w której życie tutejsze po południowym odpoczynku, znów, na nowo zaczyna swój codzienny tryb. Przyjeżdża motorówka i odpływamy do miasta.

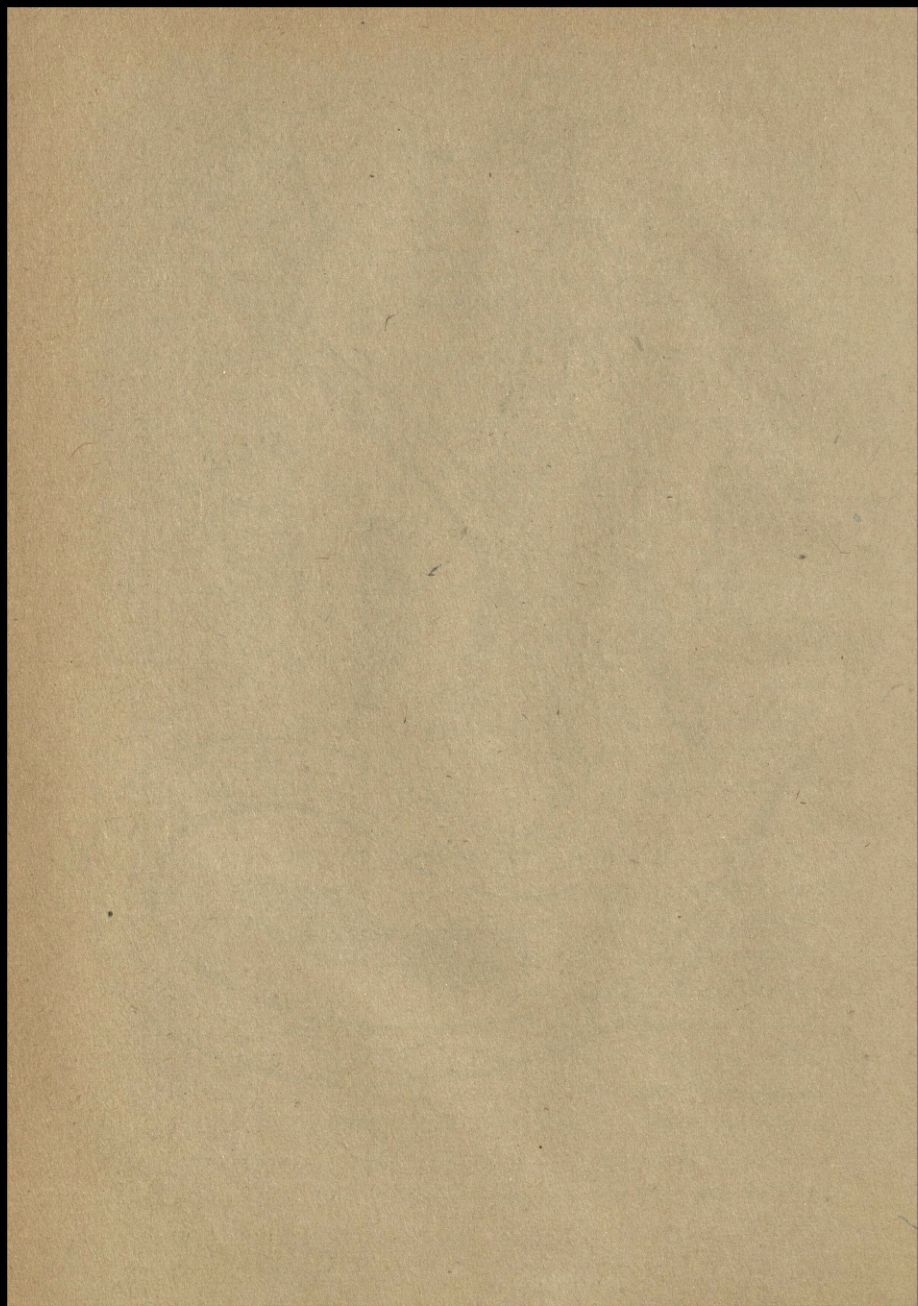
Jest to moje pierwsze w Życiu zetknięcie się z Afryką, z koloniami i z Murzynami au naturel.

W pierwszym rzędzie muszę się upodobnić do otoczenia, od którego zdecydowanie odbijam. Jestem jedynym białym, który ma na sobie długie, ciemno szare spodnie garniturowe. To zwraca uwagę, gdyż biali dzielą się tutaj na dwie kategorie. Takich, którzy są ubrani w mniej lub więcej krótkie białe lub jasno khaki garnitury ewentualnie sukienki, na głowie mający kolonialne helmy. Oraz takich, którzy na to gorąco występują w kompletnych, nieskazitelnie czarnych lub ciemno granatowych garniturach.

Do kategorii pierwszej należą wszyscy urzędnicy władz kolonialnych, oficerowie okrętów zakotwiczonych w porcie i małżonki tychże. Tak nosi się lepsza, górna połowa społeczeństwa białych, do której w tym wypadku zalicza się też żołnierzy i marynarzy marynarki wojennej. Białą „plebs”, reprezentowany tutaj przez marynarzy handlowych, ma zgoła odmienne pojęcie o obowiązującej elegancji. Występuje na ląd, bez względu na upały, w nieskazitelnie zaprasowanych, na mur uleżałych w okrętowych walizkach i kuferkach, ciemnych garniturach.

Podobnym zresztą regułom podlega i murzyńska elegancja. Robotnicy portowi w czasie swej pracy, którą starają się zredukować do minimum, paradują jedynie w majteczkach gimnastycznych i — w najlepszym razie — koszuli, z której wydarto cały grzbiet i ramiona, pozostawiając tylko mankiety i kołnierzyk — swoisty półkoszulek. Tubylecy — czarni urzędnicy przeróżnych office'ów — pełnią swe zajęcia, wzorem białych kolegów, w białych garniturach. Ale niech wybije godzina wolna od pracy, i jedni i drudzy, z portu i z poczty, wskazują co prędzej w ciemne garnitury i idą na spacer





z czarnymi miss ubranymi starannie w grube ciemne suknie i ciepłe (każde tutaj są ciepłe) pończochy.

Na przedmieściu Freetown spotkałem trzymającą się pod rękę parę starych Murzynów: on — wytwornie ubrany w (od góry) z lekka pokiereszowany szapoklak, biały, stojący kołnierzyk, opasany czarnym krawatem spadającym na wspaniale brudny lecz sztywny gors, potwornie dziurawy frak i zwykle ciemne spodnie zakończone bosymi stopami. Ona natomiast miała (licząc od dołu), pantofelki na wysokich francuskich obcasach, poprzekrzywianych i połamanych, pończochy układające się w obwarzanki, suknię o drastycznie wyróżniających się barwach i wielki kapelusz z gniazdem strusich piór na wierzchu. On obserwował biedne przedmiejskie chatki przez okulary pozbawione szkiele. Oboje budzili widoczną zazdrość wśród mieszkańców.

Tedy i mnie wypadało upodobnić się do kolonii. Był to mój pierwszy afrykański sprawunek. W jakimś podłym sklepiku kupiłem sobie za dwa i pół szylinga rzeczywiście doskonały, koloru khaki, hełm korkowy, ku memu niepomiernemu zdumieniu „made in Kalkutta“, za parę pensów dwie wytworne perkalowe koszule i za takąż bodajże cenę białe skautowo-tenisowe spodenki. Teraz byłem wyekwipowany na Afrykę.

Pierwsze kontakty z tym dziwnym światem afrykańskiego miasteczka oszałamiają przeciętnego Europejczyka — przede wszystkim taniością. Jeden penny jest tu potężnym środkiem płatniczym, tak potężnym, aż budzącym moje głębokie zażenowanie, że za tak marny grosz można tyle otrzymać dóbr doczesnych. Zaraz w porcie kupuję za całe półtora penny naręcze bananów — tylko po to, by potem mieć z nimi nieustanny kłopot, bo na okręcie banan pojawia się jako nieliczony dodatek do każdej cup of tea or coffee, do każdego po-

silku. Jest on tak tani, iż nie odgrywa najmniejszej roli w okrętowym budżecie.

Gdy dopływaliśmy do portu, doświadczony matros, brytyjski kanonier, dowiedziawszy się, iż po raz pierwszy noga moja stanie na afrykańskiej ziemi — całymi godzinami snuł przedziwne nowele o niebezpieczeństwach, jakie na takich żółtodziobów czyhają w afrykańskich portach. Najgroźniejszym z nich miało być nieopatrzne zawierzenie swojej osoby któremuś z setek i setek natrętnych przewodników-żebraków, jacy z zajądlivością i impetem zgola nie pokornym, dopraszają się zaszczytu oprowadzenia białego „sir“ po swym wspaniałym mieście. Niebezpieczeństwo miało polegać na uprowadzeniu białego „mister“ przez Murzyna na takie bezdroża i zaułki, z których klient nie miał już wyjścia i przeważnie padał ofiarą. Czego ofiarą — uwiedzenia, gwałtu, zbrodni, czy rabunku — nie mogłem dowiedzieć się dokładnie od mojego marynarza. Tym niemniej jego opowiadanie w zupełności wystarczyło, bym czuł lekki lęk przed niewinnie wyglądającą hordą żebraków, którzy jak szakale rzucali się na nas, gdy tylko przekroczyliśmy granice portowego mola, żeby tym wielkim słowem uczcić mostek drewniany przybity na zwykłych palach. Atak usprawiedliwiał propozycje pokazania miasta, zaprowadzenia dokąd się tylko połeci, prośby o peny, wychwalanie zalet duchowych i fizycznych atakowanego i cała litania niezwykle wymyślnych żebraczych komunałów. Nasze okrętowe towarzystwo, pałając zdrową żądzą zakomunikowania bliskim o szczęśliwym przebrnięciu przez Atlantyk, wybrało jednego z nich, polecając się prowadzić na pocztę. Czynił to tak długo i skomplikowanie, parokrotnie przechodząc te same uliczki, że w końcu dostał solidnego kopniaka od zde-

nerwowanego agenta — tego od „narodowych sportów“ i w „trzy migi“ znaleźliśmy się przed pocztą.

Poczta, jak wszystkie instytucje miejscowe, obsługiwana jest wyłącznie przez nieco ucywilizowanych Murzynów, którzy od razu łamaną angielszczyzną uprzedzają, iż instytucja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin, a nawet w ogóle za dostarczenie poczty na miejsce przeznaczenia. Słowa swe uwierzytelnią licznymi ogłoszeniami komunikującymi o pocztach, jakie zatonęły w drodze do Anglii. A z depeszami też sprawa nie wygląda tak prosto, gdyż pierw idą całe naręcza depesz wojennych i wojskowych, dopiero potem, gdy czasu starczy, „cywilne“. Jednym słowem wojna niepokoi i Freetown.

Wojnę widać zresztą we wszystkich sklepach i składach. Zapasy towarów przemysłowych, niemal że bez wyjątku sprowadzane z Europy, są na wyczerpaniu. Nawet wspaniałe urządzone sklepy „Bata“, znacznie popularniejszy na całym tym kontynencie niż wszelkiego rodzaju „Trade Company“ świeci właściwie pustkami. Statki nie mają czasu i miejsca aby wozić koloniom wyroby przemysłowe. Wszystkie statki idące tędy wożą samoloty do Takoradi.

Freetown, czterdziestoparotysięczna stolica niewielkiej kolonii Sierra-Leone jest właściwie małym i nieciekawym miasteczkiem afrykańskim. Trzy czy cztery główne ulice, znakomicie wyasfaltowane, obejść można w pół godziny. Po takimż mniej więcej przeciągu czasu wiem już jak wygląda zacna stolica. Wiem nawet, że posiada stację kolejową, z której i do której, maleńki samowarek, podobny naszemu, warszawskiemu, wożącym majowiczów do Konstancina i Zalesia, wozi drzewo i nielicznych pasażerów, gdzieś z głębi lądu. Miasteczko jest odpowiedzialnie brudne i zakurzone. Chaotycznie i nie-

chlujnie zabudowane. Pierwsze afrykańskie miasto — czyni raczej zawód.

Zawodu natomiast nie czyni — Afryka. Afrykański Kraj: Sierra-Leone. Już samo Freetown jest pięknie położone na soczystych zielonością wzgórzach. Ale naprawdę piękne są dopiero okolice miniaturowej stolicy. Jedziemy tam nazajutrz.

Niewysokie wzgórze toną w palmach. Plaża morska złączona — oczywiście! toż to kolonia brytyjska! — z polem golfowym, gościnnie zaprasza na drobnoziarnisty, rozgrzany upałem piasek. Murzyniaki roznoszą ananasy i kokosy. Pierwsze obiera się nożem i gryzie tak jak są, wielką soczystą kulę. Drugie — dziurawimy toporkiem i wypijamy mdłe, niesmaczne mleko kokosowe. Jest gorąco, barwnie i rozkosznie. Jesteśmy na odległej od miasta o kilkanaście kilometrów plaży klubu białych urzędników kolonii. Europejczycy umieją sobie tutaj organizować życie zupełnie mile.

Co moment konstatuje z niekłamanym oburzeniem, że w tym słodkim klimacie Afryki i przerażająco wygodnej podróży odzwyczajam się myśleć od wojny. Wydaje mi się, iż świat cały wygląda jak to spokojne Freetown, gdzie wojna daje znać o sobie paru nieszkodliwymi symbolami, gdzie może brak takiego czy innego towaru, ale gdzie jest spokój i cisza. Chwilami zapominam o bombardowanym Londynie, ba! co gorsza zapominam o tragicznym Kraju i smutnym Mieście. Zapominam o nieżyjących i pomordowanych. Bo czyż trzeba o tym pamiętać, gdy leżąc prawie bez ruchu, na wznak, na łagodnej, przybrzeżnej fali oceanu pozwalam się pieścić żarliwemu słońcu!

Niedobry jest jednak taki spokój. Nie czuję żalu, gdy auto odwozi nas po przez wieloraką zieloność tego

kraju -- zieloność, którą winien opiewać nieskończenie Tuwim — do portu.

Po południu drugiego dnia pobytu okazuje się, iż nasz dotychczasowy statek, który w Freetown opuścili wszyscy wojskowi, pozostaje tu jeszcze parenaście dni, wyładowując przywieziony ładunek cementu. Wobec tego przyjmuje nas na swój pokład inny okręt holenderski tej samej linii, duży i wytwornie urządzony. Opuściła on port tegoż wieczoru, by za pięć dni być w Takoradi.

Wobec tego przesiadamy się.

NIEWIELKIE MIASTO WIELKIEJ KARIERY

Podróż z Freetown do Takoradi upłynęła mi pod znakiem Martin du Gard. W znakomicie wyposażonej bibliotece okrętowej znalazłem cały komplet „Rodziny Thibault'ów“. Przez pięć dni nic innego nie robiłem — no namiętnie pławiłem się w pięknej francuszczyźnie wielkiego prozaika, konfrontując ze sobą obie wojny.

Statek, na którym odbywałem tę podróż, różnił się radykalnie od poprzednika. Tamten był towarowcem zdolnym do zabrania paru pasażerów, ten — okrętem pasażerskim mogącym przy okazji wieźć nieco towaru. Okręt był trójpokładowy. Kilkadziesiąt kajut pasażerskich rozłożonych było na dwu kondygnacjach. Ogromna sala jadalna, salon, specjalna czytelnia, specjalny pokój do pracy i ewentualnie do gry na fortepianie. Bilard, ping-pong i masę innych atrakcji. Liczni stewardzi, nawet jedna stewardessa. Duża załoga, wobec czego pasażerowie nie byli używani do śledzenia łodzi podwodnych. Dopiero tutaj pogrążyłem się w pełnym luksusie okrętowym.

Towarzystwo było najprzeróżniejsze. Przeważali jednak handlowcy, urzędnicy, nauczyciele i tym podobni funkcjonariusze społeczni — udający się do kolonii po swych sześciomiesięcznych urlopach znów na osiemnaście miesięcy pracy. Było wśród nich sporo kobiet, przeważnie starsze panie o figurkach osiemnastoletnich dziewcząt a twarzach zwiędłych matron. Rzeźkość sta-

rych Angielek jest czymś zadziwiającym i niewątpliwie bierze swe źródło w nieustannym zażywaniu ruchu, choćby przez codzienną grę w golfa; zajęcie niewątpliwie nudne, ale niezwykle konserwujące fizyczną sprawność.

Już drugiego dnia podróży, gdy sunęliśmy wzdłuż brzegów jedynej na świecie niepodległej republiki murzyńskiej, Liberii—nauczyciel brytyjski, mój towarzysz przy stoliku w jadalni, przyleciał po mnie gdy wygrzewałem się w słońcu, by zaprowadzić do okrętowego lekarza — jak się okazało — Czecha. Polak czy Czech to już pod równikiem niemal jedno i to samo. Padliśmy sobie kordialnie w ramiona. Obdarowany zostałem porcją nieodzownej chininy, którą już od paru dni, przed wylądowaniem w pierwszym porcie afrykańskim, muszę codziennie łykać, i powędrowaliśmy razem na drink. Początkowo próbowaliśmy mówić po słowiańsku — ja po polsku, on po czesku. Po paru pierwszych jednak zdaniach zeszedliśmy na francuski — to było dla nas obu stanowczo bardziej zrozumiałe. O ironio słowiańskiej kultury!

Rozmowa zaczęła się w najlepszym nastroju. Ja opowiadałem swoje dzieje, on swoje. Okazało się, że Polskę zna dość dobrze. Był u nas od wiosny 1939 do jesieni tegoż roku. Wiosną, po aneksji Czechosłowacji, gdy przedzierał się przez zieloną granicę do Polski, nasza straż graniczna przywitała go strzałami. To zostawiło w nim pewien uraz do Polski. Był biernym uczestnikiem całego „września“, w końcu znalazł się jesienią na Podolu i stamtąd, czym prędzej, wyjechał przez Rumunię do Anglii, gdzie wstąpił, jako lekarz, do służby na holenderskim okręcie.

Oczywiście rozmowa musiała, po takim wstępie, zejść na tematy polityczne, niedawnej, jeszcze bolesnej prze-

szłości. Mówiliśmy o Anglii, Rosji, Polsce, Francji. O Mussolinim i Piłsudskim. W końcu natknęliśmy się na postać „colonel Beck’a”. Wtedy mój rozmówca wypalił najspokojniej w świecie:

— O wasz Beck to zdrajca, który był na żołdzie Hitlera.

Tutaj we mnie zakipiał nie tyle obrońca Becka, czy jego polityki, co zagrał narodowy honor.

— Nie wiem, czy brał pieniądze od Niemców, czy ich nie brał. Ale jedno wiem na pewno... Hachą nie został...

Rozmowa, rzecz jasna, na takie dictum urwała się. Rozstaliśmy się chłodno. Jeszcze raz w miniaturze powtórzyła się tragedia Czechów i Polaków, dwóch narodów o tak innych temperamentach. Jedyłą osłodą po gorzkiej rozmowie był fakt, iż zaraz potem któryś z oficerów okrętowych, nie bardzo dobrze wiedziałem Anglik czy Holender, ścisnął mi wylewnie dłoń, gratulując odpowiedzi. Był to chyba Anglik, gdyż wśród nich spotkałem bardzo wielu sympatyków Becka, poza tym umięją oni cenić narodowy solidaryzm, jaki w danym wypadku przejawilem wobec osoby byłego ministra.

W ten sposób załatwiwszy od razu pierwszego ranka okrętową znajomość — mogłem spokojnie poświęcić się lekturze Roger Martin du Gard. Czynilem to z zapałem tym większym, iż perypetie braci Thibaultów pozwalały mi choć w części zapomnieć o tym, że właśnie jest jedenasty kwiecień, imieniny osoby mi bliskiej, a w dwa dni potem: Niedziela Wielkanocna. Nikt jej nie święcił. Dzień ten nie różnił się niczym od innych dni okrętowych. Już drugi rok spędzam wojenne święta Wielkanocy w sposób nijaki. Podobnie było przed rokiem, w Mentonie. Też takie święta nie-święta. Jak bę-

dzie za rok? Czy będę w Kraju, czy już z powrotem w Londynie? Innych możliwości nie przewidywałem.

Minęliśmy Liberię. Łagodnym łukiem wykręciliśmy prosto na wschód. Teraz, z lewego pokładu można było dostrzec płaską linię odległego brzegu. Wybrzeże Kości Słoniowej, odnoga Zachodniej Afryki Francuskiej dochodząca do Atlantyku, pomiędzy Liberią a Wybrzeżem Złota. Na wschód od Wybrzeża Złota — Gold Coast — znów jest francuskie Wybrzeże Niewolników, dzielące Gold Coast od wielkiej i bogatej Nigerii.

Na koniec, po miesięcznej bez mała podróży (przed wojną trwała ona tydzień, dziesięć dni) — rankiem piętnastego kwietnia wpłynął nasz okręt na redę Takoradi.

Takoradi — mała wioska murzyńska, która zrobiła w ciągu dziesięciu ostatnich miesięcy karierę zawrotniejszą, niżli nasza Gdynia. Jedenaście miesięcy przed tym, nim wpłynąłem do tego portu, mało kto na świecie, a nawet w Brytyjskim Imperium, słyszał o Takoradi. Więcej nieco wiedziano o Sekondi, murzyńskim miasteczku położonym parę kilometrów dalej na wschód. Zawszeć było to miasto; Takoradi — było tylko wsią. Gdy Marokko, Algier i Tunis pozostały przy „Vichy“, a praktycznie znalazły się w zasięgu oddziaływania niemieckiego — komunikacja powietrzna przez Gibraltar — Maltę do Egiptu stała się niesłychanie trudną i dostępną właściwie tylko zupełnie pojedynczym, specjalnie wyposażonym na długie i niebezpieczne loty, maszynom. Tymczasem rozpoczęły się działania w Egipcie i Libii. Front ten gwałtownie domagał się dużych ilości maszyn bojowych, myśliwców i bombowców. Samoloty w takich ilościach nie mogły przechodzić trasą wiodącą obok Sardynii i Sycylii. Wobec tego stworzono Takoradi. Do Takoradi zwożono je z całego świata, poskładane na okrętach. Tu następnie, w specjalnie wybudowa-

nych zakładach montowano je, próbowano i wysyłano drogą powietrzną, po przez pół Afryki, konwojami do Kairu.

I oto zupełnie nowoczesny, krańcowo różny od Freetown, port w Takoradi pełen jest okrętów, z których ramiona dźwigów raz po raz podnoszą ogromne skrzynie z samolotami, by je pieczołowicie złożyć na wielkich „kamionach”. Te dostarczą je zaraz na teren zakładów montażowych. Większość okrętów stojących w porcie — ku memu ogromnemu zdziwieniu — ma na obu burtach wymalowane ogromne flagi narodowe, oznaczające w morskim kodeksie okręt neutralny, którego nie wolno torpedować. Przy tych właśnie okrętach pracuje najwięcej dźwigów. Raz po raz opasła skrzynia winduje się do góry. Na burtach statków — wymalowane są ogromne flagi amerykańskie. Jest to kwiecień 1941 roku. Stany Zjednoczone nie są jeszcze w wojnie, lecz jak widać, dzielnie wykorzystują swoją neutralność. A — co najdziwniejsze — wszystko to odbywa się lege artis. Neutralność nie jest, Broń Boże! narażona na szwank. Amerykański ambasador w pełni aureoli urzęduje w Berlinie. Więcej nawet — statkom Stanów Zjednoczonych nie wolno pod żadnym pozorem przyczyniać się do wojny, nie wolno im zawijać do portów objętych strefą wojennych działań. Szerokość tej strefy określają specjalne uchwały Kongresu. No i właśnie Kongres uchwalił, iż Takoradi jest już tak odległe od jakiegokolwiek teatru wojny, że nie ma żadnych powodów, aby miało być uznane za leżące w strefie wojennej. Wobec czego prywatne firmy, tysiącami produkujące myśliwce i bombo-
wce dla W. Brytanii, mogą bez naruszenia powagi kongresowych ustaw, wysyłać swój cenny towar do małego portu w Zachodniej Afryce — do Takoradi. Co dalej się

z samolotami dzieje — to może Kongres wcale nie interesować.

Tutaj następuje koniec mej morskiej podróży. Żegnaję się z nie specjalnie ciekawymi towarzyszami arcy-ciekawej wędrówki i pilnie wypatrując bryka troszczącego się o moje ciężkie walizy, odpływam motorówką ku komorze celnej.

Wszędzie są sami Murzyni. Moje walizki, jako dyplomatyczne, unikają przeglądu. Natomiast czarny urzędnik celny, sprawdzając mój paszport i widząc w nim wykalfigrafowane: „nationality — polish“ natychmiast deklaruje się z ogromną miłością do naszego narodu. Opowiada mi przez parę minut, że on tak szalenie lubi Polaków, że woli ich znacznie bardziej od Anglików, których nie cierpi zdecydowanie. Słuchając roztkliwionego tego wyznania wiary — dumny jestem z sprawności naszej emigracyjnej, albo w ogóle naszej polskiej, propagandy, która potrafiła dotrzeć nawet tutaj, do tego odległego afrykańskiego zakątka i nie tylko uświadomić Murzynowi istnienie naszego kraju, ale jeszcze przepoić go do nas miłością, chyba niekłamana. Wobec tego śmiało zaczynam rozpytywać urzędników o pułkownika Tadeusza Iżyckiego, do którego mam list. Ma on pokierować moją dalszą drogą.

Murzyńscy „clerk'owie“, ciągle świadcząc swą miłość, prowadzą do portowego biura RAF'u. Telefonujemy na lotnisko. Po drugiej stronie drutu telefonicznego odzywa się po chwili polski głos. Pułkownik Iżycki. Na wieść, iż wiozę do niego list od ministra Kota — natychmiast zapowiada stawienie się do portu. Nie mija kwadrans, jak przed biurem portowym zatrzymuje się wygodna półciężarówka. Wyskakuje z niej oficer RAF-u ubrany w kolonialny mundur (identyczny z mundurem harcerskim), z tą tylko różnicą, iż na ogromnym hełmie

korkowym widać białą-czerwoną kokardę. Oficer jest bardzo przystojny. Miła opalona twarz uśmiecha się gościnnie. Wita mnie serdecznie. Boye ładują walizki do samochodu. Ruszamy.

Okolica jest inna niż we Freetown. Płaska i nie tak obficie zalesiona. Natomiast już bardzo ucywilizowana. Szosy pięknie asfaltowane, wysadzone drzewami. Murowane domki murzyńskie, świeżo wybudowane; jeszcze im karbowana blacha świeci na dachu połyskliwie. Do koła pola uprawne.

Jak zwykle, gdy czasu tej wojny dwóch Polaków spotka się razem — rozmowa po paru pierwszych konwencjonalnych zakrętach, nieuchronnie schodzi na „co mówi radio“. Jestem złaźniony wiadomości, bo w ostatnim etapie podróży radio słabo funkcjonowało, lub też ja zanadto pogrążony byłem w pasjonujących początkach tamtej wojny — dość że nie byłem au courant tego „co słychać w radio“.

— To pan nic nie wie? — Pułkownik Izzycki zapytał mnie tonem poważnym.

— Nic. Przypuszczam, że leją Anglików w Grecji. Panie, czy tylko aby Kair jeszcze się trzyma? — Zatro skałem się gwałtownie o najbliższy cel mojej dalszej podróży.

— Niech pan trzyma się mocno. A więc po kolei. Jugosławia cała opanowana. Niemcy stoją pod Kairem i Atenami. Przed paru dniami był desant na wyspy brytyjskie. Walki jeszcze trwają, ale Churchill jest już na Grenladii. Mówił stamtąd iż Anglia bić się będzie dalej. Tam też jest z nim rząd polski...

Zaległa chwila milczenia. Wiadomości były zupełnie fantastyczne, ale i fantastycznymi w pewnym czasie wydawały się możliwości przetransportowania armii nie-

mleczkiej do Afryki, a tymczasem Rommel zdobył Benghazę. Weszliśmy już w takie stadium wojny, że zasadniczo nie było rzeczy i spraw niemożliwych. Dopiero po małej chwili namysłu zdałem sobie sprawę, że moi angielscy okrętowi towarzysze, z którymi przecież jeszcze półtorej godziny temu gwarzyłem o pogodzie, na poranne pytanie „co słyhać nowego“ na pewno nie poinformowaliby mnie o klęsce Jugosławii czy Grecji, może nawet „the news“ o Rommlu pod Kairem była zbyt mało frapująca, by warto męczyć się jej powtarzaniem, ale inwazja na Wyspy, ale rząd brytyjski w Grenlandii, ale historia z cyklu Wilhelma Zdobywcy — nie, to na pewno przekroczyło by na tyle granice ich psychicznej wytrzymałości, iż zapytaliby niewątpliwie, co ja o tym sądzę?

Wobec tego roześmiałem się. Roześmiał się i pułkownik. W rzeczywistości tylko (wtedy mówiło się już „tylko“) Jugosławia została całkowicie „załatwiona“ przez Niemców. Poza tym na granicy egipsko-libijskiej Bardia została zdobyta przez Rommla, a Tobruk pewnie padnie łada moment, gdyż broni się już od dwóch dni.

Tak gwarząc przejechaliśmy wielką bramę. Byliśmy na terenie bazy RAF-u. Na asfaltowych ścieżkach stały niekończące się szeregi skrzyń z samolotami, poukrywane pod obfitymi liśćmi drzew palmowych. Przywiezione maszyny czekają nieraz bardzo długo na montaż, gdyż niestety baza nie jest jeszcze wykończona i dopiero za dwa miesiące będzie w stanie montować samoloty mniej więcej równie prędko, jak są one dostarczane przez Anglię i inne „neutralne“ mocarstwa.

Przed oficerską messą czekała już grupka oficerów z białoczerwonymi wstążkami na hełmach. Pułkownik Izyski nie sam był w Takoradi — jak sądziłem. Stał na

czele dużej grupy polskiej, złożonej z około stu pilotów, oficerów i podoficerów, którzy przyjechawszy tu przed paru miesiącami z Anglii, odprowadzają zmontowane maszyny z Takoradi do Kairu. Lecą konwojami polsko-brytyjskimi, robiąc w jedną stronę około sześciu tysięcy mil.

Gdy wyskoczyłem z maszyny zaczęli mnie serdecznie ścisnąć. Cieszyli się na londyńskie ploteczki, — kto, z kim, dlaczego, i co z tego wynikło.

WIELKA WOJNA W TAKORADI

Gdy siedziałem przy pierwszym spożywanym na ziemi takoradzkiej obiedzie — przyjechało z lotniska trzech polskich pilotów. Obskoczono ich zewsząd, posadzono przy stole i niecierpliwie wypytywano o szczegóły jakiejś historii. Dopiero po paru chwilach słuchania — zorientowałem się, iż chodzi o katastrofę. O całą dobę opóźniła ona przylot pilotów, których czekano z niecierpliwością. Depesze już wcześniej podały przyczynę spóźnienia, nie przynosząc jednak szczegółów katastrofy, w wyniku której dwóch Brytyjczyków znalazło śmierć, a jeden Polak powędrował do szpitala.

Była to jedna z — niestety — bardzo częstych katastrof na tej trasie. Katastrof, które — o ironio! rzadziej zdarzają się lotnikom odprowadzającym w konwoju świeżo złożone maszyny do Egiptu, niż gdy wracają już nie jako piloci, a tylko i wyłącznie jako pasażerowie wielkich transportowców. W tych ogromnych latających maszynach, zdolnych zabrać kilkudziesięciu pasażerów — tkwi jakaś szatańska przekora, jakiś fatalny błąd konstrukcyjny, który sprawia, iż często przy startowaniu maszyna ryje się silnikiem w ziemię, zapala, z wszelkimi dalszymi konsekwencjami podobnych awantur.

Historia powtarza się co czas pewien. Piloci klną w żywy kamień. Monity wędrują między władzami wszystkich szczebli i stopni, ale sytuację zmienia to nie-

wiele, gdyż ...po prostu brak jest samolotów transportowych. Ciągłe jeszcze Wielka Brytania, a nawet jej neutralna sojuszniczka Ameryka Północna, nie są w stanie sprostać zapotrzebowaniom.

Messa gotuje się oburzeniem, ale — jutro wszyscy znów polecą na konwój, by wracać za dwa tygodnie przekłętymi „trumnami“, jak pięknie i czule określają transportowce.

Katastrofy samolotowe zdarzają się często. Delikwent wali się gdzieś w dżunglę w piasek. Jeżeli nie wykończy się od razu, — ma wszelkie szanse uniknięcia śmierci. Lotnicze patrole przetrząsają okolice. Cały spryt polega wtedy już tylko na tym, by dać się zauważyć. Jeżeli to się nie uda — pilot wypruwa ze swej marynarki lotniczej wszytą tam mapę, odkręca jeden z guzików, w którym mieści się podręczny kompas, z portfelu wydostaje list, którym Jego Wysokość Król Angielski, Cesarz Indii itp. poleca go opiece swoich prześwietnych kuzynów — kacyków i szefów miejscowych plemion i szczepów. Jeżeli szczęście mu dopisuje — złapie wtedy jakieś tubylcze plemię, które metodą „szupasową“ odstawi go na koniec do rąk najbliższego brytyjskiego rezydenta.

Są jednak tacy, którzy nie mają szczęścia... Przed niedawnym czasem nie miał właśnie szczęścia pilot amerykański, który — zgodnie z zasadą Manroego, nie interweniowania w sporach wschodniej półkuli, wydelegowany został przez swój rząd, by, z neutralnego punktu widzenia, pouczać swych anglosaskich braci o technicznych tajnikach amerykańskich maszyn. Zginął gdzieś na pustyni. Ale już przyjechali dwaj inni na jego miejsce i nawet zamieszkują w tym samym bungalow, co ja.

Takoradi żyje wielką wojną. To nie jest odcięta od świata miejscowość kolonijna, gdzie spokojni urzędnicy imperium zamykają głośnik właśnie w momencie, gdy za-

czyną nadawać bieżące wiadomości wojenne. O wielkiej wojnie nie pozwala zapomnieć śmierć, śmierć lotnika transportowca, która nieustannie wyrywa kogoś z szeregów bez mała tysięcznej braci pilockiej. O wielkiej wojnie, która przewala się światem, nieustannie przypomina życie i codzienna praca. Praca sprawia, iż Takoradi jest jedną z węzłowych stacji tej wojny. Łączy ono Londyn i Waszyngton z Capuzzo i Kairem. Od sprawności ludzi zamieszkujących ten pozornie porzucony skrawek ziemi — zależy wynik bitwy o Egipt. Czy dostatecznie dużo samolotów wyleci stąd, by wstrzymać Rommla? To nieustanne, codzienne pytanie każdego z mieszkańców obu lotniczych obozów: oficerskiego i podoficerskiego.

Codziennie wieczorem, gdy solidny obiad domaga się spokojnego trawienia, oficerowie wylegają na werandę, by przy głośniku niosącym przebieg dnia, planować, złożyć się, smucić i radować.

Smucić się jest z czego: Grecja dogorywa. 60-tysięczny korpus pomocniczy brytyjski nie na wiele się przydał.

Na werandzie jest z lekka ciemno. Zaciemnienie, ale zaciemnienie jedynie częściowe obowiązuje tylko okna od strony morza. Reszta może świecić w nocny świat, jak chce. Tak jest od niedawna. Od wieczoru przed paru tygodniami, gdy akurat *vis à vis* Takoradi, tysiąc mil od brzegu, pojawił się niemiecki olbrzym, kieszonkowy pancernik „Deutschland“. „Deutschland“ mógłby bez zbytej fatygi podpłynąć nieco bliżej, narychtować swoje działa — i w ciągu chwil paru z całego Takoradi, lotniska i warsztatów, pozostałaby gruntowna kasza. Nie na wiele nawet przydałaby się uroczysta armata 75 milimetrów, która stoi obok portu, groźnie wycelowana w morski przestwór. Jedyna ciężka broń w tej okolicy. Nie jest

to wprowadzić wielką siłę ognia, ale za to siła ludzi znajduje przy niej pożyteczne zajęcie. Niedaleko armaty rozłożył się wielki i obszerny obóz wojskowy. Zaludniają to miasto namiotów i okrągłych, budowanych z gliny, murzyńskich chat, żołnierze, tubylcy, ochotnicy, których nie wolno używać poza granicami kolonii. A w jej granicach mogą być tylko użyci do obsługi armaty, wart honorowych i paru innych równie istotnych dla przebiegu wielkiej wojny zajęć.

Murzynów jest kilkuset, może nawet ponad tysiąc. Ubrani w skautowe mundury; owijacze zakrywają łydki od kolana do kostek. Poniżej kostki są już tylko gołe stopy, które na rozgrzanym asfalcie donośnie wybijają rytm żołnierskiego marszu. Przewodzą tym murzyńskim legionom oficerowie południowo-afrykańscy. Również ochotnicy. Jako, iż po dziś dzień, dzień dwudziestego pierwszego miesiąca wojny przeciwniemieckiej i jedenasty przeciw włoskiej, w Unii Południowo-Afrykańskiej nie zarządzono mobilizacji.

Na armacie, obozie, bosych żołnierzach, których nie wolno ruszyć z miejsca i paru oficerach ochotnikach — wyczerpuje się wkład lądowy Złotego Wybrzeża do wielkiej wojny. Wkład morsko-powietrzny jest grubo poważniejszy. Jest najpoważniejszy, jaki tylko może być. Ale o to tutejsi mieszkańcy troszczą się bardzo niewiele, nawet sprawy sobie z tego nie zdają. Są tylko uradowanymi konsumentami ogólnej zamożności, jaka wybitnie poprawiła się w rezultacie napływu masy wojskowych i to do tego nieustannie latających między stolicą Afryki Kairem a Takoradi.

Takoradi rozwija się z gorączkową prędkością. Całe falangi murzynów betonują coraz to nowe place na lotnisku. Muruje się nowe domki mieszkalne, dla oczekiwanego powiększenia załogi lotniczej. Do domków tych

wstawia się meble z autentycznego mahoniū; jest on tu tak pospolity, że nawet sedesy w nieskanalizowanych ubikacjach robione są z mahoniū. Meble mahoniowe — szczyt marzeń luksusowego europejczyka — tutaj używane są do ról najpośledniejszych. Zresztą tak, jak i pawie pióra, kitką których boy codziennie odkurza mahoniowe meble. Jednym słowem — żyjemy niczym Krezusy.

Teraz jeszcze ilość miesięcznie zmontowanych samolotów nie przekracza trzystu, lecz już za dwa miesiące ma dojść do tysiąca sztuk. Przystworza na szlaku Takoradi—Kair pokrywają się ruchomą masą mechanicznego ptactwa. Anglicy muszą dostarczyć tymi, tak skomplikowanymi sposobami, więcej maszyn, niż mogą to uczynić Niemcy. Od wyprodukowania maszyny w fabryce w Anglii, do zaprodukowania jej na froncie pod Capuzzo mija w najlepszym razie trzy miesiące. Niemieckie Junkersy wybudowane w fabryce pod Wiedniem, trzeciego dnia od opuszczenia fabryki pełnią już bojową służbę u Rommla. Skrócenie tej różnicy 89 dni zależy w walmym stopniu od sprawności i wydajności Takoradi. Praca nad powiększeniem bazy prowadzona jest zaciekle, co wcale jednak nie przeszkadza, że prawa obyczaju brytyjskiego życia nie mogą być naruszane.

Mimo masy roboty — obowiązują wszystkie rytualne gesty tej społeczności. A więc niezliczona ilość „tea“ dziennie, a więc golf o przepisowej godzinie. i footholowe zawody. Wszystko to ma na celu zachowanie możliwie niewzruszonej proporcji między pracą zawodową czy obowiązkami ojczyźnianymi, a własnym życiem i własnymi prywatnymi przyjemnościami. Jedną z najistotniejszych tajemnic powodzenia angielskiego systemu życia, na tym chyba właśnie polega, że dopiero w bezpośrednim ogniu szalejącej bitwy Anglik zapomi-

na, że jest on nie tylko buchalterem i Brytyjczykiem, poddanym Jego Królewskiej Mości, ale i Mr. Smith, któremu się też zawsze coś należy.

Wszyscy Smithy, Browny, Wilsony zebrani w Takoradi w służbie ojczyzny i Korony nie zapominają tedy o piłce nożnej. W rezultacie obóz cały jest bardziej roznamiętniony wielkimi mistrzostwami footballu, niż wiadomościami z Grecji czy Egiptu. Trafiłem na ich finał. Drużyna mechaników gra z drużyną radiotelegrafistów. Są to zwycięzcy półfinałów. Polacy, jako jednolita ekipa, odpadli już dawno. Niemniej i dla nas finałowe spotkanie, któremu poświęcono całe niedzielne popołudnie, było dniem niezwykle uroczystym. Chodziło przecież o to, który zespół — mechanicy czy radioci — zdobędą wielki puchar przechodni „marszałka powietrza“, dowódcy bazy. Namiętność w czasie gry była niebywała. Był to pierwszy w życiu mecz piłki nożnej, jaki oglądałem (jak dotąd chwala Bogu ostatni). Wynudziłem się za wszystkie czasy, jeszcze raz stwierdziwszy, iż brak mi absolutnie żyłki hazardu, tak w ruletce, w szachach, jak i w „piłce kopanej“. Najciekawszą z całego meczu była publiczność. Wariowała w sposób zupełnie nieprzytomny i zgola nielicujący z regulaminową dostojnością rasy anglosaskiej z jednej strony, a upałem podrównikowym z drugiej. Wśród rozentuzjasmowanych i rozemocjonowanych grą widzów byli i moi towarzysze podróży, swego czasu tak obojętnie reagujący na zajęcie Benghazy przez Rommla. Tego jednego nie mogłem im ciągle darować. Choć w zasadzie dlatego właśnie tak podziwiam psychikę brytyjskiego narodu.

Wśród takich rozrywek i spotkań oczekiwałem z dnia na dzień, coraz niecierpliwiej, upragnionej „priority“ z londyńskiego ministerstwa „powietrza“, która dopiero upoważniała mnie do zajęcia miejsca w samolocie pasa-

żerskim i to w przyśpieszonej kolejce. Chwilowo nie robiąc nic, piekłem się w upalnym słońcu, wędrowałem po okolicznych wioskach murzyńskich, co parę godzin wlażyłem pod zimny prysznic zużywając tony mydła, wzorem innych białych, co jest najlepszym zabezpieczeniem się przed chorobami skóry, powstającymi w tropikach, jadłem banany, nadstawiałem ucha opowiadaniom i plotkom, wreszcie wędrowałem po okolicznych miasteczkach i wioskach murzyńskich.

W Sekondi, miasteczku swego czasu większym od Takoradi, widziałem ciekawy „czarny rynek“. Czarny pod każdym względem — symbolicznym i rasowym. Czekoladowi murzyni sprzedawali tu masami ładne, choć prymitywne wyroby ze szczerego złota. Złoto wynosili, mimo najsurowszej kontroli i skrupulatnych rewizji, robotnicy murzyni pracujący w kopalniach złota. Prócz wyrobów takich jak obrączki, bransoletki, nauszники, kolczyki, noże, łyżki i inne drobiazgi, nabyć można tu było rzeczywiście piękne wytwory skórzane, makaty, torby, teczki, portfele, poduszki. Nie chciałem kupować, wiedząc dobrze, że i tak w pewnym momencie, gdzieś pewnie na Bałkanach, przyjdzie mi pożegnać się z całym moim bagażem.

Murzyni interesowali się wojną na swój sposób. Funkcjonariusze pracujący w Takoradi — wtajemniczeni byli w jej skomplikowane arkana. Wiedzieli, jak w swej mózgowej szachownicy ustawić Anglików, Niemców i Polaków. Po wsiach jednak do świadomości murzyńskiej dochodziło już znacznie mniej. Gdy któregoś dnia dotarłem do niezbyt oddalonej wioski, pierwsze zdanie jakie w trybie pytającym otrzymałem, brzmiało: -- „English?“

Zaprzeczyłem. Wobec tego postawiono następne, już tonem pewnej nieodwracalnej konkluzji, wynikającej

z poprzedniej negatywnej na temat mej angielskości, odpowiedzi.

— „Germany?”

Dla mieszkańców Złotego Wybrzeża, którego zachodnia część Togo, ongiś należała do Niemców, istniały tylko dwie narodowości. Niemcy i Anglicy.

Czułem się tym w pierwszej chwili zlekka zażenowany.

Tak podróże nieustannie strącają Polaków z piedestału naszej urojonej wielkości i ważności w światowej skali. Nawet murzyni...

„BIALI I CZARNI“

Mieszkam w oficerskiej części takoradzkiego lotniczego obozu. W maleńkich domkach — zwanych bungalow — Bogiem a prawdą znacznie więcej wspólnego mających z week-end'owymi willami Anglii lub Ameryki, niż autentycznymi bungalow murzyńskimi czy indyjskimi. Mniejsza jednak o nazwę. Przebywam wśród polskich oficerów. Urządzeni są tu wszyscy luksusowo. Każdy ma oddzielny pokój, kompletnie wyposażony w meble i wszelaki sprzęt. Domki nie są wprawdzie jeszcze skanalizowane, ale już dysponują bieżącą wodą. Mieszka się tutaj, jak u Bozi za piecem; porównanie jest szczególnie trafne, jeżeli wziąć pod uwagę panujące upały. Każde bungalow ma swojego opiekuńczego anioła-stróża, to jest boya; nazwa ta określa nie tyle małego chłopca, co w ogóle służącego, bez względu na jego wiek i stan cywilny. Powinnością boya jest wszechstronna obsługa oficera. Do najważniejszych zaś jego obowiązków należy codzienne wietrzenie wszystkich ubrań i całej bieleziny białego. Takoradi jest miejscowością o bardzo szkodliwym klimacie, tak dla człowieka, jak przedmiotów. Panuje tu piekielna wilgoć. Ona łagodzi żar słońca i sprawia, że powietrze tego kraju jest zupełnie łagodne. Z drugiej jednak strony ludzie masowo chorują na malarię, a przedmioty pozostawione przez dzień w jakimkolwiek zamknięciu (szafa, walizka) zaczynają pokrywać się ple-

śnią. Garnitury, mundury, bielizna wszelka co rano zostają wyniesione na specjalnie w tym celu ustawione przed domami ramy, gdzie suszą się na słońcu przez cały dzień.

Drugą niezwykle ważną czynnością boya jest wieczorne przygotowanie łóżka dla białego. Nad łóżkiem wygięty jest specjalny kabłąk, z którego spływa do dołu, obejmując szczelnie całe posłanie, moskiton — siatka mająca chronić przed bliższym kontaktem z robactwem, którego ukąszenia są zatrute i wywołują przykre dla organizmu komplikacje. Wieczorne ślanie polega przede wszystkim na umiejętnym rozpostarcu siatki, tak kunsztownym, by śpiący mógł się pod nią wsunąć nie rujnując całego systemu.

Poza tym boy pierze, sprząta i o godzinie szóstej rano stawia na nocnym stoliku „cup of tea“ z bananem. Banan dodawany jest tutaj do każdego posiłku, jak gdzie indziej kawałek chleba, czy keks; to gastronomiczna osobliwość kraju.

Za to wszystko boy dostaje od polskiego oficera miesięcznie dwie półkoronówki to jest 5 szylingów. Boy jest wniebowzięty i zapalczywie kocha Polaków. Za te same usługi boy dostaje od Brytyjczyka pół szylinga, niezwykle rzadko całego szylinga. Murzyni publicznie okazują swą niechęć do Brytyjczyków.

Oficerowie lotnicy mieszkają każdy u siebie w bungalow, ale jadają wszyscy razem — Polacy, Anglicy i goście, jak Francuzi, Amerykanie i inni — w messie oficerskiej. Kierownikiem messy jest starszy pan, w tamtej wojnie major czy podpułkownik RAF-u, w tej, ze względu na wiek, już tylko porucznik lotnictwa. Siedzę właśnie przy długim polskim stole, i od dziesięciu już minut nie mogę się doprosić, by któryś z kilkunastu boy'ów przyniósł mi nóż. Prócz mnie, denerwuje się na

skandaliczną obsługę jeszcze paru oficerów. Mają termin na lotnisku, a nie mogą się doczekać posiłku, który Anglicy już dawno dostali. Przy stołach usługują boye, młodzi chłopcy o miłych wesółych twarzach, o imionach takich jak Stefan, Marek, Jan, Ludwik; chrzcili ich katolicki ksiądz. Chłopcy są bardzo mili, swe serdeczne uczucie dla Polaków demonstrują na każdym kroku, i absolutnie lekceważą sobie wszystkie polecenia tych samych Polaków. Za chętkę pentelkę mają polskiego oficera, stojąc jak trusie przed Anglikiem; ten nigdy nie czeka na nóż, czy kawę.

Na tym właśnie tle kotłuje się w polskim gronie. A nawet między oficerami polskimi i brytyjskimi narasta jakieś nieporozumienie, zanotować można pewne oziębienie wzajemnych stosunków.

Polscy oficerowie złością się siarczyście na stosunki panujące w messie oficerskiej. Namawiają płk. Izyskiego, by wystąpił z wnioskiem o zorganizowanie przez Polaków ich własnej messy. „My im dopiero wtedy pokażemy rygor i porządek“ — odgrają się zapalczywie.

Historia zaczęła się dopiero niedawno, parę dni przed moim przyjazdem. Polacy mają zupełnie odmienny stosunek do murzynów, niż Anglicy. My nie czynimy w zasadzie żadnej różnicy między murzynem, a nie-murzynem, polscy oficerowie uważają, że towarzyski, wydrukowany w książeczce, kodeks oficera RAF-u, który nakazuje zostawiać służbie w hotelu najmniej półkoronowy napiwek, obowiązuje i wobec obsługi murzyńskiej. Jednym słowem — polscy oficerowie wcale nie uważają murzynów za coś bardziej gorszego niż w mniemaniu wszystkich oficerów świata przeciętny cywil jest gorszy od przeciętnego mundurowca.

Do tego wszystkiego większość młodych oficerków

wychowanych w „ideowej szkole“ Oeneru, przekonawszy się zapewne, iż murzyni nie są Żydami, nie widzi żadnych podstaw do ich rasowej dyskryminacji. Stąd rodzi się nawet pewien szlachecko-szłagoński gest poufałości w stosunku do służby murzyńskiej — i w tym punkcie zaczyna się konflikt z Anglikami. Anglicy w murzynie uznają pełnoprawnego człowieka, któremu należy wybudować przestronny domek z karbowanej blachy, który musi dobrze dostać jeść, któremu należy dawać porządne ubrania, który jednak wcale nie jest obywatelem równym obywatelowi Imperium w szczególności, a białemu w ogóle. Anglik jest dla murzyna surowy i wymagający. Doskonale orientuje się on w wartości praktycznej pieniądza w obrocie między-murzyńskim. Wartość ta jest niezwykle niska, gdyż murzyn jest niewiarygodnie mało wymagający. I stąd Anglik nigdy nie zapłaci mu więcej, jak sumę wielokrotnie mniejszą od tej, którą by dał za identyczną pracę białemu. Robocizna jest tu fantastycznie tania i dlatego biali dorabiają się przeważnie w ciągu swego paroletniego pobytu w koloniach niezłych mająteczków. Oficer brytyjski będzie dla boya zawsze jednakowo surowy; nie pozwoli sobie ani na żadną poufałość, ani też nie będzie mu zbyt wymyślał. Nie okaże mu nigdy ani swego gniewu, ani swego serca. Jest to stosunek trochę jak do przedmiotu z drewna.

Inaczej Polacy. Przed paru właśnie dniami, wieczorem, urządził sobie cercle polski z okazji czyichś imienin lekką popijawę. Bibka odbywała się przyjętym obyczajem w messie: murzyni posługiwali. Początkowo rozpoczęła się sielanka. Młodzi chłopcy obdarzeni zostali niezwykle serdecznością starych chłopów, którzy mając już dobrze w czubie, niepomni, iż są w angielskich mundurach, zaczęli z Jankami, Stefanami i Ludwikami prze-

pijać siarczyste bruderszafty. Zabawa szła na całego, aż młodzi boye zapomnieli się do tego stopnia i do tego stopnia stracili należny respekt, że przestali fatygować się obsługą Polaków i w swej pierwotnej naiwności wypijane bruderszafty pojęli zbyt dosłownie. Tego znów nasi oficerowie nie mogli ścierpieć i od bruderszaftów przeszło do siarczystych policzków. Biednych murzynów wytrąciło to zupełnie z równowagi. Zrobiła się lekka chryja, która następnego dnia oparła się o „marszałka powietrza” — to jest dowódcę całej bazy. Anglicy uważali, iż Polacy popełnili co najmniej podwójny shoking, raz pijąc bruderszafty, drugi raz waląc murzynów w głębę. Murzyńscy zaś chłopcy nabrali do Polaków szalonej sympatii i uznawszy w nich miłych i niegroźnych panów, przestali ich po prostu obsługiwać, lub czynili to w sposób rekordowo niedbały. Z kolei polscy oficerowie byli wściekli i odgrażali się, iż założą własną mesę.

Po paru dniach sprawa oczywiście rozeszła się po kościołach, stając się z jednej strony przyczynkiem do charakterystyk wszystkich trzech zainteresowanych w niej nacji, a z drugiej — mogąc stać się empirycznym argumentem w dyskusji nad słusnością czy niesłusnością brytyjskiej polityki kolonialnej.

Murzyni wprawdzie nie znoszą Anglików, ale bezstronnie przyznać trzeba, iż brytyjska polityka kolonialna zasadniczo na złe im nie wychodzi. Pod tym względem zresztą Złote Wybrzeże, tworzące wraz z krajem Aszanti jednolitą kolonię brytyjską, notuje w swych historycznych annałach wydarzenia bardzo znamienne. Gdy w 35 roku ubiegłego stulecia brytyjski parlament uchwalił powszechne zniesienie niewolnictwa w koloniach Imperium — w kraju Aszanti i na Złotym Wyrzeżu podniósł się bunt tamtejszych kacyków murzyńskich, czerpiących dotąd znakomite zyski z wzajemnego wyla-

pywania swych poddanych i sprzedawania ich na światowy rynek niewolniczy. Handel niewolnikami — to główne źródło bogactwa portów Zachodniej Afryki. Bunt murzynów został w metropolii zlekceważony. Po jakimś czasie wysłano statek, by paru marynarzami uśmierzył awanturę. Marynarze zostali wycięci w pień. Wtedy posłano większy okręt — z takimż tragicznym skutkiem. Rząd imperialny ciągle nie mógł zrozumieć, jak murzyni śmia w ogóle zwyciężać białych brytyjczyków niosących im wolność. Historia ciągnęła się czas dłuższy. Nim wreszcie zrozumiano, że powstanie zdusi się dopiero przy użyciu poważniejszych sił. Wysłano parę większych jednostek bojowych. Po siedmiu latach walki na koniec powstanie upadło, a z nim skończyły się na czas pewien złote czasy tamtejszego kraju: skończył się bowiem handel niewolnikami.

Pobiwszy murzynów — Brytyjczycy nie zrezygnowali z pośrednictwa kacyków w rządzeniu kolonią. Między kacykiem Złotego Wybrzeża, a Imperium istnieje umowa, na mocy której Anglicy robią w kolonii co chcą, to jest w czasach pokoju głównie wydobywają złoto z tamtejszych kopalni, a w czasach wojny — organizują tu swoje bazy wojskowe. Poza tym nic więcej nie żądają od ludności. Nie dają im żadnych praw imperialnych obywateli, ale też nie wymagają od nich żadnych obywatelskich obowiązków.

Murzyni nie służą zasadniczo w wojsku. Miejscowa armia składa się tylko z ochotników i wyłącznie obsługuje jedyną stojącą w porcie 75 milimetrową armatkę. Anglicy dbają o ludność budując jej domy, szkoły i szpitale — w słusznym przekonaniu, iż w ten sposób najlepiej i najtrwalej zabezpieczają się przed jakimiś nowymi awanturami. Zabezpiecza ich poza tym sam kacyk, który rządzi swymi poddanymi. Rządzi — to znaczy

w pierwszym rządzie pobiera w funtach pięciotysięczną pensję ze skarbu Jego Królewskiej Mości, a następnie ściąga podatki ze swych poddanych. Poza tym jest zupełnie dla Imperium nieszkodliwy; jest gruby, śmieszny, ma parę żon, auto i maszynę do pisania, prawdopodobnie dary swego Wielkiego Kuzyna. Poza tym w stolicy kolonii Akkra rezyduje gubernator brytyjski; jako pieniądze obowiązuje funt zachodnio-afrykański, emitowany przez Bank w Legos i posiadający kurs nieco wyższy od funta wielkobrytyjskiego. Politykę zagraniczną kolonii prowadzi Minister Spraw Zagranicznych rządu J. K. M. W kolonii jest spokój i murzyni żyjąc we względnym, właściwym sobie dostatku, nie dążą od Brytyjczyków żadnych takich krzywd, z których zdawaliby sobie sprawę. Nie lubią ich, lecz ten brak sympatii nie przejawia się w żaden niebezpieczny dla całości Imperium sposób. Na to zresztą murzyni są za leniwi. Ich najmilsze, najbardziej preferowane zajęcie, polega na bezczynnym leżeniu i wygrzewaniu się na słońcu. Uważają oni, ku zgrozie wszystkich europejczyków, którym jest to walną przeszkodą w interesach i obliczeniach, że murzyn tylko po to pracuje żeby jeść, a więc, wystarczy mu tylko tyle pracować, by zarobić na codzienny posiłek. Ponieważ — na szczęście — jedzenie jest tanie i niewymyślne, — wyrobienie penna, czy półtora penna dziennie nie jest wcale trudne. Popracowawszy troszeczkę murzyn kładzie się jak długi. Uważa, że już na dziś wystarczy. Są jednak pewne sposoby sprawiające, że pracują oni lepiej i wydatniej. Zastanowiło mnie, jak często widzę białych funkcjonariuszy, w niesamowicie krzykliwy sposób wymyślających coś murzyinom pracującym przy budowie lotniska, czy okolicznych szos. Zastanowiło mnie to, gdyż już wiedziałem, że biały nie powinien nigdy unosić w gniewie głosu na czarnego. Że

to shocking. Okazało się jednak, iż sprawa wygląda zgola inaczej. To nie było żadne wymyślanie. To były po prostu krzyki, i to możliwie rytmiczne. W innych wypadkach biały kierownik rozkazuje jednemu z pracowników bić rytmicznie ręką w zwykły bęben. Chodzi o to, że murzyni lepiej pracują przy jakimś rytmicznym hałasie.

Murzyn pracuje poza domem. U białych przede wszystkim. Jest przy tym rozgarnięty i pojętny. Najchętniej pracuje tam gdzie jest dużo ruchu. Na przykład znakomicie prowadzi samochód. Jest doskonałym, choć nieco zwariowanym i karkołomnym szoferem, ale wiedza jego zatrzymuje się już na pograniczu zagadek maszyny. Nie potrafi naprawić najmniejszego uszkodzenia mechanizmu. Murzyni jeżdżący na samochodach, nieustannie marzą o samolotach. Zamęczają miejscowe kierownictwo lotnictwa, by pozwolono im latać.

Poza tym mężczyźni łowią ryby. Oczywiście na oceanie nie sposób zakładać sieci, jak czyni się to na Bałtyku. Rankiem, skoro świt wypływają łodziami daleko na morze i tam zanurzając płaskie, rozpięte między widłami siatki, wylawiają od razu setki i setki ryb. Przy brzegu, gdzie jest płytko, metoda jest odmienna. Nie słychanie piękna. Zwłaszcza gdy rzecz dzieje się w blaskach zachodzącego słońca. Murzyn staje w wodzie po kolana i ponad głową rozkręca wielkie, o parometrowej średnicy koło, utkane z drobnej siatki, po brzegach zakończone ciężkimi ołowianymi ciężarkami. Koło kręci się ponad nim tak długo, aż utworzy się równa płaszczyzna wirująca w promieniach słońca. Zanika w pędzie siatka, zostaje tylko krąg narysowany ołowianymi ciężarkami. Gdy koło jest już zupełnie proste, murzyn wyrzuca je w przestrzeń, przed siebie, na wodę. Siatka opada na powierzchnię morza, a ciężarki idąc natych-

miast na dno, pociągają za sobą całą sieć. Siatka przyciska ryby do dna. Wtedy rybak podbiera ją od dołu, zaciska, tak, że tworzy się worek, w środku którego trzepoczą się złapane ryby.

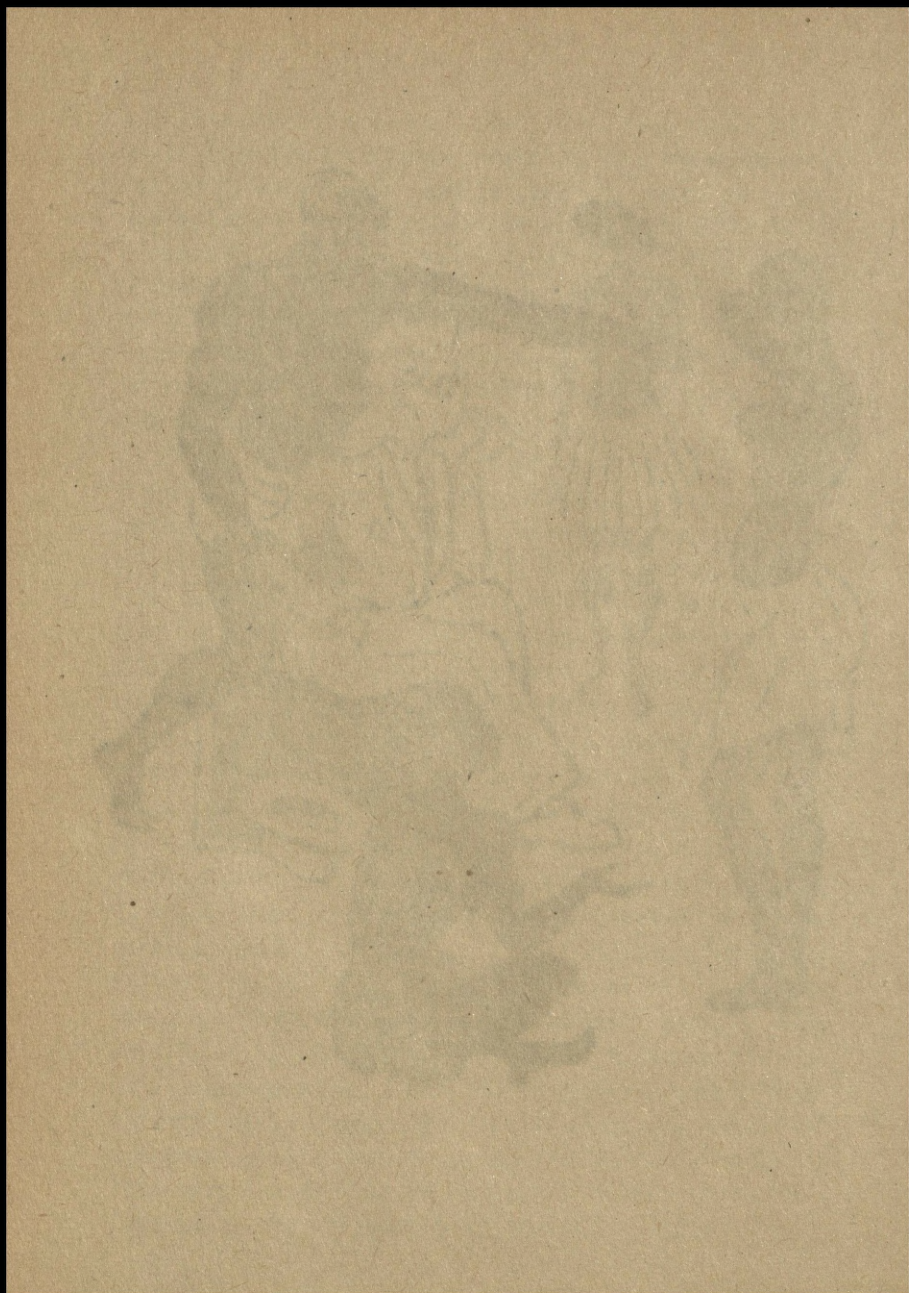
Resztę gospodarstwa domowego czyni kobieta, piękna i zgrabna, póki nie wyda na świat pierwszego dziecka. Wraz z nim traci swe piękne kształty. Więdnie prędko. Piersi, niegdyś pełne i wyzywająco sterczące, teraz stają się pustymi workami ze skóry, zwisającymi nisko i niedbale. Kobieta swoją urodę przekazuje dziecku. Kobiety pracują koło domu, pola i jarmarku. Handlują na targach, dźwigając swoje skarby, te na sprzedaż i te kupione, tylko i wyłącznie na głowach, na których potrafią spiętrzać je w przedziwną piramidę, dźwiganą równie umiejętnie, jak pojedynczy garnuszek pełen mleka. Kobiety te znają się na ogół dobrze na gospodarce domowej. Chatki są utrzymane czysto i porządnie, kuchnia też — ku memu najwyższemu zdziwieniu — wprawdzie nieco dziwna, i trudna do określenia, ale smaczna. Żony znają się na tym, gdyż większość z nich przeszła odpowiedni przedmałżeński stage jako „kolonialna żona“ któregoś z tutejszych białych. Dziewczęta chętnie idą w taki jasyr, trwający przeważnie półtora roku (okres ciągłej pracy kolonialnego urzędnika). Białły uczy je nie tylko sztuki miłości, ale i gotowania, prania, szycia i w ogóle cywilizacji. Po takiej służbie prędzej i łatwiej, niż bez niej, znajdzie w swej wiosce kandydata na męża.

Nie dziwnego tedy, że jak tylko pojawiłem się w niebardzo oddalonej od Takoradi, ale już leżącej w dżungli wiosce, zaraz obkoczony zostałem masą młodych dziewcząt, które stary murzyn, podający się za „father“ — ojca — zaczął mi stręczyć za „kolonialną żonę“. Kosztowało to nawet zupełnie tanio. Kilka szylingów płatnych natychmiast na rękę staremu. Dziewczynie potem już przez

cały czas służby można nic nie dawać. Gdy wykręciłem się od tego handlu żywym towarem, zaczął mnie inny faktor pytając z kolei, czy ja czego nie mam do sprzedania. Gdy i to przypuszczenie okazało się nietrafnym — zaczęto patrzeć na mnie dziwnie nieufnie. Cóż to za dziwny biały, co przyszedłszy ani nie chce handlować, ani nie szuka robotników, ani nie chce wziąć sobie dziewczyny? Na tych paru schematach wyczerpuje się bowiem stosunek białych do czarnych. Przynajmniej do dorosłych — czarnych.

Bo z dziećmi jest zupełnie inna historia. Dzieci murzyńskie są rozkoszne i śliczne. Rację miały poprzednie pokolenia dzieci europejskich, które zbierały czekoladowy staniol, by wykupić z Afryki takiego małego obywatela. Choć gdyby go zobaczyły — to ich mamy pozieleniałyby z zazdrości. Dzieci murzyńskie — przynajmniej tutaj na zachodnim wybrzeżu — są rzadkiej piękności. Po pierwsze są dużo kształtniejsze niż ich europejskie równolatki. Gdy tamte mają przeważnie zbyt duże w stosunku do reszty tułowia główki — to murzyńsiątka zachowują w tym względzie znakomitą proporcję. Mała główka — może razić u dorosłego mężczyzny, doskonale pasuje do małego dziecka. Kształtne i ładne są dzieciaki murzyńskie. Do tego są niezwykle miłe i naturalne. Nie boją się obcego. Ta naturalność i brak lęku rychło przechodzi w cechę mniej sympatyczną: — w żebractwo. Wszystkie dzieci żebrzą. Kilometr przed wioską i tyleż za nią, biały paraduje w ciasnym tłumie dzieciaków, różnego wieku i płci, które zgodnym wykrzykują chórem: penny, penny, penny... A niech Bóg broni dać któremuś penna, wtedy dopiero reszta odprowadzi cię trzy razy tak daleko, niż to był ich zamiar pierwotny. Na domiar złego wypatrzą cię jeszcze i w Takoradi i na-





stępować ci będą na pięty po całym miasteczku, wrzeszcząc uparcie — penny, penny, penny.

Jest to jedyna moneta jaką zna i czuje murzyn. Szyling jest czymś rzadko spotykanym i wartość jego jest olbrzymia.

Iluz lat i jakiejż pracy trzeba, by z tego prymitywnego ludu uczynić pełnowartościowy naród? Czy linia, którą ku temu celowi kroczą nader powoli Anglicy jest dobra czy zła? Właściwa czy karygodna?

Gdy tak wędruję między białymi i czarnymi, którzy żyją tu spleceni węzłem wspólnych, choć nierównych interesów, — wędruję, jak ptak przelotny, który w tych parę dni zobaczy mało, a zrozumie jeszcze mniej — żałuję, iż nie mam przy sobie mądrego przewodnika po tych zawiłych sprawach — książki Jerzego Giżyckiego „Biali i czarni“.

NASI NIEDALEKO RÓWNIKA

Dużą grupę polskich oficerów stacjonujących w Takoradi można z grubsza podzielić na trzy kasty, które nawzajem zajmowały wobec siebie różne pozycje towarzyskie, służbowe i uczuciowe. Linie podziału nie układały się przy tym wcale według jakiegoś prostego schematu; są one bardzo zawiłe i pokrzyżowane.

Pierwszy podział dzielił tych, którzy latali od tych, co nie latali. Tych drugich była grupka niemała. W RAF-ie na każdy bombowiec wypada przeciętnie czterdziestu paru ludzi obsługi, z tego zaledwie sześciu czy ośmiu, tworzy personel ściśle lotniczy. Reszta, to obsługa samolotu, mechanicy, radiotelegrafiści, meteorolodzy, ci wszyscy, którzy mogli nigdy nie siedzieć w samolocie.

Podobnie jest i w Takoradi u Polaków. Jest komenda ekipy polskiej pułk. Iżycki, który lata bardzo niewiele. Bodajże dwa razy tylko był w Kairze, a teraz dopiero po raz pierwszy szykuje się do lotu, jako pilot konwojujący. Lekarz, młody Poznaniak, pochodzący z rodziny szkockiej, która przed trzema stuleciami przybyła do Polski, uchodząc przed religijnymi prześladowaniami w swej ojczyźnie: po dziś dzień nosi dzwiczne szkockie nazwisko, — nie jest lotnikiem. Na szczęście nie ma tu wiele do roboty. Jest kapelan, sprawujący duszpasterstwo nad niesfornymi owieczkami, które tylko szukają okazji by zgrzeszyć z fertyczną inurzyneczką przeciwko

szóstemu przykazaniu, co prefekt gromi z wyrozumiałością na błędy ludzkie łagodnością. Jest wreszcie paru oficerów, będących tak zwanymi obserwatorami. Dlaczego znaleźli się tutaj — właściwie dobrze nie wiadomo. Przygotowują się oni, studiując mapy pustyni i puszczy, do prowadzenia — jako obserwatorzy — konwojów; jak dotąd, jeszcze nie latali. To jest jeden podział, zresztą wcale nie idący według wieku.

Druga grupa, latających, skład ma najprzeróżniejszy. Na jej czoło wybił się mjr. Rayski, który, okazawszy swe wysokie walory lotnicze, jako pierwszy z pilotów został desygnowany na pilota-kierownika konwoju, co jest zadaniem trudnym. Major Rayski — wysoki chudy mężczyzna, o smutnej twarzy i niezwyklej, wprost aż krępującej uprzejmości w stosunku do wszystkich i wszystkiego, — jest dobrze znanym nam z Polski generałem Rayskim, ex-dowódcą lotnictwa. Dziwne są jego losy. Pamiętam, jak tylko zakończył się „wrzesień” — po Warszawie buchnęła fala oburzenia na Rayskiego, jako winnego nieprzygotowaniu lotnictwa do wojny. Wtedy to miałem możność zobaczyć kopie ośmiokrotnych próśb o dymisję składanych na ręce Rydza-Śmigłego, a umotywowanych tym, że w warunkach podówczas istniejących w sztabie i ministerstwie, nie może on odpowiadać za pełne przygotowanie lotnictwa. Prośby te nosiły daty paru lat, paru lat współpracy z Rydzem-Śmigłym, który stale odrzucał je, przyjmując dopiero ostatnią, na wiosnę 1939 roku. Na emigracji, we Francji, Rayski został powołany przed sąd wojskowy polski, jako odpowiedzialny za braki lotnictwa. Wstąpił wtedy do wojska francuskiego, i jako kapitan-pilot miał się udać do Finlandii. W międzyczasie jednak Finlandia zawarła pokój z ZSRR. Pomoc stała się bezprzedmiotowa. Jako francuski oficer, Rayski ogłosił memorial w swojej obronie. Me-

moriał ten pokazano mi właśnie w Takoradi. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej nieudolnego, jeśli chodzi o obronę własnej osoby. Z przytoczonych dat i faktów — jedno wynikało jasno. Absolutna obojętność w sztabie Rydza na potrzeby lotnictwa wojennego. Ta część obrony Rayskiego była trafna. Można mu jednak postawić zarzut jeden, ale ważny. Może nie on właśnie jest winien najbardziej, ale niewątpliwie są sytuacje w życiu, kiedy słabość jest winą. A przynajmniej za nią ponosi się odpowiedzialność. Niewątpliwie Rayski miał wielokrotną sposobność, by mimo nieprzyjmowanych dymisji, odciąć się od źle postępującego ośrodka. Gdy teraz patrzę na niego, jak bardzo jest dla wszystkich (wszystkich, bez wyjątku) grzeczny i usłużny, — rozumiem, że taki człowiek nie może być zdolny do stawiania oporu, do forsowania własnego zdania. Pilotem jednak jest on znakomitym. Jest najstarszym lotnikiem w tym całym gronie, najstarszym tak wiekiem, jak latami służby.

Po nim idzie paru starszych oficerów-pilotów. Trzon jednak grupy latającej tworzą młodzi oficerowie, piloci zawodowi lub rezerwy. Ten wyraźny podział na młodszych i starszych, rysujący się w grupie pilotów, decyduje o wyróżnieniu trzech kast.

Młodzi ze starszymi wiodą nieustanne spory. Gdy grupa starszych, nie latających oficerów — sprowokowała niemile zajścia z murzyńskimi boyami, młodzi ostentacyjnie odmawiali poparcia projektowi oddzielnej messy. Młodzi w ogóle łatwiej przystają do Anglików, niż starsi. Młodzi mają mniej wspomnień i przyzwyczajęń, co im znacznie ułatwia życie, no i więcej zdrowia, a to tutaj trzeba mieć żelazne. Wprawdzie loty nie wymagają sprawności bojowej — nie mniej jednak nieustanne krążenie w tropikach stwarza niesłychanie cięż-

kie warunki zdrowotne, którym starsi latający piloci nie zawsze są w stanie podolać.

Na pograniczu lat, nieczym mediator w odwiecznym sporze, znajduje się tutaj jedna z najciekawszych postaci tego koła. Właściwie, choć zalicza się do latających, jeszcze nie przeprowadzał lotów. Przyjechał tu krótko przede mną i na razie tylko forsownie ćwiczył loty z instruktorem, wypróbowywał się na różnych maszynach, odmiennych od znanych mu z Polski. Jako prezesowi i czynnemu członkowi Aeroklubu, oraz jako pilotowi łącznikowemu z Francji w czasie „czerwca“, nie przychodziło mu to łatwo, gdyż nadmierna otyłość, pozwalala mu na zajmowanie fotela pilota tylko w obszerniejszych, bombowych maszynach, na przykład na Blenheimach czy Glen-Martinach. Tam znów w kabinie pilota było piekielnie gorąco i biedak musiał po tym wyżywać całe kubły wody ze swych koszul; zmieniał je parę razy w ciągu dnia. Nie szkodziło to jego samopoczuciu, które miał doskonałe, co zresztą z ochotą demonstrował, barwnie z humorem opowiadając anegdotki ze swego ciekawego życia.

Do najciekawszych opowiadań należała niewątpliwie historia paru ostatnich miesięcy jego pobytu w Bathurst, stolicy kolonii brytyjskiej Gambii. Bathurst leży na drugim końcu małej zatoki, utworzonej przy ujściu rzeki Gambii do Atlantyku. Na północnym krańcu tej zatoczki znajduje się Dakar.

Gdy jesienią, we wrześniu 1940 roku, generał de Gaulle nosił się z projektem uderzenia desantem na Dakar, by prewencyjnie zająć dla Aliantów tę ewenualną bazę łodzi podwodnych — a wiadomym było, iż w głębi Senegalu, w odległości kilkudziesięciu mil od Dakaru, w pustynnej twierdzy, schowane jest złoto polskie, przewiezione przez „Vichy“ z Francji — Rząd Polski polecił udać

się do Bathurstu porucznikowi rezerwy i b. wiceministrowi rolnictwa Wieruszowi-Kowalskiemu, z poleceniem nawiązania kontaktu z jedynym urzędnikiem Banku Polskiego, któremu pozwolono zostać przy złocie. Gdy tylko de Gaulle zajmie Dakar winien on zagarnąć złoto. Tak się też w części i stało. W polskiej części tej eskapady. Wierusz-Kowalski nawiązał w Bathurst kontakt ze złotem, ustalił miejsce jego pobytu i szykował się do akcji równocześnie z de Gaullem, gdy ten ostatni zawiódł go srodze. De Gaulla zaś zawiedli Anglicy. Program desantu obejmował zawładnięcie Dakarem przy pomocy wojska, zgromadzonego pod wodzą samego de Gaulla, na paru desantowych statkach. Miało ono lądować pod osłoną ciężkich dział brytyjskiego pancernika. Gdy mijały umówione godziny a „brytyjczyk“ się nie zjawiał — de Gaulle dał sygnał rozpoczęcia akcji. Łodzie odbiły od transportowych okrętów i zaczęły płynąć ku wybrzeżu. Z wybrzeża wtedy odezwały się trzy karabiny maszynowe. To wstrzymało nieco animusz generała, jako iż sam bez osłony brytyjskiej dysponował tylko marnymi siłami. Po chwili umilkły dwa karabiny, strzelał tylko trzeci. Wtedy generał zdecydował się wracać — podejrzewając, iż na brzegu mogą być zgromadzone jakieś większe siły, chcące wciągnąć go w zasadzkę. Desant zakończył się fiaskiem.

W Bathurst już następnego dnia wiadano, że koło Dakaru były wszystkiego trzy karabiny maszynowe, a dwa umilkły dlatego, że wyczerpała się amunicja.

Druga wojna światowa, największa w historii, zapasy zmasowanej broni maszynowej — a tu oto trzy karabiny maszynowe, a raczej jeden z nich, obronił jesienią 1940 roku Dakar przed paru łodziami lądujących Francuzów. To bardzo ładne.

Gdy po paru miesiącach próba de Gaulla już się nie

powtórzyła, misja polska w Bathurst, mimo, iż złoto ciągle tkwiło w senegalskiej pustyni, zlikwidowała swoją działalność. Wierusz-Kowalski wrócił do służby lotniczej i zameldował się w Takoradi.

Burzliwszą niedawną przeszłość miał również płk. Iżycki, który przez całą jesień roku ubiegłego kursował między Londynem, Lizboną i Tangierem, skąd chodził przez „zieloną“ do Marokka, organizując tamtędy ucieczkę polskich żołnierzy, wypadkami wojennymi przerzuconych z południowej Francji, gdzie znajdowali się w chwili petain'owskiej kapitulacji.

Inni lotnicy nie mieli już takich przygód, nie mniej różnili się jednak od swych kolegów w Wielkiej Brytanii, na co zresztą zwróciłem uwagę: nie mieli podwójnych (polskich i brytyjskich) insygniów oficerskich stopni i nie mieli „gap“ lotniczych.

Jak mi wytłumaczono — to wbrew praktyce zastosowanej wobec polskich pilotów na Wyspach, których weryfikowano nie w posiadanych przez nich stopniach, ale tylko i wyłącznie w stopniach, które w brytyjskiej hierarchii odpowiadały pełnionym aktualnie funkcjom, — tych Polaków, którzy wyjechali do Afryki, zweryfikowano w stopniu takim, jaki mieli w Polsce. Udało im się. Jedynym wyjątkiem był tylko Rayski, a to dlatego, że nie był on jak reszta w polskim wojsku, ale Polakiem służącym oddzielnie i na własną rękę w RAF-ie. Sprawę przeciw sobie miał — tak jak wszystkie sprawy tego rodzaju — zawieszoną do końca wojny.

Jeżeli chodzi o „gapy“ — jest to historia ze złotej serii wyczynów proceduralno-honorowych polskich oficerów, którzy, jak prawdopodobnie oficerowie innych armii, a jak na pewno wszyscy ludzie mający prawo do jakichś odznak i jakichś mundurów, — mają na temat tych odznak i tegoż munduru, zlekka przewrócone w gło-

wie. Rozumiał to tak dobrze Zegadłowicz w przedmowie do swoich „Zmór”. Otóż historia wygląda jak następuje: Anglicy nadają swoje „gapy”, jako oznaczenie typu honorowego, tylko tym, którzy latając razem z nimi w powietrzu, pokażą swoje aeronautyczne umiejętności. Tak więc naszym pilotom, którzy latali razem z Anglikami — po jakimś czasie sprezentowano „gapy”. A tu podnieśli wrzask ci wszyscy, którzy mieli „polskie gapy”, a nie dostali brytyjskich. Starsi panowie — oni to bowiem byli — oburzyli się niesłychanie, ...że jakże tak można, ...że albo oni też, albo wcale... Tak kręcili, tak kręcili, aż przyszedł rozkaz z góry, że wcale. Wcale nie wolno polskim pilotom nosić brytyjskich „gap”. Rozkaz dziwny, nigdzie poza Takoradi nie przestrzegany. Ale cóż robić — w takim tropikalnym kółku i namiętności są nadto gorące; puste sprawy pęcznieją. Robi się prestiżowa historia i polscy lotnicy, ku zgorszeniu angielskich kolegów — nie noszą „gap”. Oto — nasi niedaleko równika — rzecz by można za starym rosyjskim satyrykiem.

LAGOS

Wreszcie po pełnym tygodniu czekania nadeszło upragnione „priority”. Czynności związane z podróży-
mi formalnościami nie trwały już długo. Zważono mi
prywatną walizkę; waga jej nie śmiała przekraczać
trzydziestu funtów. Walizy dyplomatyczne nie podle-
gały ograniczeniom ciężaru. Zmieniłem sobie parę fun-
tów angielskich na funty egipskie, kursujące również
w Sudanie. Pożegnałem się z wszystkimi, z którymi uczyni-
ć to wypadało i już miałem odlatywać, już siedziałem
w kabinie „Lockhead’a”, gdy przyszedł z Lagos — naj-
bliższego naszego etapu — telegram, że przeszło przez
nich „tornado”, które wali i na nas. Lotnisko w Lagos
stało już pod wodą. Należy wstrzymać zapowiedziane
na dziś loty. Wobec tego zostałem jeszcze dzień jeden
w Takorali.

Tornado — pierwsze tornado w tym roku, inauguru-
jące porę deszczową — rzeczywiście przewaliło się przez
nas. Deszcz lał „piramidalny”. Inna kwestia, że podob-
nie jak to było ze sztormem na oceanie i w tym wypad-
ku oczekiwałem czegoś znacznie groźniejszego. To był
tylko szatańsko silny deszcz, jaki nierzadko i w starej
Warszawce można było przeżyć, tylko tam nikt nie na-
zywał go per „tornado”. Znawcy jednak twierdzą, iż by-
ło to jednak tornado choć słabe. Muszę się z tym zgodzić.
Szkoda, ale cóż robić. Mam już takiego pecha. Na Atlan-
tyku to nie sztorm rozpędził okręty, ale plan ich podró-

zy. W Londynie przez cały czas mego pobytu nie przeżyłem londyńskiej mgły. Tak i teraz, tornado jest tylko niewielkie.

Odczekawszy tedy dzień — nazajutrz, 25 kwietnia 1941 roku, rozpocząłem moją pierwszą długodystansową podróż lotniczą. Po nas miał wyruszyć z Takoradi konwój składający się wyłącznie z polskich pilotów. Żałowałem, że prawo wzbraniało mi podróżowania wojskowymi maszynami.

Ile czasu trwać miała moja podróż lotnicza? — nikt tego dokładnie nie wiedział. Od pięciu do piętnastu dni. Wszystko zależało od połączeń samolotowych w punktach, w których krzyżują się ponad-afrykańskie trasy. Leciałem linią lotniczą towarzystwa „Overseas Airways Cooperation“ — największej bodajże wszechimperialnej spółki komunikacji lotniczej. Taki sześciotysięczno-milowy skok z Takoradi do Kairu kosztował rząd polski około siedemdziesięciu funtów. W tą dużą sumę wliczony był nie tylko sam przelot, ale wszystkie wydatki na hotele, pierwszorzędne utrzymanie, samochody z lotniska i na lotnisko, pranie na życzenie itd., słowem wszystko, czegokolwiek pasażer używał w ciągu całej podróży, bez względu na długość jej trwania. Jeżeli trwała pięć dni — było to zyskiem dla Towarzystwa, jeżeli piętnaście — stratą.

Pierwszy etap naszej podróży obejmował trasę Takoradi — Lagos, z lądowaniem w stolicy kolonii „Złote Wybrzeże“, w mieście Akkra. Lecieć mieliśmy ślicznym, srebrnym, dwupłatem „Douglasem“, dla swych kształtów przez lotników zwanym „żyletką“.

Raz okrążywszy Takoradi, pożeglowaliśmy wzdłuż wybrzeża, na wschód z lekkim odchyleniem ku północy. W samolocie było zupełnie luźno, miast przewidzianych dziesięciu osób, leciała zaledwie połowa tego. Lecieliśmy

nisko nad morzem, w niewielkiej odległości od linii wybrzeża. Mogliśmy to jeszcze czynić bezkarnie, posuwając się wzdłuż brzegu brytyjskiego. Potem jednak, uprzednio zatrzymawszy się na moment stosowny do łknięcia „cup of tea” i paru keksików w Akkra, gdy mijaliśmy „Wybrzeże Niewolników” — trzeba było oddalić się od lądu na znaczniejszy dystans. Właściwie bez specjalnej potrzeby, ale dla dyplomatycznej „pro-forma”, gdyż „Wybrzeże Niewolników” jest kolonią francuską, która nie zadeklarowała się do de Gaulla.

Powietrze w czasie takiej nadmorskiej jazdy jest rześkie. Ponieważ w samolocie jest przestronnie i chłodno — nic dziwnego, że tę krótką, czterogodzinną podróż zaliczyć mogę do najbardziej miłych w czasie całego lotu.

Lagos jest miastem leżącym tuż przy zachodnim krańcu siatkowatej i bagnistej delty potężnego Nigru, dziesiątej co do wielkości rzeki świata. Wskutek tego Lagos znajduje się właściwie wśród licznych, jeszcze nie osuszonych bagien, jeziorok i całego systemu niewielkich rzeczek, co czyni z niego wprawdzie nader dogodny port morski, ale równocześnie położone wśród tych mokradeł lotnisko, znajdujące się poniżej poziomu morza, jest jednym z lotnisk najmniej dogodnych i cieszącym się reputacją jak najgorszą. Łatwo zostaje zalewane przez wodę, i wtedy katastrofy nie należą do wyjątków zbyt rzadkich.

Gdy podchodzimy do lądowania, na ziemi która raptem pionowo zakrywa nam całe okienko, widzę jeziorka i rzeczki, widzę też, jak specjalny strażnik chorągiewką zatrzymuje ruch samochodowy na szosie doprowadzającej do lotniska prawdopodobnie dlatego, by koła samolotu nie zawadziły o samochody. Lotnisko jest tak niefortunnie połączone z szosą, że lądujące samoloty muszą

przechodzić tuż nad powierzchnią drogi. Do tej pory widziałem skrzyżowania dróg lądowych. Przy kolejowych szlabanach samochody muszą dostosowywać się do kolei. Widziałem nawet skrzyżowania dróg morskich i lądowych, gdy podnoszony do góry mostek na holenderskim kanale wstrzymywał samochody, by przepuścić stateczki. Ale po raz pierwszy widzę takie oryginalne skrzyżowanie drogi lądowej z powietrzną. Okazuje się, że i w takim wypadku potrzebny jest regulujący ruch policjant.

Wbrew rozlicznym ostrzeżeniom, otrzymywanym niczym błogosławieństwa na drogę, gdy opuszczałem Takoradi, lądowanie w Lagos odbyło się szczęśliwie.

Formalności wjazdowo-paszportowe nie nastroczają żadnych trudności. Paszportu prawie nie oglądają, natomiast inny dokument ma w Afryce wartość pierwszorzędą i wszędzie badany jest z najwyższą uwagą i pieczołowitością. Dokument szczepienia czarnej ospy.

Walka z tą plagą czarnego kontynentu jest właściwie już ukończona. Wydaje się, iż wszystkie ogniska czarnej ospy zostały zlikwidowane. Nie wolno jednak spozczać na laurach. Medycyna wygrała poważną kampanię. Mimo, iż od ostatniej epidemii minęło już dobrych kilkanaście lat — władze administracyjne i medyczne czuwają. Każdy Europejczyk, który choć krótki czas zamieszkiwał murzyńską dzielnicę jakiegoś miasta, lub dokładniej, który obecnie w czasie wojny mieszkał poza obozami lub koszarami wojskowymi, musi poddać się szczepieniu czarnej ospy. Szczepieniu temu poddają się też ci wszyscy, którzy czas dłuższy, niż parotygodniowy, mają znajdować się w Afryce. Gdy z Takoradi ruszyłem w dalszą podróż, zaopatrzone mnie przede wszystkim w paszport czarnej ospy, stwierdzający, iż przyjechałem na okręcie europejskim, cały czas zamieszkiwałem w obozie RAF-u, wobec tego nie jestem zarażony choro-

Bą i nie muszę być poddany szczepieniu. Oczywiście pod tym warunkiem, że mieszkać będę w czasie mej podróży tylko w hotelach wskazanych przez Towarzystwo Linii Lotniczych. Dokument ten będzie odtąd, w czasie mej całej podróży po tym lądzie, pierwszym i najważniejszym papierem, starannie oglądanym i odpowiednio stemplowanym na każdej granicy.

W chwili, gdy wsiadamy do auta mającego nas odwieźć do hotelu — ładuje właśnie parę maszyn — myśliwskie „Tomahawki“ — to konwój polski, który wyłeciec miał po nas. By ich przepuścić przez szosę — na znak czarnego policjanta, musimy wstrzymać wóz.

Wspaniałą szosą, bokiem omijając miasto, dojeżdżamy do kolonii europejskiej złożonej z wspaniałych, luksusowo budowanych willi. Tutaj, wśród wielkiego ogrodu, stoi szereg wytwornych, rzeczywiście pięknych budyneczków parterowych, tworzących zabudowania hotelu-klubu urzędników linii „Overseas Airways Cooperation“. Do hotelu tego zapraszani są specjalnie honorowani pasażerowie linii, a więc wyżsi urzędnicy kolonialni, wyżsi wojskowi, osoby podróżujące za paszportami dyplomatycznymi. Dlatego też i ja się tam znalazłem. Innych pasażerów Towarzystwo odstawia do specjalnie przygotowanych pokoi w najwytworniejszym miejscowym hotelu prywatnym.

W koloniach Europejczycy potrafili urządzić sobie życie bajecznie. Jest to tym łatwiejsze, iż wszelkiego rodzaju luksusowych materiałów drewnianych, jest tu w Nigerii pod dostatkiem, a robocizna jest niezwykle tania. Hotel tedy wygląda jak cacko. Piękna sala restauracyjna i druga klubowa urządzone są ze wschodnim przepychem. Wygodne fotele, kanapy, dywany. Służba wyćwiczona do granic bezszelestności i zautomatyzowania. Przy tym słońce, jasność i czystość. Wszystko to daje

pełne zadowolenie, a przede wszystkim to przyjemne poczucie dostatku, jakiego nie jeden nigdy w swym macierzystym kraju nie zaznał i nie zazna. Domek klubowy otoczony jest przepysznym, bogatym w rośliny, kwiaty i drzewa rozległym ogrodem. Urządzony tu jest wygodny basen, bardzo szczęśliwie pomyślany jeżeli chodzi o upał. Wśród drzew ogrodu poukrywane są domki mieszkalne, też „bungalow“, ale urządzone z większym luksusem, niż te w Takoradi. Domki te od takoradzkich różnią się urządzeniem przeciw moskitom. Gdy tam była siatka, którą okrywano posłanie na noc, tu druciany podwójny moskiton osłania cały mały domek. Cały domek przykryty jest siatką, tworzącą wzdłuż ściany domu korytarz o pewnej szerokości. Siatkę przechodzi się przez podwójne drzwi, zapobiegające dostawaniu się niepożądanych insektów. Bardzo zabawnie wygląda świat przez taki moskiton. Patrząc z pewnej odległości można mieć złudzenie oglądania reprodukcji fotograficznej dokonanej metodą siatkową. Moskiton zwiększa duszność w pokoju, ale jest nieodzowny, tak samo jak nieustanne pucowanie się mydłem, jak świadectwo czarnej ospy, jak codzienna porcja chininy. Wszystkie te higieniczne regulaminy przestaną nas dopiero gnębić w Egipcie, gdzie klimat jest zdrowy. Pod równikiem, wśród bagien delty Nigru, trzeba ich przestrzegać szczególnie starannie.

Przezorny Europejczyk przestrzega równie starannie godzin spaceru i nawet w korkowym hełmie unika zbyt intensywnych marszów w południowych porach. Jednak ten regulamin jest ponad siły mojej ciekawości. Higiena jest dobra tylko w pewnych granicach. Nie wiedząc, czy lada dzień nie będę musiał stąd lecieć dalej (w Lagos krzyżują się linie lotnicze, muszę czekać, nikt jednak nie wie jak długo) — zaraz następnego dnia rano, wbrew

przestrogom dotyczącym forsowania serca, szczerze udzielanym przez lotników, po źle przespanej nocy, lecę na piechotę do oddalonego o parę mil centrum miasta. Chcę je dodać do mojej bogatej kolekcji stolic.

Lagos, stolica Nigerii, bogatej w drzewo i kauczuk kolonii, bezmała trzykrotnie większej od przedwojennej Polski, liczącej blisko dwadzieścia milionów mieszkańców, — jest stutysięcznym miastem murzyńskim, o wysokim procencie białej ludności. Miasto jest w zasadzie ładne. Szerokie ulice, wiele okazałych gmachów, mieszczących urzędy kolonialnej administracji, przedstawicielstwa wielkich kompanii handlowych lub handlowe atachaty państw obcych. Nigeria jest eksporterem drzewa, kauczuku, a ponadto cennej i poszukiwanej kości słoniowej.

Miasto ma wszelkie stereotypowe cechy miast murzyńskich. Nie wiele różni się od Treetown czy Sekondi. Ci sami murzyni, ten sam rwetes. Tylko wiele więcej aut, przed którymi trzeba ciągle uskakiwać na bok ulicy nie mającej podziału na jezdnię i chodnik. Wojnę znać tu tylko mundurami niewielu wojskowych, przede wszystkim jednak brakiem względnie świeżej prasy w sklepikach zwanych szumnie „bookseller” — księgarz. Znajduję parę starych, z przed dwóch miesięcy „Picture Postów”, jakieś pisma z Kairu też ze starożytną datą, dziesięć tomików Pingwinów, grube dzieło dla dzieci z ilustracjami, a przede wszystkim zeszyty, obsadki, bibułę, atrament w najgorszym gatunku. Na ogół w tych sklepikach wszystko jest podłe, choć w jednym z niagazyńów kupiłem sobie znakomite spodnie shorty z nie-spotykanym w Europie systemem podwójnych, bocznych kieszeni w spodniach. Ta druga kieszeń, wszyta przy normalnej, zapinana jest na guzik i służy do doku-

mentów. Bardzo sprytnie urządzenie, które zwalnia z konieczności noszenia marynarki.

Parę godzin ganiań po wyludnionym południowym upałem mieście — nie sprzyja zbyt rzetelnym studiom krajoznawczym, ale wystarcza, by zorientować się z grubsza w zewnętrznym charakterze miasta, no i jest to aż nadto, by później w Polsce móc rzucić z pyszną miną afrykańskiego konesera krótkie zdanie: „gdy byłem w Lagos...”

Na dodatek w biurze Linii Lotniczych dowiedziałem się, iż jutro lecę dalej. Wiadomość ucieszyła i zasmuciła mnie równocześnie. Radbym bardziej gruntownie zwiedzić miasto.

Po lunchu poszedłem na długą przechadzkę wzdłuż wybrzeża morskiego, gdzie wśród bujnej, żywiołowej zieloności rozłożyła się kolonia europejska. Piękne wille — jedna w drugą. Nad każdą bramką wjazdową tabliczka z wielkim tytułem, przeważnie wskazującym na handlowe zainteresowania właściciela. Między ogrodami wiją się doskonale utrzymane i wyasfaltowane szosy. Każdy z agentów i każdy z urzędników ma auto. Ludzie tu w krótkim czasie dorabiają się majątków. Urzędnicy w koloniach pobierają wyższe pensje niż w metropolii, handlowcy są tu przeważnie monopolistami w stosunku do swego kraju, lub zatrudniającej ich kompanii handlowej. Utrzymanie i służba kosztuje wielokrotnie mniej, niż w Europie czy Ameryce. Jedynie klimat jest ciężki, a dla kobiet ze względu na szkodliwe skutki dla systemu rodowego, zupełnie niewskazany. Toteż białych kobiet jest mało. Po paru latach pobytu przeciętny Europejczyk jest już z jednej strony dostatecznie bogaty, z drugiej — dostatecznie wyczerpany pobytem. Wyjeżdża, a luksusową posiadłość za grosze sprzedaje swemu następcy.

Życie Europejczyków skupia się — poza biurem — głównie w paru klubach, urządzonych i prowadzonych na modłę anglosaską. Zwyczaje brytyjskie przyjmują tutaj wszyscy, bez względu na własne pochodzenie. Nawet Polacy — co mam możność stwierdzić, gdy wieczorem spotykamy się z lotnikami konwoju w klubie oficerskim — nawet Polacy próbują gry w golfa. A to już dowód daleko posuniętej asymilacji.

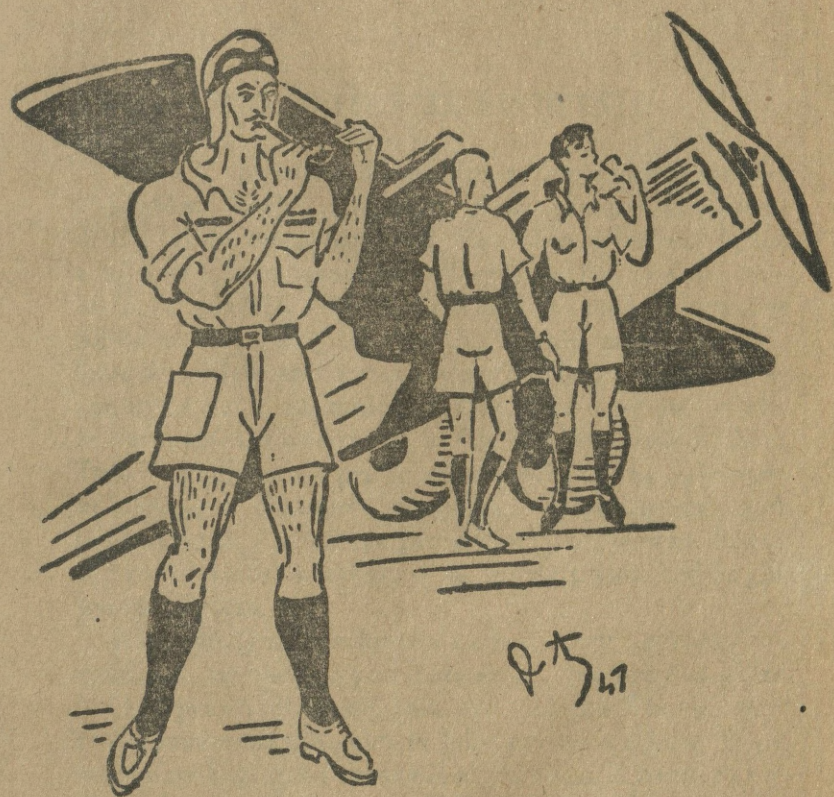
W oficerskim klubie, gdzie usługują murzyni egzotycznie ubrani w białe suknie, opasane czerwonymi wstęgami — spotkać można w godzinie „drinku“ elitę miejscowego społeczeństwa białych. Wysocy urzędnicy kolonialni z lekką popychają piłki golfowe, a ich bezpłodne już przeważnie małżonki, uganiają się po wystrzyżonym trawniku, by dziś wieczór, jak codzień, walczyć o pierwszeństwo w golfie. Jedynej i największej namiętności ludzi żyjących klubami.

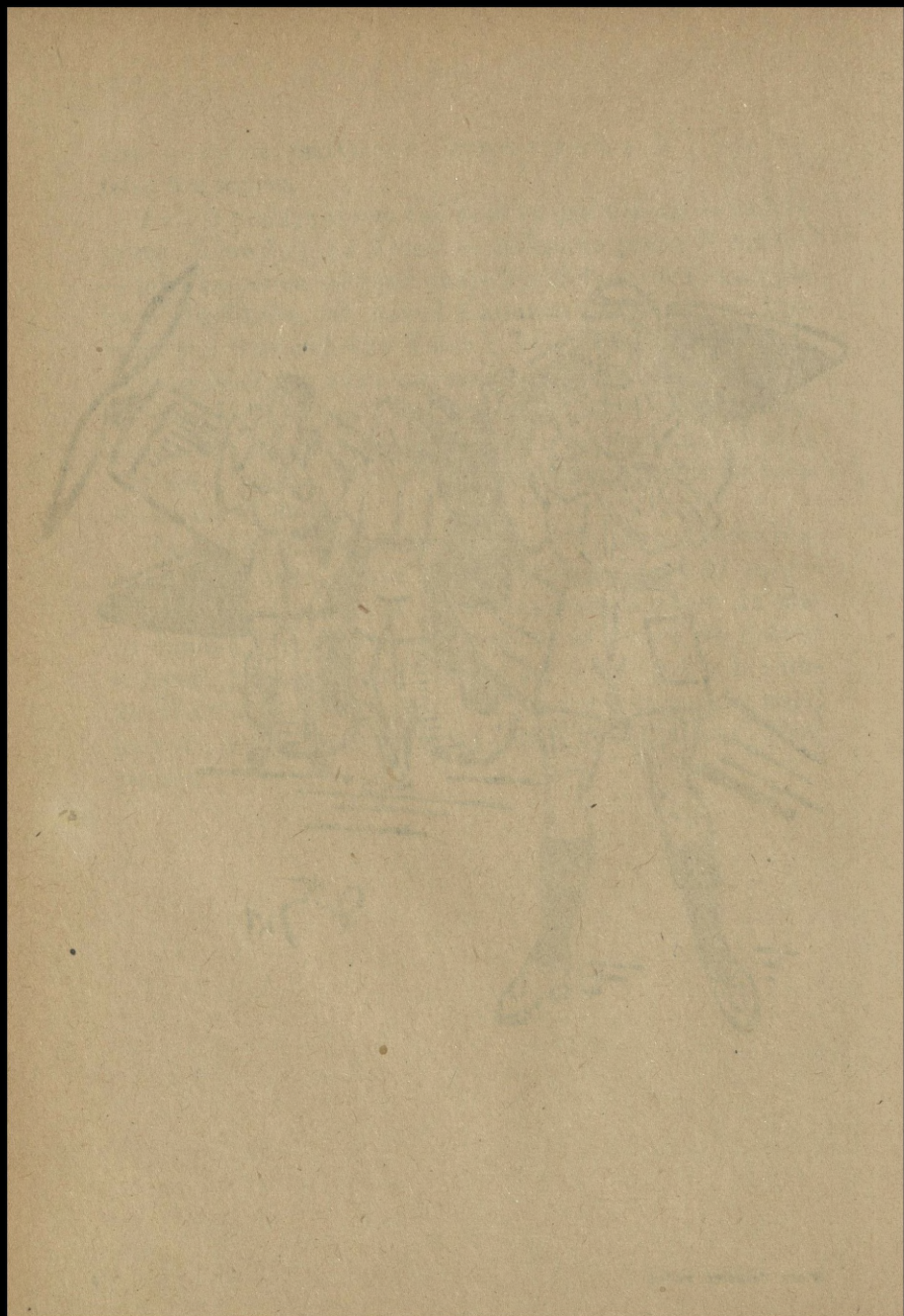
Polskie towarzystwo, gdy przylatuje z Takoradi, spotyka się tu zawsze z miejscowymi Francuzami, tymi od de Gaulla, którzy uciekli z pobliskiej kolonii francuskiej „Wybrzeże Nięwolników“. Stąd pilnują oni własnych i de Gaulla interesów w kolonii. Ich kurierzy i szmuglerzy nieustannie chodzą między Lagos a Ahome czy Novo, przynosząc im nowiny, na ogół nieciekawe, (penetracja Niemców jeszcze tak daleko na południe nie dotarła) i dobre papierosy francuskie, którymi szpakowaty Monsieur częstuje mych towarzyszy. Potem rozmowa toczy się powoli i dusznie o ogólnej sytuacji militarno-politycznej, o której ci ludzie od miesięcy i od lat zamieszkujący opodal równika — potrafią już mówić zgoła beznamiętnie, tak trochę, jak w naszej Ziemiańskiej mówiło się o Chinach i Addis-Abebie. Gorąco robi swoje — nawet wtedy, gdy się je próbuje łagodzić nieustannym sączeniem przemysłnie skomponowanego alkoholu, jakim

jest wszędzie podawany „lemon-squash-soda“, łagodny trunek z lodem.

I choć padają słowa tak groźne, jak Olimp — zajęty przez Niemców, jak Ateny — oblężane przez Niemców — jak Peloponez, ostatnia prawdopodobnie ewakuacyjna baza Anglików, jak nawet Capuzzo i Sollum, pod którymi stoi Rommel, czy Tobruk, który otaczają Niemcy, — to jednak nie wiele narusza to spokój życia niedaleko równika. Odrętwiające prawa natury — są tu silniejsze niż epatujące i przerażające wieści wojenne. Między Nigerią a wojną leży Sahara, lecz od upału nie tu człowiek nie chroni.

Tak filozoficznie medytując przy księżycu, który błędnie wobec ustawionych lamp łukowych, wśród rozgadanego najróżniejszym ptactwem lasu, wracam do mego domku okrytego moskitonem. Dziś muszę się dobrze wyspać. Jutro o szóstej rano odlot. Teraz już w kierunku Warszawy. Na północ. Od tej pory kierunek mojej łrogi będzie północny. Coraz bliżej Polski. Coraz bliżej wojny.





PONAD PUSZCZĄ I PUSTYNIĄ

Odlot z Lagos jest urozmaicony. Zmieniamy samolot i pilotów. Lecieć będziemy dolno-płatem „Lockheadem“. Przy maszynie kręci się trzech pilotów. Jeden z nich wygląda wspaniale. Twarz sucha, twarda, ogorzała od wiatrów i burz. Znakomicie skrojony mundur pilota w tropikach, rękawy zuchowato zawinięte. Kolana obrośnięte na czarno, order i fajka. Drugi — prezentuje się o wiele mniej dzielnie. Nie znać już w nim tej bojowości, ale zdaje się być w każdym razie zuchem. Trzeci natomiast — przypomina trochę ładną dziewczynę ubraną w skautowy mundur. Rysy łagodne, żądnych odznak. Ocena nie przedstawia się trudno. Pierwszy z nich budzi zaufanie — on niewątpliwie będzie głównym pilotem.

Nim maszyna dorolowała na betonowy „runway“ — usiadłem na ławce pod hangarem. Na drugim końcu ławki przysiadł jakiś murzyn, chyba chory, gdyż twarz miał owiazaną chustą jak przy bólu zębów. W pewnej chwili stała się rzecz nieoczekiwana. Z hangaru wyskoczył jakiś biały urzędnik brytyjski. Murzyn zobaczywszy go zerwał się na równe nogi, a ten zaczął czarnego rugać i wymyślać mu od ostatnich. Z początku nie rozumiałem powodu awantury. Na koniec jednak zrozumiałem... i zrobiło mi się tak głupio, jak rzadko kiedy w życiu. Uciekłem spod hangaru prędzej niż zwymyślany murzyn. Chodziło bowiem o rzecz bardzo prostą.

O to, że czarny usiadł na ławce przeznaczonej dla białych, na której do tego siedział biały. — Niezbadane są tropy angielskiej polityki kolonialnej.

Po tym incydencie — nie przysiadłem już na żadnej ławce. Zresztą wkrótce czas już było wchodzić do maszyny.

Przedwczorajszy „Douglas” prezentował się przy dzisiejszym naszym wehikule powietrznym zgoła komfortowo. „Lockhead” jest niewygodną maszyną, o niskiej, dusznej kajucie. Leciało nas sześć osób — pięciu Brytyjczyków i ja. Dwaj piloci siedzieli na przodzie, przy maszynie i radio, a steward usiadł za nami. Reszta kabiny obliczonej na 10 pasażerów, zajęta była workami z pocztą. Nasze bagaże — w tym moje dyplomatyczne walizy — układane były wewnątrz skrzydeł, mających w tym celu specjalne komory.

Gdy samolot miał ruszać — okazało się, iż nie wszystko złoto, co się świeci. Stewardem był najbardziej bojowo wyglądający członek opisanej już trójki. A pierwszym pilotem — i do tego, jak się przekonałem, znakomitym pilotem — był ten trzeci, ten dziewczynkowaty. Znam się na ludziach. Prawda? Dobry to prognostyk do mojej pracy w Kraju.

Poszliśmy w górę. Raptem — strasznie trudno uchwycić moment przejścia, moment zmiany wielkości — wszystko na dole stało się filigranowe. Usłyszeliśmy zgrzyt chowanego podwozia. Nasz wielki cień, sunący przez krzewy i zalewy w dole, wciągnięciem kół wyglądał swą aerodynamiczną sylwetkę — i polecieliśmy.

Pod nami rozpostarła się teraz nieskończona tafla niskich krzaków — zwanych z angielska „bush'em”. Niekiedy bush przerzedzał się wyłaniając jakąś polanę. Rzadko na takiej polanie zauważyć można było gliniane chatki murzyńskich wiosek. Początkowo, gdy lecie-

liśmy na 1000 i 2000 stóp można było dojrzeć w gęstwinie bushu drogi i strumyki. Jednak tak niski lot, ciekawy pod względem turystycznym — był niesamowitą mordęgą tak dla pasażerów jak i dla pilota. Na tej wysokości powietrze było jeszcze tak rozgrzane, że nam, siedzącym w szczelnie zamkniętej, makabrycznie dusznej i gorącej kabinie, — pot zalewał po prostu oczy. Prędko więc „Lockhead“ poszedł ostro w górę. Zmiana temperatury nastąpiła zupełnie nagle. Przejście z gorąca do zimna było gwałtowne, a nie stopniowe. Gdy zegar wysokościowy umieszczony nad nami, na ścianie kajuty pilota, pokazał 5000 stóp wysokości — w kabinie było już tak chłodno, że każdy owinął się szczelnie w płaszcz lub koc.

Chłód taki był nawet przyjemny, tylko pod nami nie było właściwie widać. Lecieliśmy ponad chmurkami, lekkimi, pierzastymi. Zdaje się, że w języku pilotów i meteorologów zwą je „cumulusami“, ale nie ręcę za to. Chmurki przykryły cały krajobraz, szczegóły którego dla niewprawnego oka tworzyły tylko jakiś pogmatwany obraz, nic nie reprezentujący.

Lot był spokojny. Najmniejszy wiatr nie zakłócał atmosferycznej ciszy. Od czasu do czasu lekki opad samolotu, opad, który w pierwszych chwilach podróży powoduje ruch serca ku górze, ku gardłu i jednocześnie, odruchowy lęk — spadamy... Lęk najbardziej nieuzasadniony. Samolot jest może najbardziej pewnym środkiem lokomocji. Katastrofy samochodowe i kolejowe — zdarzają się procentowo o wiele częściej, niż samolotowe. Dawniej, przed wojną, w Polsce, pasażerskie maszyny nie miały spadochronów. Wypadki były wprawdzie rzadkie — lecz za to, jak już były — kończyło się radykalnie. Wszyscy szli w miazgę. Tutaj, nad Afryką, jest inaczej. Poduszki fotela, na którym siedzimy, są równo-

częśnie workami zawierającymi spadochrony. Na poręczy poprzedniego fotela umieszczone są wskazówki, jak obchodzić się ze spadochronem w razie wypadku. Wypadki są jednak prawie wykluczone. Samolotami kierują pierwszorzędni piloci. Loty odbywają się tylko w zupełnie pewną pogodę. Maszyny są przed każdym lotem sumiennie sprawdzane. Właściwie nie ma żadnego ryzyka. A jednak — gdy patrzę przez okienko na skrzydła, potem w tył na ogon i stery, gdy widzę jak lotki poruszają się napinane przez stalowe linki, wystawione nieustannie na działanie powietrza i wiatru, — i uświadamiam sobie, że właściwie całe moje życie zależy tylko i wyłącznie od wytrzymałości takiej jednej linki — to robi mi się z lekka niewyraźnie. A nuż — — — refleksuję się szybko, że przecież i na zwykłej drodze można zostać w dwudziestym wieku przejechanym przez dorózkarskiego konia, choć wygląda to na dziwny „shocking“, co najmniej równy temu, za jaki uważaliśmy śmierć normalną, w łóżku z choroby czy starości, w wojennych i okupacyjnych czasach.

Podróż jest zasadniczo przeraźliwie monotonna, tak monotonna, że nawet czytanie przychodzi z trudem. Wina może wysokości, na jakiej nieprzyzwyczajony człowiek z trudem utrzymuje władzę umysłową w normalnej prężności. Bezsukcesywnie próbuję trochę czytać. Próbuję drzemać — też budzę się co chwila.

Po jakich czterech godzinach lotu — chmury się rozsuwają, widocznie po to, byśmy mogli ujrzeć potężną rzekę — Niger. Nie wygląda ona z tej wysokości już tak groźnie. Ot — płaska, niebieska wstążka wśród szaro-zielonego bushu. Za rzeką, której jakiś dopływ zostawiamy po prawej stronie — pilot obniża maszynę dość gwałtownie. Daje nam jakieś znaki ręką. Podchwytuje je steward i każdemu z nas oddzielnie ukazuje w dole,

na polanie, wielkie, kilkadziesiąt chyba sztuk liczące stado słoni. Krążymy przez chwilę nad nimi. Podnoszą ku nam swe trąbowate głowy i — prawdopodobnie — obserwują z ciekawością. W każdym razie nie widać, by bały się samolotu. Są do takiego widoku na pewno bardziej przyzwyczajone, niż mieszkańcy niejednej wioski w Polsce.

Jeszcze przed powrotem na poprzednią wysokość zdolaliśmy dojrzeć linię kolejową. Sięgam do mapy — i rzeczywiście. Na naszej trasie znajduje się tor, prowadzący prosto właśnie do Kano, do odległego o pełnych osiem godzin lotu celu naszej dzisiejszej podróży.

Potem znów wszystko zakrywają muślinowe chmurki. Znów bezskutecznie próbuję, to drzemać, to czytać.

Punkt pierwsza steward stawia każdemu na kolanach duże tekturowe pudło. W tej chwili w całym brytyjskim świecie anglosaskim, od bieguna do bieguna, wszyscy jedzą lunch i nie ma żadnych dobrych powodów, aby pasażerowie powietrzni mieli cierpieć tylko dlatego, że znajdują się na wysokości 5000 stóp powyżej ziemi. W tekturowym pudełku znajdujemy pieczone kurczę, parę sandwiczów, jakąś sałatkę w puszcze z masy papierowej, keksy, owoce. Poza tym dostaje każdy z nas filiżankę, lub dwie, gorącej „tea“ lub „coffee“ — do wyboru. Podaje te smakoliki bojowy steward i tak już będzie czynił codziennie, przez najbliższe dni naszej podróży.

O trzeciej po południu dostrzegamy przed sobą murzyńskie miasteczko rozłożone wśród szaro-żółtej pustyni. Bush zniknął, nawet nie dostrzegłem kiedy. Teraz samolot gwałtownie schodzi ze znacznej wysokości, do lądowania. Następuje gwałtowna zmiana temperatury. Z chłodu dostajemy się znów w niesamowicie duszną i gorącą atmosferę. To powoduje reakcję. Robi mi się z lekka niedobrze, nie daję jednak tego poznać po sobie.

Lądujemy.

Maszyna przesuwą się tuż ponad miasteczkiem. Widać jednakowe wnętrza posesji murzyńskich. Wszystkie one są mniej więcej kwadratowe. Podwórza oddzielone są od ulicy wysokim murem, będącym równocześnie jedną z czterech ścian domu mieszkalnego. By nikt nie mógł zajrzeć do środka obejścia. Typ budownictwa wskazuje od razu na religię mieszkańców. Muzułmanie.

Lotnisko, na którym lądujemy, nie ma już śladu tej nowoczesności technicznej, jaką oglądaliśmy jeszcze dziś rano w Lagos. Zwyczajne pole piaskowe. Hangarów nie ma żadnych. Wśród pola stoją smutnie trzy samoloty do połowy zasypane piaskiem. Są to maszyny wojenne, które popsuły się i nie mogły wystartować z lecącym do Kairu konwojem. Tak pozostały, bez hangaru, próśzone piaskiem, czekając aż zjawią się, wysłani z Takoradi lub Kairu, mechanicy, którzy zreperują defekty. Taki obrazek będziemy spotykać odtąd na wszystkich pustynnych lotniskach, aż do Chartumu. Prawie 50% samolotów wysłanych z Takoradi zatracą się w ten sposób po drodze; niekiedy jednak zdarzają się i poważniejsze wypadki, w locie.

Gdy wysiadamy z maszyny — przed schodkami stoi już na baczność boy — trzymając zimne napoje. Jest mi tak słabo, że piję, co w konsekwencji powoduje lekkie torsje, oddawane dyskretnie po drugiej stronie auta, jakie przyjechało po nas.

Powietrze jest gorące i tak duszne, że ciężko stawiać najmniejszy krok. Oddycham z największym trudem. Czuję się, jak w masce przeciwgazowej, po godzinnym w niej przebywaniu. Z nieklamanyim zdziwieniem patrzę na jakiegoś białego oficera RAF-u, — widocznie jednego z szefów tutejszego lotnictwa, który porusza się z niezwykłą energią. W Takoradi czy Lagos, które są polo-

żone o parę stopni bliżej równika niż Kano, temperatura byłaby prawdopodobnie równie nieznośna, gdyby nie dobroczynne morze.

Pustynną drogą jedziemy do miasta. Auto, które nas wiezie — wygląda na karetkę więzienną, lub sanitarną, gdyż otulone jest szczelnie, od góry i z boków, w siatkę przeciw moskitom.

Wjeżdżamy na koniec do miasteczka.

W NAJSTARSZYM MIEŚCIE ŚWIATA

Jest parę minut po godzinie trzeciej, więc nieznosny żar jeszcze przez trzy godziny będzie terroryzował ludność i zmuszał ją do siedzenia w domach. Ulice są puste. Z rzadka pośród wąskich, głębokich, ogrodzonych wysokimi murami przejść, dojrzeć można Murzyna idącego pieszo lub jadącego na osiołku. Jakaś przeraźliwa martwa cisza jest w tym mieście. W jednolitych żółtych murach, za którymi kryją się domki — jest coś tajemniczego, nawet groźnego. A równocześnie ostre kwarcowe światło słońca zdaje się bezlitośnie ukazywać wszystko na jaw, odkrywać i demaskować.

Ulice są identyczne. Nie sposób na pierwszy rzut oka odróżnić ich od siebie. Żółty mur kryjący obejścia, podwórca i domy jest wszędzie jednakowy.

Jesteśmy w najstarszym mieście świata. Tak głosi afrykańska legenda, opierając się na słowach Starego Testamentu, gdzie wymienione jest ono, jako najstarsze miasto ówczesnego świata, — miasto leżące za wielkim murem. Znacownicy historii i geografii starożytnej twierdzą, że bezspornie chodzi o Kano. Tym bardziej, iż „mur“ zachował się jeszcze po dziś dzień, choć wiele już stracił ze swej legendarnej biblijnej wielkości. Zdążył się rozsypać. Teraz jest to już tylko duży wał z gliny, wysoki na jakie dwa metry.

Kano leży już na pustyni. Dokoła hotelu, dokąd nas zawieziono, rozpościera się gliniasty piasek. Wszędzie

Żółto, i żółto, aż męczą się przyzwyczajone do zieloności oczy białego człowieka.

Hotel, leży za miastem, obok dzielnicy europejskich willi. Podobnie jak w Lagos wybudowany jest on specjalnie do użytku urzędników i pasażerów „Overseas Airways Cooperation”. Składa się z parunastu bungalów, pokrytych w całości siatką moskitową. W przeciwieństwie do poprzedniego hotelu — domki są tutaj brzydkie. Urządzenia wewnątrz proste i nieeleganckie. Wszystko robi wrażenie, iż nikt specjalnie o to nie dba. Służby jest niewiele i nie wyróżnia się żadnym oryginalnym strojem. Widać, iż tu ludzie zmęczeni są pustynią.

Przed bramą wjazdową rozłożyli swe wspaniałe kramy sprzedawcy wyrobów ze skóry i z kości słoniowej. Przedmioty są piękne, z trudem znaleźć można takie w sklepach europejskich stolic. Portfele, teczki i portmonetki wyprawiane ze skór dzikich zwierząt i malowane w piękne desenie farbami o tak intensywnych, pełnych kolorach, że niejeden malarz wiele by dał, by osiąść tajemnicę tych barw, fabrykowanych zapewne w sposób bardzo prymitywny. Niezliczone ilości figurek, noży, przycisków, szachów z kości słoniowej — natrętnie kuszą do kupna. Jest rzeczą niezwykle przykrą — być w położeniu podobnym mojemu. Mieć pieniądze — i nie chcieć kupować, licząc się z możliwością utraty wszystkiego gdzieś po drodze. Nic tak nie złości jak pieniądze, których rozsądek nie pozwala wydawać na rzeczy, jakie się nam podobają. To nieprzyjemne uczucie będzie mi towarzyszyć przez całą Afrykę, która nieustannie zachęca do zaopatrywania się w jej cudne pamiątki; o wiele śliczniejsze niż ona sama.

Na progu hotelu wita mnie... oczywiście Polak. Czarny ład zaludnia się mieszkańcami Lechistanu, o których prawią jeszcze mahometańskie baśnie wojenne. Baśnie

te na ogół są nam przychylne. Mieszkańcy Lechistanu żyją we wdzięcznej pamięci wojowniczych wyznawców Proroka. Dzielnymi byli przeciwnikami, pracowitymi niewolnikami i piękne były ich kobiety. Dziś legendy ożywają na nowo. Wojownicy mahometańscy i lechiccy znów się spotkali. Wprawdzie sytuacja jest odmienna, ale nie umniejsza to sympatii z jaką się wszędzie, u afrykańskich tubylców spotykają.

Polak, którego właśnie spotykam na progu hotelowej jadalni, jest wojownikiem. Przynajmniej nosi mundur oficera RAF-u. Mój znajomy z Takoradi. Przysłano go tutaj przed paru dniami na pacyfikację miejscowych anglo-polskich stosunków. Z zadania swego wywiązuje się podobno znakomicie, a nie ma nic innego do roboty, bo jako obserwator, a nie pilot, nie przystąpił jeszcze do swego właściwego zajęcia. Poza tym zna kolonie i Anglików; parę ostatnich lat przed wojną był agentem handlowym w Południowej Ameryce.

Sprawa w Kano wymaga wielkich zdolności dyplomatycznych, gdyż urodziła się przy wódce. Przed niedługim czasem wracali wtedy piloci polscy i angielscy, odprowadziwszy swe samoloty do Kairu. Zatrzymawszy się na noc, podoficerowie — gdyż tylko tacy zbiegiem okoliczności byli — obu nacji, urządzili przedwieczorny „drink“, który przeciągnął się nieco dłużej i dobrze lby, szczególnie Polakom, zaproszył. W pewnej chwili jeden z naszych dzielnych sierżantów, zalany już w drobny mak, zaczął się o coś przekomarzać z Anglikiem. Od słowa do słowa potoczyła się rozmowa — i rozłłoszczony na coś Polak dosadnie wyraził się, iż dobrze by zrobił Hitler, gdyby zajął Wielką Brytanię i jej obywatelom skroił skórę. Zrobiła się dzika awantura. Sprawa otarła się o dowództwo bazy RAF-u w Kano. Krewkiego sierżanta chciano zabrać do paki. Zdaje się, że do takiej ostatecz-

ności nie doszło, ale płk. Izzycki musiał co prędzej z Takoradi wysłać do Kano swego oficera, by ten stał się mediatorem przykrew sprawy. Udało mu się tego dokonać w pełni. Wyrozumieli dla grzechów ludzkich, zwłaszcza popełnianych w alkoholowym widzie, Anglicy łatwo powrócili do psychicznego status quo ante.

Wysiedziawszy dwie godziny w wannie z zimną wodą (Kano dysponowało kanalizacją, wodociągami, elektrycznością i koleją idącą do Lagos) — powędrowałem koło szóstej po południu z moim polskim towarzyszem i równocześnie przewodnikiem do tutejszego europejskiego klubu. O tej porze spotkać można było przy whisky z lodem i golfie całą miejscową kolonię białych. Jest ich nie tak wielu, ale nawet paru wystarczy, by w miejscowości położonej na pograniczu Sahary, zabitej od świata wszelkimi możliwymi deskami spokoju i ciszy, — został wybudowany klub, gdzie rytuały anglosaskich obyczajów celebrowane są z całą maestrią i skrupulatnością. Jeżeli by słońce mogło mniej siarczyście prażyć, a żółta papka piasku porosnąć strzyżonym od pięciu setek lat trawnikiem — möblibyśmy mieć wrażenie, iż znajdujemy się w jakimś małomiasteczkowym klubie w hrabstwie Lanark.

Pileczki do golfa latają w powietrzu, a podbijający je urzędnicy i agenci odpoczywają po znojnym dniu. Urzędników jest kilku. Stanowią oni kancelarię cywilną — jeśli tak rzec można — angielskiego gubernatora. Gubernator jest doradcą miejscowego kacyka, który rządzi tu swoimi poddanymi na niemal że identycznych zasadach, jak jego odległy kuzyn w kraju Aszanti. Leczniejsi od urzędników są agenci handlowi. Jedni i drudzy robią tu doskonale interesy, z którymi spieszy im się bardzo, gdyż Kano mimo swych historycznych właści-

wości jest miastem piekielnych nudów. Tak się zwierza.

Nim zmierzch zapadnie wędrujemy jeszcze we dwójkę do europejskiej dzielnicy, by posłuchać dzisiejszego radia. Ma być mowa Churchilla.

Znakomity radioodbiornik stoi na małym stoliczku, dokoła którego na ścianach rozwieszone są w ogromnej ilości fotografie nagich kobiet, niektóre nawet bardzo drastyczne. Na niskim stoliku leży plika przedwojennych paryskich magazynów, z których właściciel powycinał większość wiszących na ścianie fotografii. Zbieranie kobiecych aktów jest nader pospolitą manią, jakiej ulegają zamieszkali tu od dawna mężczyźni. Białe kobiety spotyka się w Kano jeszcze rzadziej niż na wybrzeżu. A Murzynki — „to nie to samo...” — zwierza mi się właściciel willi, radia i kolekcji aktów.

Właścicielem luksusowo urządzonej willi jest — ku memu najwyższemu zdumieniu — Czech. Czeski agent handlowy, zasiedziały tutaj od lat. W Kano było do pierwszego roku wojny ni mniej ni więcej tylko sześciu Czechów, teraz trzech pojechało do wojska do Anglii a trzech zostało, uprawiając nadal swój zyskowny proceder. Wszyscy są już bogatymi ludźmi. Do momentu zajęcia ich ojczyzny przez Niemców, byli przedstawicielami czeskiego przemysłu w Kano. Podobna koncepcja nie jest wcale tak bezsensowna, jak by się zdawać mogło. Czescy agenci kupowali bezpośrednio od Murzynów skóry i kość słoniową i pominawszy pośredników angielskich wysyłali ją wprost do Czechosłowacji. Stamtąd odbierali małowartościowe produkty uboczne czeskiego przemysłu, jakieś sztuki perkalu, świecidełka, prymitywne trepy, koraliki, fałszywą biżuterię, kolorowe chusty. Wymieniali to u Murzynów znowu na skóry i kość słoniową. I tak szedł handel. Wszyscy byli zado-

woleni. Czesi w Kano — że robili majątek i służyli dobrze swej ojczyźnie. Czesi w Czechach, że otrzymywali wysokowartościowe surowce z pominięciem brytyjskich pośredników handlowych, co znakomicie obniżało koszt. Jedynie transport odbywać się musiał na obcych okrętach i obcych kolejach. Przed wojną jednak Czechosłowacja już podobno budowała — wzorem Szwajcarii — własną flotę. Wtedy impreza stałaby się jeszcze bardziej opłacalną.

Z zazdrością przysłuchiwałem się opowiadaniu lubieżnego Czecha. Nie był on człowiekiem inteligentnym. Praca jego nie wymagała przecież żadnych nadzwyczajnych walorów umysłowych. Był to zapewne jakiś zrezygnowany awanturnik, który poznawszy uroki i gorycze świata tego, doszedł do wniosku, że dobrze może i sobie i swej Czechosłowacji służyć siedząc spokojnie w Kano, najstarszym mieście świata, wśród fotografii nagich kobiet. Fotografie te nic nie przeszkadzały jego krajowi, który nie posiadając morskiego wybrzeża potrafił w międzywojennym dwudziestoleciu zbudować własny aparat handlu kolonialnego.

My mamy — i mieć będziemy — morze. Mamy punkt wyjściowy instytucji handlu kolonialnego, który przecież nie wymaga kolonii. Mamy dzielnych ludzi, którym w ojczyźnie nudno i ciasno. I dlaczego po dziś dzień nie mamy światowej sieci naszych handlowych agentów? Dlaczego wszędzie można spotkać Czecha, a rzadko kiedy — do wojny — Polaka? Dlaczego zawód zagranicznego agenta handlowego jest u nas tak mało popularny? Patrzę na fotografie gołych dziwek, słucham ponurej, rozpaczliwej, mowy Churchilla obwieszczającemu światu całemu dotkliwą klęskę Jugosławii, Grecji i na Bałkanach Imperium Brytyjskiego i myślę, że jednak klęski tej wojny mogą mieć dla nas, dla Narodu Polskiego,

pewien korzystny rezultat. Rozgonieni po całym globie, za wojenną potrzebą wędrujący przez wszystkie części świata, w chwałę i w poniewierce, -- może jednak nabierzemy gustu do zamorskich krain, może jednak Amazonki, Nigry i Tygrysy staną się nam równie pożądliwe jak Wisła czy Warta? Może na koniec — z tyloletnim opóźnieniem, staniemy się po trochu awanturnikami i kupcami. I może za lat dwadzieścia w Kano osiadzie Polak, który będzie na własnym statku do Gdyni wysyłał skóry i kość, a stamtąd dostawał żyrdowskie perkaliki. Na pewno zrobi majątek, i on i jego krajowi wspólnicy, a patriotyzmowi swemu spłaci lepszy trybut, niż ćwicząc w Psiej Wólce nowe pokolenie kawalerzystów czy nawet czołgistów. Będzie robił rzetelną pracę, nawet gdy swą bogatą willę obwiesi sprośnymi fotosami.

Churchill przestał mówić. Obiecał swemu narodowi nową porcję klęsk, łez i cierpienia. Przestrzegł ich przed ciągle groźną, coraz groźniejszą możliwością inwazji niemieckiej na wyspy. Na koniec zapewnił o zwycięstwie, które nadejdzie za lat parę, gdy armia brytyjska wyląduje w Europie.

Żaden rozsądny i normalny człowiek w takie obietnice w takich chwilach nie wierzy. Czech uśmiechał się pod nosem. Tylko angielski pastor, który wysłuchał mowy razem z nami, wierzy niezachwianie w zwycięstwo, ponieważ Wielka Brytania zawsze wygrywa ostatnie bitwy. No i wierzymy my — dwaj Polacy —; wiarę taką aważamy za jedyne rozsądne stanowisko w czasach gigantycznych klęsk.

Już jest ciemno, gdy po wyczerpującej dyspacie strategiczno-politycznej na temat: czy Wielka Brytania przekupiła dopieroco udzieloną pożyczką generała Franco, czy też nie? Czy wobec tego Gibraltar jest jeszcze zagrożony? — wracamy do hotelu. Ulica jest jasno

oświetlona paru elektrycznymi lampami. Przy drodze znajduje się jedyne — oczywiście! — miejscowe kino. Na świeżym powietrzu. Na ogromnym ekranie widać z ulicy jakąś zabawną komedię. Ktoś kogoś bije w mordę, i w kinowym ogrodzeniu wybucha dziki śmiech. Murzyni są wielce uradowani ze znakomitego wynalazku braci Lumière. Na naszych wsiach, położonych w Europie, znacznie młodszych od Kano, gdzie żyją biali ludzie, nie ma kina. Nie ma też elektryczności. Psiakrew!

Wzdłuż drogi, którą idziemy, pod latarniami klębią się grupki czarnych piękności i jakichś białych i czarnych mężczyzn. Mój towarzysz dosadnie wyjaśnia, iż znajdujemy się właśnie na miejscowej ulicy Chmielnej. Jakieś zgrabne dziewczę murzyńskie zaczepia i nas. Coś woła dziwnym językiem. Jest to język, którym mówi miejscowa ludność. Ludność składa się z Murzynów wyznania mahometańskiego. Jest to najbardziej na południe wysunięty w Afryce ośrodek mahometański. Język, którym mówią nazywa się pięknie „hauza“ i jest tym dla mahometańskiej Afryki, czym łacina dla katolickiej Europy.

Być w najstarszym mieście świata zaczepionym na ulicy przez dziewczynę czyniącą swe sprośne propozycje w „prawie-łacinie“ -- to ma swój niecodzienny smaczek.

EL FASHER

Wystartowaliśmy z Kano już o pół do szóstej rano. Czekał nas najdłuższy z dotychczasowych lotów. Na miejscu, w El Fasher, mieliśmy być dopiero o szóstej po południu.

Lot — jak lot. Normalnie nudny i normalnie usypiający. Samolot, załoga i pasażerowie — ci sami, co wczoraj. Lecimy teraz na zachód, z niewielkim odchyleniem ku północy. Krajobraz zupełnie pustynny. Wszędzie dookoła żółty piasek, tu i ówdzie pofalდowany w niewielkie, samotnie lub parami, stojące wzgórza. Pogoda taka, jak wczoraj. Spokój absolutny, bez jednego podmuchu wiatru. Gdy lecimy wysoko — jest zimno. Gdy zniżamy się do lądowania — żar i duszność paraliżują ruchy.

Tej długiej, 1200 kilometrów liczącej trasy, nie prześcokczymy dziś jednym skokiem, tak jak z Lagos do Kano. Aż dwukrotnie przekraczamy granice państw.

Pierwsze lądowanie następuje w Maidaguri. Jeszcze w Nigerii.

Maidaguri jest oazą na pustyni. Obok oazy jest jakieś osiedle; lotnisko jednak położone jest w pewnej odległości, tak, że nic dookoła niego, prócz piasku zda się bezkresnego, nie widać. Lotnisko, jak teraz już wszystkie — założone na ubitym dobrze piasku. Hangarów nie ma. Pozostawione przez konwoje maszyny oblepiane są coraz grubszyymi hałdami pylnego kurzu. Biuro kontroli podróżnych, — jesteśmy na granicznej stacji, — kapita-

na lotniska i bar miejscowy mieszczą się w jednym przestronnym budynku.

Zbadano nasze papiery i skrupulatnie przystawiono na odnośnym dokumencie pieczęć mającą upewnić Francuzów z Fortu Lamy, że w Nigerii nie ma epidemii czarnej ospy. Z ochotą wychodzimy z ciasnego „Lockheada”, by rozprostować pogniecione członki. Chciałoby się tutaj dopisać: i odetchnąć świeżym powietrzem, ale powietrze na lotnisku Maidaguri jest tak samo duszne, ciężkie i rozżarzone, jak gdzie indziej w sercu Afryki, jak nawet w kajucie samolotowej.

W barze spotykam... Polaków. Podoficerowie lecący transportem pasażerskim z powrotem do Takoradi, po odprowadzeniu maszyn do Kairu. Wiozą ich wielkim „Fokkerem”, na którym katastrofy należą do programu podróży. Wobec tego chłopcy piją pod katastrofy, pod spotkanego rodaka. Pytają się o konwój, który wyruszył ze mną z Takoradi, ale prócz tego, iż leci on trochę inną trasą, bo przez Kongo Belgijskie, nie wiele więcej mogą im powiedzieć.

Z Maidaguri znów lecimy wysoko nad nieciekawą pustynią. Po jakiejś półtorej godzinie lotu zamajaczyło nam w dole wśród pustyni, rozległe jezioro Czad. Największe jezioro na pograniczu Sudanu i Sahary i największe w tej części Afryki. Zataczamy kręgi, wypuszczamy podwozie. Przesuwamy się ponad skąpą, nadbrzeżną roślinnością i opadamy na lotnisko o parę mil od brzegu.

Jesteśmy w sławnym Forcie Lamy, jednym z najważniejszych etapów w podróżach w głąb Czarnej Łądy. Nic nie wskazuje na chwałę tego miejsca. Nie widać nawet fortu. Na pustynnym lotnisku znajduje się tylko parę baraków i wielki, przeraźliwie na białło wymalowany wapnem, dwupiętrowy, prosty budynek. To koszary.

Przed budynkiem stał oparty o róg bramy czarny żołnierz ubrany od stóp do głów w khaki mundur identyczny temu, jakiego używali jego towarzysze w czasie zimowych walk na linii Maginot. Murzyn ma na głowie okrągły hełm z francuskim płomieniem. Gdyby nie kolor twarzy można by go wziąć za stuprocentowego francuskiego poilu. Koszary, przed którymi stoi i on sam — są zupełnie jednakowe z podobnymi instytucjami i ich mieszkańcami Francji. Przypuszczam, że wewnątrz panować musi taki sam brud, jak we wszystkich koszarach metropolii.

Gdzieś między Fortem Lama a Maidaguri lecąc wysoko minęliśmy granicę między Nigerią — kolonią brytyjską, a terytorium Czadu — kolonią francuską. Należy ona do Francuskiej Afryki Równikowej, której gubernatorowie, in corpore, zgłosili się pod rozkazy de Gaulla. Mogli to zobić śmiało — od macierzy dzieli ich szeroka Sahara, a gdyby nie podporządkowali się w czas de Gaullovi, zostaliby zawojowani przez Anglików (tak jak zrobiono z Dżibutti). Tylko wtedy panowie gubernatorzy straciliby swe posady.

Granicę nie sposób zauważyć na piasku pustyni. Gdy stoimy na lotnisku, przy koszarach — od razu widać różnicę dwóch państw, dwóch systemów polityki kolonialnej, ba! nawet dwóch odmiennych kolonialnych kultur.

Polityka kolonialna brytyjska nie uznaje w murzynie równego obywatela Imperium. Czarny jest według tego podziału jednostką niższej rasy, której nie dopuszcza się do równych praw, ale też nie żąda się od niej równych świadczeń. Murzyna z Nigerii w najlepszym razie zatrudnia się ochotniczo w miejscowych garnizonach murzyńskich o typie wartowniczym. Nie wymaga się, by walczył i ginął za Anglię. Wielka Brytania jednak w słusznej i kupiecko wyrachowanej, a purytańsko wyideali-

zowanej, dbałości o zdrowie i siły swych robotników — dba o materialny byt murzynów. Jest to stosunek trochę jak do zwierzęcia, które się posiada. Widać to w tych brytyjskich koloniach afrykańskich, które oglądałem. Murzyni mają się dobrze, wyglądają dostatnio.

Inaczej jest w koloniach francuskich. Dla Francuza murzyn jest człowiekiem. Więcej nawet — jest pełno i równoprawnym obywatelem Republiki Francuskiej. Ma prawo wybierać i być wybranym do parlamentu, ma prawo zostać ministrem. Za to jednak państwo dba o niego równie niewiele, jak i o resztę obywateli. Ta równość startu, realizując fikcyjnie i literalnie demokratyczne zasady, w rezultacie wychodzi na niekorzyść murzyna, który nie ma na ogół ani wykształcenia ani możliwości materialnych, — by zamilczeć o ciągle aktualnych szansach rasowych w ujemnym i dodatnim tego słowa znaczeniu, — aby dorównać w życiowym wyścigu swym białym współobywatelom. Nie dość na tym, — murzyn otrzymał prawo wyborcze, otrzymał też „przywilej“, — tak nazywają tę wątpliwą przyjemność narody cywilizowane, — przywilej obrony własnej ojczyzny, którą mu nieproszenie poszerzono aż po Ren. Musi nie tylko w razie potrzeby w pierwszym zaraz rzucie ginąć za tę ojczyznę, ale też musi w pokojowym czasie odsługiwać, nie dwa lata, jak każdy biały Francuz, ale trzy lata służby wojskowej.

Nad afrykańskim Czadem obyczaje i regulaminy są takie same, jak pod Algierem i pod Paryżem. Koszary zostały wybudowane jednakowusieńko w całym Imperium Francuskim. Jednakowo pobielono je wapnem, czy stoją w Forcie Lamy czy w Rennes. Jednakowo mają układ izb i sal. Jednakowo ubrany — bez względu na klimat — żołnierz stoi przed nimi na warcie. Jednakowo powiewa trójkolorowa chorągiew, tylko że teraz na bia-

łym połu wyrysowany jest podwójny Krzyż Lotaryngii. Znak de Gaulla.

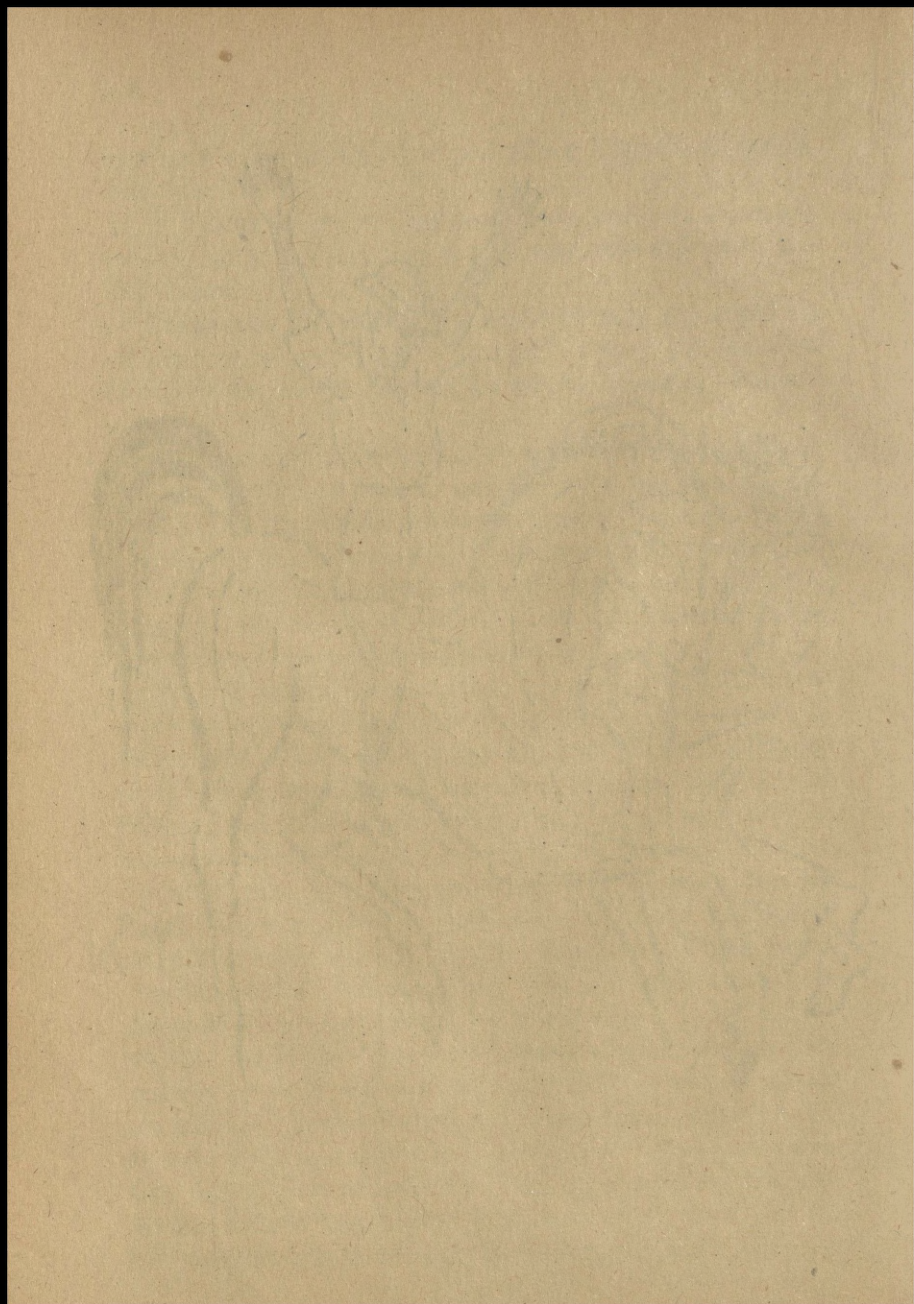
W Forcie Lamy odpoczynek trwa godzinę. Po czym lecimy dalej. O pierwszej w południe steward znów podaje lunch.

Francuska Afryka Równikowa niczym nie różni się od północnej brytyjskiej Nigerii. Też spać się chce, też żółto. Może ziemia jest tylko trochę bardziej pomarszczona.

Przed osiągnięciem El Fasher lądujemy raz jeszcze na lotnisku El Geneina. Też pustynia, ale nazywa się już ona: Kondominium Brytyjsko-Egipskie Sudan. Lotnisko — jak wszystkie pustynne. Jeden niewielki barak starczy za wszystkie pomieszczenia dla całej instytucji kierującej ruchem powietrznym. Obok leżą szczątki jakiegoś zdruzgotanego w kraksie samolotu.

Po lotnisku wałęsa się cała gromada wysokich, rośłych murzynów. Dowiaduję się, iż nie są to murzyni, ale przedstawiciele arabskiego szczepu Tuaregów. Wspaniali, silnie zbudowani, znaczeni trzema podłużnymi bliznami na każdym policzku — Tuaredzy są ciągle jeszcze postrachem okolic. Uważają oni, iż kiedy, jak kiedy, ale w czasie wojny europejskiej, gdy ich administracyjni panowie zajęci są większymi, niżli oni, grabieżcami, warto sobie trochę pohulać i należy dać upust swym atawistycznym skłonnościom. Na lotnisko jednak nie przyszli by grabić, raczej by handlować. Jeden z dryblasów zbliża się do mnie i łamaną angielszczyzną proponuje mi — ni mniej ni więcej, tylko — natychmiastowe kupno... konia. Rumaka, którego chce sprzedać, zachwala najwspanialszym określeniem, które rzeczywiście decyduje o walorach końskich najwyższej klasy — mianowicie, iż koń zdolny jest i nadaje się do gry w polo. Rekomendacja niewątpliwie zachęcająca. Koń rze-





czywiście wspaniały. Smukły, wysoki, hebanowy. Cena nawet nie wygórowana — 5 funtów i to w dowolnej walucie, egipskiej lub angielskiej, gdyż na terenie Sudanu obie mają pełnowartościowy obieg. Cały feler jednak, że piękny ogier nie wlaźłby ani rusz do niskiej kabiny Lockheada; no a jeśliby nawet zmieścił się, to i tak musiałbym go porzucić na Bałkanach. Z bólem serca odmówiłem Tuaregowi tej pięknej transakcji.

O szóstej po południu, jak było przewidziane, zakolewaliśmy nad piaskowym polem, na którym nic nie stało. El Fasher. Najbardziej pustynne z pustynnych lotnisk. Gorąco potworne. Duszno — jak w parowej łaźni. Samochód czekał już na nas.

Drogą przez pustynię, dojechaliśmy do miejsca naszego noclegu.

Wśród płaskiej i kompletnie gołej, bez skrawka zieleności, pustyni, stał pustynny hotel. Był to wielki, dobre sto metrów długi i tyleż chyba szeroki, parterowy budynek, dla odmiany od innych, całkowicie osłonięty moskitonem. Siatka, naciągnięta na zabudowania w podwójną warstwę, odgradzała od pustyni całe życie hotelu. Nic się nie działo poza nią.

Wewnątrz hotel urządzony był na wzór i podobieństwo arabskich chat. Goście spali w maleńkich celach, bez szyb, o oknach zasłoniętych tylko moskitonem. Brak było elektryczności i wody bieżącej. W celach paliło się świece, w przestronnej jadalni — lampy naftowe. W łazience, nad jedyną wanną wisiała kartka z uprzejmą prośbą: „Prosimy oszczędzać wodę, gdyż wozi się ją na osiołkach z odległej o trzy mile oazy”. Woda dowożona z oazy na „donkey’ach” — oto dopiero szczyt egzotyizmu i zaprzeczenie cywilizacji.

Służbę w tym przybytku pełnili wysocy Tuaredzy, ubrani w białe suknie do kostek, przepasani wielką ama-

rantową szarfą. Na głowach mieli czerwone sztywne fezy. Jesteśmy już w krainie Mahometa.

Jesteśmy po dzisiejszym dniu solidnie zmęczeni, a duszne powietrze nie działa orzeźwiająco. Nikt nie ma ochoty słuchać radia, by dowiedzieć się, że wczoraj Niemcy zajęli Ateny, że Anglicy i Grecy bronią się już tylko na Peloponezie. Każdy woli spać.

W celach nie ma łózek. Są tylko rozciągnięte na czterech kunsztownie rzeźbionych nóżkach maty. Jak w arabskiej chacie. Z tą zasadniczą różnicą, że maty przykryte są śnieżnej czystości prześcieradłem, na którym leży czysty, z czerwonej, grubej wełny zrobiony koc z inicjałami Towarzystwa Komunikacyjnego.

Tej nocy śpię fatalnie. Pewnie dlatego, że w maleńkiej izdebce jest potwornie duszno, a dziura okienna w ścianie nie wiele pomaga. Na dworze jest też duszno i sucho. Mam potworny sen. Najpierw śnią mi się zabici we „wrześniu“ koledzy. Potem, że już jestem w Kraju i że na jakimś zebraniu zjawia się policja niemiecka i zostaję zdemaskowany, jako uczestnik „sprawy Kotta“ i zagraniczny kurier.

Budzę się złany zimnym potem. I do rana już nie śpię.

O piątej wstajemy. Śniadanie — jak codzień — jak wszędzie — tak i tu, gdzie wodę dowozi się trzy mile na ośle — jest porridge, i ham and egg, i owoce, i jamy, i sery.

Odlatujemy w kierunku północno-wschodnim. Na Chartum.

CHARTUM

Z El Fasher do Chartumu nie jest już bardzo daleko. Nie zatrzymujemy się nigdzie po drodze i krótko po jedenastej wynurza się z pustyni rzeka, miasto i tor kolejowy. Chartum. Węzłowy punkt Afryki, leżący u zbiegu Nilu Białego z Nilem Niebieskim, to jest w miejscu decydującym dla nawadniającego systemu egipskiego.

Gdy lądujemy w Chartumie widzimy od razu, że pustynia została już poza nami. Miejsce startu i lądowania pokrywa beton. Niedaleko stoi parę dużych hangarów. Widać domki — biura portu. Wskoczyliśmy znów w cywilizację.

W tych godzinach miasto jest wymarłe. Przejeżdżamy samochodem przez szerokie, przeraźliwie białe od słońca ulice, — na których tylko od czasu do czasu, z rzadka, widać leniwie powłóczącą nogami postać arabską. Sklepy, noszące nazwy największych firm świata, jak „Bata“, „Kodak“ i parę innych w tej samej skali — prezentują przyjezdnym witryny uliczne, szczelnie zasunięte deskami. Przypominam sobie nowelę Conan Doyle'a „Świat w letargu“, której bohaterowie jechali przez uśpiony Londyn, gdyż ziemia właśnie przechodziła przez zatrute, powodujące letarg kręgi atmosfery. Jedyne, co przeczy letargowi, to czarni, na biało ubrani, policemeni regulujący na skrzyżowaniach niewielki ruch samochodowy. Miasto — na pierwszy rzut oka — wygląda euro-

pejsko. Środkiem szerokich, wyasfaltowanych ulic ułożone są szyny tramwajowe. Domki jedno lub dwupiętrowe. Tylko ta cisza, przeraźliwa południowa cisza.

Oczywiście i tutaj zatrzymujemy się — raczej może zatrzymują nas — w najelegantszym hotelu Chartumu. W — jakżeby mógł zwać się inaczej — „Grand Hotelu“. Nazwy kin i hoteli są na całym świecie identyczne. Szkoda, że to miłe podobieństwo kończy się zwykle na nazwie.

„Grand Hotel“ jest pięknym, trzypiętrowym budynkiem położonym przy suto odrzewionym spacerowym bulwarze, biegnącym wzdłuż „Białego Nilu“. Jest to już właściwie koniec miasta. Z tej strony Nilu, wschodniej, dzieli nas od pustyni tylko niewielki Ogród Zoologiczny i parę małych domków. Natomiast na zachodnim brzegu, przed nami, jest już pustynia. Na tamtej stronie w ogóle nie ma Chartumu; miasto całe leży na wschodnim brzegu. Na zachodnim, nieco w dół rzeki, bliżej ujścia Niebieskiego Nilu, znajduje się właściwy, historyczny Chartum — prawidłowo zwany Omdurman. Tam właśnie, a nie w Chartumie, Staś i Nel spotkali okrutnego Mahdiego. Tam głowa walecznego Gordona wywieszona na pice, pobudzała mahdystów do nowej walki. Tam działy się te wszystkie straszne i wspaniałe historie, które w europejskiej perspektywie zwykliśmy przypisywać Chartumowi. Chartum swą karierę zawdzięcza Omdurmanowi. Dziś Omdurman tworzy przedmieście Chartumu, przedmieście dwa i pół raza ludniejsze od właściwego miasta. Chartum liczy sobie wszystkiego nieco powyżej czterdziestu tysięcy mieszkańców, podczas gdy Omdurman dochodzi do stu pięciu tysięcy. Chartum jest nowoczesnym południowym miastem europejskim, zamieszkałym w znacznej ilości przez Europejczyków, a następnie przez zeuropeizowanych Egipcjan i Arabów, podczas

gdy Omdurman po dziś dzień jest klasycznym okazem starego miasta arabskiego. Długie, kręte uliczki przepelnione są ciasno tłumami, odznaczającymi się na pierwszy rzut oka brudem i wrzaskiem. W małych uliczkach odbywa się jakiś nieustający harmider; sens jego jest nader trudno ustalić. Jest to wielki jarmark, gdzie nędzna ludność handluje wszystkim, za wszystko i o wszystko. A dzieje się to wśród niesamowitego kurzu, unoszącego się z ruin starych domów mieszkalnych. Kurz z ruin i same ruiny, będę odtąd spotykał na wszystkich arabskich przedmieściach wszystkich miast Środkowego Wschodu, w Starym Kairze, i w Starym Stambule. Religia mahometańska nie pozwala na rozbieranie starego domu. Dom taki musi się sam rozlecieć, choćby miało to trwać wiek cały. Tak musi być — gdyż w domu znajduje się dusza, i nie godzi się jej stamtąd wyganiać tak długo, aż sama nie uleci. Tego rodzaju filozofia życiowa niesłychanie odpowiada Arabom; tak władzom municipalnym, jak właścicielom domów, zdejmuje kłopot z głowy. A to, że kurz sprzyja chorobom, zwiększa śmiertelność, — Arabi są ostateczni, którzy martwią się takimi drobiazgami.

Szukam świetności dawnej rezydencji Mahdiego — i niestety nic nie znajduję. Pokazują mi przy obszernym placu dom, w którym mieszkał przed pięćdziesięciu pięciu laty Mahdi. Dom, zwykły arabsko-murzyński dom, wybudowany z gliny, stanowiący całość z ulicznym murem. Zdaje się, że nawet zamieszkały bez pietyzmu przez zwykłych śmiertelników.

Omdurman męczy swym tłokiem, zgiełkiem, brudem i kurzem. Stanowczo nie nadają się na czciciela i wielbi ciela arabskiej kultury mieszkalnej i materialnej. Mam głębokie wrażenie, że nieustanne paradowanie w długim chałacie, który winien być biały, też znakomicie sprzyja

hodowli brądu. Pod tym względem murzyni mieszkający nad morzem, czy nad jakąkolwiek wodą — korzystnie różnią się od Arabów. Są czyści.

Omdurman łączy się z Chartumem przez długi most nad Nilem. Tym mostem świat arabski przechodzi w świat współcześnie cywilizowany. Na moście nie tylko wiszą łukowe lampy, ale idzie po nim tramwaj. Prawie tak jak w Warszawie przez most Poniatowskiego.

Most i dzwonek tramwaju przypomniały mi właśnie Warszawę o szarej godzinie zmroku. Było to jedno z najsilniejszych wrażeń, jakie przeżyłem w czasie afrykańskiej wędrówki. Kształt mostu, oglądany z boku od strony bulwaru, dzwonek tramwaju — i w pewnej chwili zdawało mi się, iż nie nad Nilem, lecz nad Wisłą stoję, na wybrzeżu Kościuszkowskim niedaleko Yacht Klubu. Wrażenie było tak silne, że powrót do rzeczywistości wymagał pewnego świadomego wysiłku psychicznego.

Ten jeden moment zdecydował, że do Chartumu nabrałem niezwyklej sympatii. Zacząłem odruchowo szukać w nim dalszych śladów rodzinnego miasta.

To było jednak raczej bezcelowe. Naprawdę Chartum w niczym, poza tramwajami, bardzo podobnymi do tych, które dawno, dawno temu jeździły otwarte w lecie po Warszawie — nie przypomina Warszawy.

Choć może się mylę — może jeszcze jeden rys wspólny, raczej rys podobny, dałoby się ustalić. Warszawa, a poza nią wcale nie tak wiele miast, odznaczała się specjalną żywotnością i ruchliwością w nocy. Na Nowym Świecie ruch zaczynał się przed północą. Podobnie jest w Chartumie. Tropikalne, ledwo wytrzymałe gorąco sudańskiej pustyni sprawia, iż dopiero wieczorem, gdy siłodajny chłód spływa na domy i ulice, gasząc rozpalone dachówki i stwardniając miękkie asfalt, dopiero wte-

dy rozpoczyna się normalne życie. Sklepy otwierają się na oścież, ludzie chodzą sprężysto, tramwaje suną prędko, kobiety robią się wesołe. W paru lokalach rozbrzmiewa muzyka. Miasto staje się raptem ludne i ruchliwe, zwłaszcza, że przed niedługim czasem zniesiono „zaciemnienie”. Przedtem, ze względu na wojnę w Abisynii obowiązywało pół-zaciemnienie. Teraz światło elektryczne swobodnie promieniuje w pustynię, jakby na złość szakalom i innym drapieżcom, których jęklive ryki rozlegają się nocą po drugiej stronie Nilu. Gdy Omdurman układa się do snu, Chartum ożywa.

Chartum swój wojenny obowiązek wypełnił już w stu procentach. Najprędzej ze wszystkich miast Imperium Brytyjskiego. On jeden dotąd, wyszedł z wojny zwycięsko. W „Grand Hotelu” mieszkają oficerowie głównego sztabu kampanii w Abisynii. Chodzą dumni i weseli. Gdy wielki Wawell bierze cięgi w Egipcie, oni tutaj zadali Włochom zdecydowanego mata. Zabrali im Erytreę, Somali. Odebrali Somali Brytyjskie. No i na koniec wypędzili ich z Addis-Abeby, a teraz tylko wyduszają cierpliwością resztkę wrogów broniących się pod wodzą ks. Aosty. Trzy są jeszcze punkty rozpaczliwego włoskiego oporu. Amba Alaga, gdzie znajduje się sam książę Gondar i południowo-wschodnia część Abisynii. Walki te wcześniej lub później skończą się kapitulacją włoskich garnizonów, los ich już nie może się odmienić i dlatego moi współlokatorzy z „Grand Hotelu” chodzą uśmiechnięci i spokojni. The work is over.

W Chartumie, jak wszędzie teraz w centralnej Afryce, jedyną oznaką wojny jest wielka ilość oficerskich mundurów na ulicach i po hotelach, coraz bardziej ogolane z towarów sklepy, oraz spóźnione zamorskie gazety w kioskach. W Chartumie, tak jak w Lagos, wycho-

dzi miejscowy dziennik, który absolutnie niczym nie różni się od naszych polskich kurierków ongiś ukazujących się raz na trzy dni w jakimś Pińczowie, czy Turku. Żle spreparowane wiadomości z radia i in extenso przepisane anegdotki z numerów magazynów londyńskich, jakie równocześnie można dostać w miejscowych księgarniach. Redakcja dziennika dostaje je też z miesięcznymi opóźnieniami. Najciekawszą rubryką są ogłoszenia i wiadomości towarzyskie o ślubach czy zgonach.

Dzięki tym pozorom europejskości miasto jest miłe. Oczywiście tylko do pewnych granic. Granice te wykreśla nader dokładnie temperatura dnia. Póki jest ciemno, a więc i chłodno, — chciałbym siedzieć tu dłużej, choćby tylko po to, by móc wałęsać się po bulwarze nad Nilem, słuchać rozkrzyczanej pustyni, przemykać się między palmami, czy wreszcie płynąć motorówką przez spokojne nurty Nilu, złożonego po równi matowym światłem księżyca i ostrym odbiciem nadbrzeżnych lamp elektrycznych czy iluminacji urzędowych rezydencji. Piękny i błogi jest Nil wieczorem. Dżentelmeni w białych garniturach, niewiasty w powiewnych sukniach, przewijają się, z daleka znaczni jasnym kolorem strojów, między nadbrzeżnymi palmami lub po pokładach statków czy łódek. Wszystko to tworzy jakąś sytą i pogodną bajkę o królewnach i królewiczach beztroskich, lub przypomina film holywoodski z życia amerykańskich milionerów. To ostatnie — jest może najsluszniesze, gdyż tu, w środku afrykańskiego lądu, nie ma biednych białych ludzi. Tutaj wszyscy mają dostateczną ilość pieniędzy, by czuć się panami świata. Miłe uczucie, zwłaszcza, gdy można siedzieć beczynn timer na wypolerowanej ławeczce łódki, gdyż rosły Tuareg wiosłuje i męczy się za nas. Mieć pełną świadomość czasu wolnego, bez żadnych obo-

wiązków, prócz czekania na samolot, o którym nie wiadomo czy będzie za dzień czy tydzień. Słuchać w błogim nieróbstwie świergotu cieszącego się nocą ptactwa i łagodnego echa orkiestry, grającej w którymś z hoteli. Gdy wrócę tam o północy, boy pokornie zgięty powita mnie pytaniem, czy chcę tea or coffee i o której ma rano budzić...

Przyjemne jest uczucie białego pana wszelkiego stworzenia, jakiego Europejczyk doznaje w koloniach. Uczuciem tym można się upić, można oszaleć i wierzyć teraz, że stać się ono może potężnym motorem polityki imperialnej.

Przyjemność pobytu w kolonii staje się jednak mocno problematyczną zaraz w nocy, gdy duszny upał spać nie daje, czy dnia następnego, gdy każdy krok wymaga walki z słońcem i żarem. Ciekawość przemaga jak zwykle rozsądek i zamiast — jak czyni to większość białych ludzi — położyć się do łóżka w najchłodniejszym pokoju, wybiegam na ulicę. Mały w chłodny wieczór — Chartum wydaje się wielkim w gorący dzień. W spiekocie ulice wydłużają się. Są one martwe i ciche. W cieniu domowych murów, tu i ówdzie leżą na matach Arabi. Śpią. Ten obyczaj spania na świeżym (jeżeli powietrze w Chartumie można nazwać świeżym?) powietrzu, zauważyłem już wieczorem. Gdy życie białych jeszcze w pełni kipiało na ulicach — Arabi wyciągali prycze przed domy i sklepy, wprost na chodnik i układali się na nich do snu, nie bacząc na ruch panujący dokoła. Teraz też spali smażąc się w upale. Może czynili tak dlatego, by lepiej słyszeć w południe głos muezzina z meczetowego minaretu wzywający ich na normalną modlitwę. Słyszając go zrywają się z mat, wychodzą z kawiarni, prędko rozkładają na ziemi małe dywaniki i zwróceni twarzą do Mek-

ki, biją czołem pokłony o ziemię. Potem znów wracają do swego wiecznego lenistwa.

Nie, stanowczo nie! Chartum w dzień nie jest pociągający. Europejczyk czuje się zagubiony w tym upale, bezradny i bezsilny. Potworne jest życie tych, co tu żyć muszą.

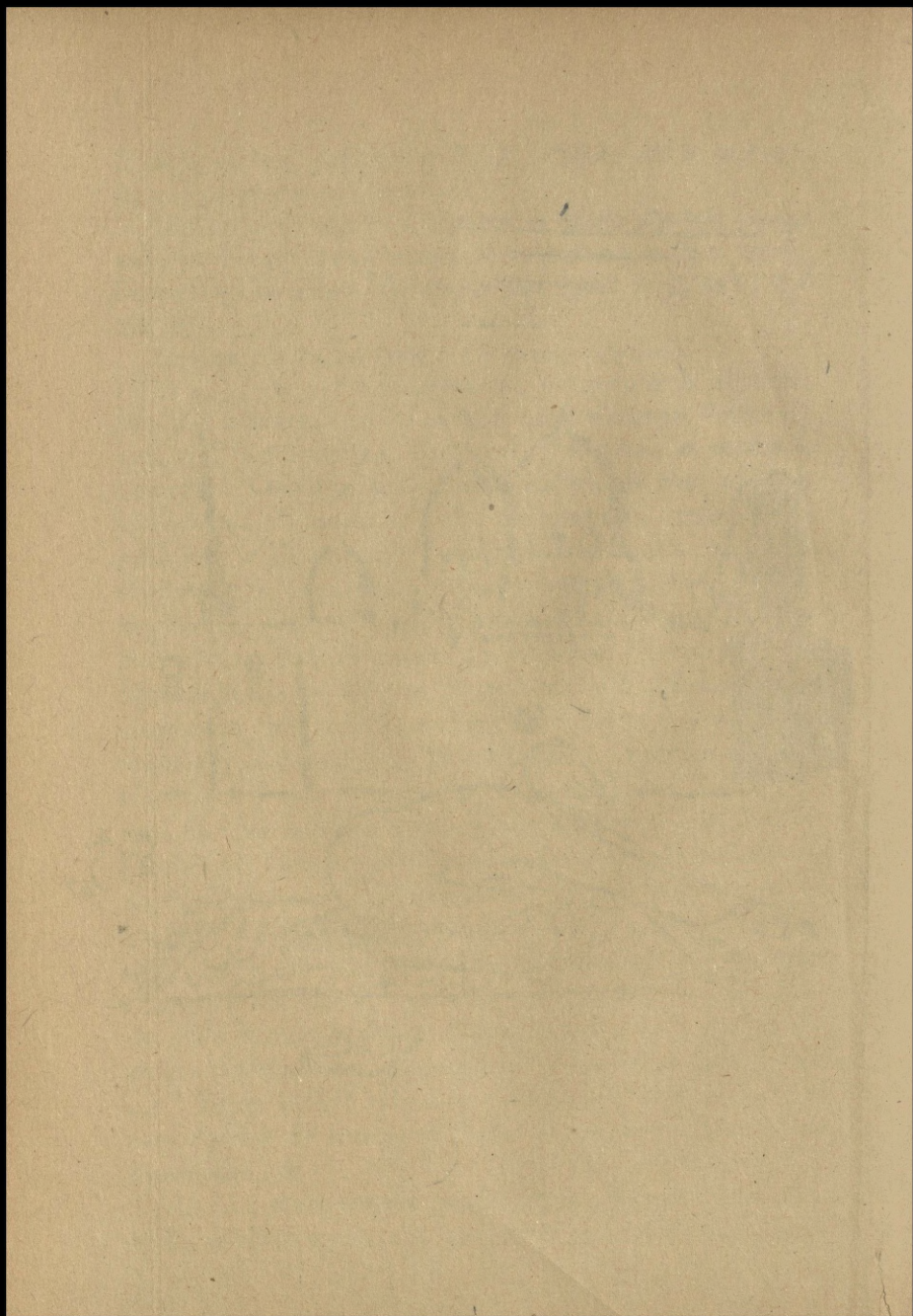
Zresztą nie tylko ludzi. Zwierząt również.

Dość mam już włóczenia się po gorących, lepkich, pylnych ulicach. Idę do ogrodu zoologicznego. Zwierzyńiec w Chartumie jest tragiczny. Zwierzęta są osowiałe i smutne. Okrutną potworność instytucji tego rodzaju uwidacznia dopiero w pełni zwierzyńiec tego typu, jaki jest w Chartumie. Zwierzęta więzione w ogrodach europejskich nigdy nie widziały wolności, będąc krzyżówkami świeżo złapanych zwierząt z pokoleniem wyhodowanym już od urodzenia w klatce. Operacjami takimi zajmuje się sławny Hagenbeck w Hamburgu. Dostarcza on zwierząt do zoo i cyrków całego świata. Zwierzęta wyhodowane przez Hagenbecka i prezentowane publiczności — nie są normalnymi zwierzętami. Tutaj jednak, do Chartumu, nie opłacałoby się przywozić okazów fauny aż z Hamburga. Ogród wobec tego skompletowano na miejscu, z przedstawicieli pustyni. Siedzą tedy za kratami lew i hiena, jeszcze niedawno żyjące na swobodzie, grzeje ich pustynne słońce, słyszą ryk swych braci i ogarnia ich czarna rozpacz. Gdy oglądałem ogród — ten obóz koncentracyjny dla zwierząt — nie znałem jeszcze popularnego „lagrowego“ określenia „muzułmanin“. Teraz jednak wiem, iż właśnie to słowo najtrafniej pasowałoby do biednych zwierząt, zagnanych do chartumskiego zoo.

Arabi i murzyni nie znali instytucji tego typu. Oni tylko zabijali zwierzęta, oprawiali je i żarli. Białe czo-



95/47



wiek dokazał rzeczy okrutniejszej. Wsadził zwierzęta za kraty, nie uwalniając ich jednak od rożna.

Sympatia do Chartumu, wzbudzona dzwonkiem tramwaju — zaczyna się gwałtownie zmniejszać. Najwyższy czas wyjeżdżać z tego miasta; w Europie rzekło by się: miasteczka. Jest to jednak stolica Sudanu.

TROPAMI STASIA I NEL

W Chartumie byłem dwie doby.

Trzeciego dnia o szóstej rano jesteśmy już na Nilu. Przystań skąd mamy startować znajduje się niedaleko hotelu. Gdy przybyliśmy — wielkie cielsko „Flying boat” — „Latającej łodzi” kołysało się już na falach Nilu.

Dotychczasowy środek lokomocji uległ zmianie. Do Chartumu przylecieliśmy samolotem — teraz odległość dzielącą nas od Kairu mamy przebyć „Latającą łodzią”, tej samej „Overseas Airways Cooperation”. „Latająca łódź” — to nie to samo co hydroplan. Hydroplan — to normalny samolot, mający zamiast podwozia zakończonych kółkami, pływaki przymocowane do spodu skrzydeł; na nich osiada na wodzie. Natomiast „Latająca łódź” jest wielkim aeroplanem, posiadającym kilka motorów, trzy kilkunastoosobowe kabiny, ułożone w dwie kondygnacje, luksusową łazienkę, kuchnię celem przyrządzania ciepłych posiłków, wreszcie obszerną kajutę pilotów. Załoga składa się z paru pilotów, specjalnych radiotelegrafistów i dwóch stewardów. Całość jest ogromna i może zabrać około pięćdziesięciu pasażerów. W dzień pasażerowie siedzą na wygodnych kanapkach, mając przed sobą stoliki do czytania, pisania (przeważnie na maszynie — ze mną leci dwóch korespondentów, całą drogę stukają na maszynie), ewentualnie spożywania posiłków. Wieczorem wygodne kanapki przekształcone zostają

w nlewniej wygodne łózka; śpi się tu nleczym w luksusowym amerykańskim sleepingu. Cała ta instytucja — gdyż chyba tylko tak godzi się ją nazwać — osiada nie na kołach, ani nie na pływakach, tylko na spodniej części korpusu samolotowego, zaopatrzonych w odpowiednie kół. Stąd precyzyjna nazwa „łodź“.

Jak informują małe atlasy przyłączone do każdego stolika, „latające łodzie“ kursują już po całym świecie brytyjskim i amerykańskim. Trasa, którą teraz lecimy, jest częścią wielkiej drogi lotniczej, obsługiwanej przez „łodzie“. Droga rozpoczyna się w Capetown, potem prowadzi wzdłuż wybrzeża morskiego; gdzieś na wysokości Madagaskaru „łodzie“ kierują się ponad ląd. Punkty dziennych „wodowań“ tyczą teraz wielkie jeziora Rho-
dezyji i Kenii: Tanganika, Victorii i Rudolfa. Dalej trasa prowadzi wzdłuż Nilu, aż do samego Kairu. „Łodzie“ kursują trzy razy tygodniowo.

Gdy już wszystkie formalności zostały załatwione, ludzie i bagaż załadowani, drzwi solidnie zamknięte — zaczęły warczeć motory i raptem, znaleźliśmy się w srebrnej ehmurze wody, która wzniosła się z Nilu do wysokości potężnych skrzydeł, zakrywając nam zupełnie widok na świat. Srebrny, gęsty, nieprzepuszczalny dla wzroku deszcz siekł po szybach maszyny. Byliśmy zannurzeni w jakimś przepięknym odmęcie wodnym.

Z tego odmetu ruszyliśmy. Odczuliśmy to raczej, aniżeli spostrzegli. W pewnej chwili piękne zjawisko ustąpiło. „Łódź“ sunęła teraz w zamasyistym pośpiechu przez Nil. W tyle dojrzeć można było silnie rozbujane łódki kołyszające się na ostrej fali, jaką pozostawialiśmy za sobą.

Reszta — to był już tylko normalny start samolotu. Niepostrzeżenie maszyna zawisła w powietrzu i wtedy prędko zmalowały domki, ludzie, stając się filigranowej

wielkości. Rozszerzyła się nałomłała pustynia. Jednaka — jak okiem sięgnąć. Tylko w środku, pod nami, przez żółtą jednostajność, widać się niebieskawo-stalowy, ostro świecący w słońcu, Nil.

Niestety nie lecieliśmy wzdłuż Nilu. Samolot siedzi prosto, ścinając w drodze ponad pustynią Nubijską klasycznie hebrajski nos Świętej Rzeki. Z tej przyczyny nie zobaczyłem sławnych katarakt, będących dla młodocianych sienkiewiczowskich bohaterów kolejnymi punktami wzrostu i utraty nadziei ratunku. Mogłem tylko odszukać na mapie ich położenie, by stwierdzić gorzko, jak daleko przelatujemy. Ha! — cóż robić!; — mówi się — trudno!

W „latającej łodzi“, przeciwnie niż w samolocie, powietrze jest rzeńskie i przyjemne, choć lecimy przecież nad pustynią, z góry nie różniącą się — poza wstęgą Nilu — niczym specjalnym od tej, która rozciągała się między Kano a Chartumem. Zasługa to wielkości kabiny i specjalnej wentylacji.

Wodowanie w Wadi Halfie, dokąd przybyliśmy koło jedenastej, odbyło się znów w tak samo pięknej otoce wodnistej, jak startowanie. Odplynęliśmy na ląd. Wypoczynek trwał chyba z półtorej godziny. Cała duża poczekalnia rozłożona na tarasie w ogrodzie, pełna była pasażerów; właśnie z przeciwnej strony, od Kairu, przyłeciała również „łódź“. Wszyscy chciwie pili zimne napoje i odpoczywali pośród przysadzistych, niewielkich palm.

Gdy wzniesiliśmy się teraz ponad Nil — byliśmy już w Egipcie. Pod nami leżała ziemia, którą zwykliśmy uważać za kolebkę naszej cywilizacji.

Nil podobny jest chwilami do Dniestru na Podolu. Zakręcając wśród równin obie rzeki tworzą swoimi brzegami po stronie przeciwnej skrętowi wysokie rampy,

jakby chroniąc rzekę przed wypadnięciem z toru. Podobnie podniesione na wirażach są wyścigowe tory kolarskie i bobslejowe. Coraz częściej brzegi Nilu pokrywała zielona roślinność uprawnych pól; na wirażach — rzecz ciekawa — tylko płaska strona była zielona. Gdzie były wzniesienia — tam żółcił się pustynny piasek. Ta żywa zieleń, ciągnąca się wąziutkim pasemkiem, wśród bezmiaru trupiastej żółci — wygląda dziwnie nierealnie. Wierzyć się nie chce, że wśród tych pól od setek i tysięcy lat trwa życie, że skrawek zieleności życie to zapładnia i utrzymuje.

Znów powietrzny statek poszybował prosto na północ, zostawiając po prawej stronie Nil z jego pierwszą kataraktą. Pech!

Gdy po pewnym czasie wyszliśmy nad rzekę — krajobraz odmienił się zasadniczo.

Pustynia została całkowicie rozepchnięta na boki. Po obu stronach szerokiego Nilu ciągnęły się, bez żadnej przerwy, pasy zieleności, szerokie może na dwa kilometry, może więcej. Wśród tej zieleności wyrysowane są proste, znaczone świecącym w słońcu asfaltem, drogi, których sieć jest gęsta. Nawet może za gęsta, jak wydaje się laikowi. Przez zieleność biegnie tor kolejowy. Sunie ogon wagoników. Lokomotywa puszcza w górę snopy białej pary. Od czasu do czasu w zieleń wmontowane są kępki małych domków. To miasteczka lub wsie. Wszystko razem, z góry, wydaje się na tle wąskiego pasa przestrzeni, jak łraina karzelków rozłożona między nogami Gulliwera. Jest w tym coś nierealnego, zwłaszcza, gdy przenieść na moment wzrok na bezkresną wielkość pustyni, która jest równa niebu; schodzi się z nim dopiero na wysokości horyzontu.

Gdy jednak patrzeć uważniej i dłużej na dziwną ziemię — okazuje się, iż system komunikacyjny nie grze-

szy nadmiarem szos. Szosa jest tylko jedna. Świecące pasy — to nie asfalt, lecz woda. Oślawione egipskie kanały. Pamiętam Holandię, tutaj jednak siatka kanałów jest znacznie gęstsza.

Myślę, co wszyscy myślą w takich okolicznościach. Przypominam sobie fragmenty egipskiej historii, tytuły i bohaterów powieści o starożytnym Egipcie, jakie każdy język europejski ma w dużym wyborze, choć „Faraona” ma tylko jeden z nich. Myśli się przepisowo i uroczyście o wieczności, o Ramzesach, o mądrości kapłanów egipskich; przed czterdziestu wiekami wymyślono tu system, jakiego po dziś dzień udoskonalać wiele nie trzeba.

Im dalej lecimy — tym ruchliwsza staje się ziemia. Nasz rozłożysty cień coraz częściej zasłania słońce wioską i małym miasteczkiem. Po Nilu płyną jakieś łodzie. Maleńkie samochodziki, jak elektryczne modele, suną po szosie.

W podręcznym atlasie widać namalowane niebieskie jezioro. Można je dojrzeć, po lewej stronie samolotu. A za nim, w niewielkiej na mapie odległości, paru za ledwie milimetrów, wyrysowane są trójkąty mające oznaczać Piramidy Ghizeh.

Uważnie obserwuję ziemię przez tafle samolotowej szyby. Za nic nie chciałbym stracić widoku Piramid z góry. Jeżeli na żołnierzy Napoleona mogło patrzeć „czterdzieści wieków” — w takim razie, jeżeli jestem ponad Piramidami — to ja patrzę na czterdzieści wieków. Logiczne? Nieprawdaż?

Widzę na koniec i Piramidy. Cztery stożki kamieni, jakże małe wydają się z wysokości dwóch tysięcy stóp.

Zaraz za nimi rozsypują się w dole ogromne ilości kairskich domków i domów. Pod nami znajduje się naprawdę wielkie miasto. Staram się przypomnieć sobie widok Warszawy z samolotu — i porównać ją z Kairem.

Z góry wszystkie miasta są na ogół podobne. Widać wszędzie jednakowy ruch, domy różnią się wprawdzie nieco dachami, ale pod tym względem Paryż czy Londyn są bardziej odmienne od stolicy Polski niż Kair. Po ruchliwych i zatłoczonych ulicach jeżdżą auta i tramwaje. W rzeczywistości — nic nowego. W nocy wszystkie koty czarne, z góry wszystkie miasta jednakowe. Jedyne, co różni Kair od wszelkich innych miast europejskich, to masa iglastych minaretów, którymi jest naszpikowany. A obok każdej takiej szpilki wydyma się w powietrze, niby balon na uwięzi, półkolista kopuła meczetu. Przecież jesteśmy nad miastem tysiąca meczetów.

Kołami schodzimy w dół. Ulice kairskie przybierają w stosunku do nas przeróżne położenia, w końcu wsuwamy się w chmurę wodną.

Jesteśmy na miejscu. Kair.

Kair — drugi po Takoradi punkt węzłowy mojej wędrówki. Zostawiam tutaj część mego bagażu i tutaj mam dostać wytyczne dalszej trasy. Jakaż ona będzie, skoro Grecja i Jugosławia nie istnieją już dla naszej drogi dyplomatycznej? Jak w ogóle *tu* będzie, gdyż Rommel stoi niedaleko, zaledwie czterysta kilometrów na zachód, pod Capuzzo?

Różnie być może; jedno wiem na pewno. Skończyły się beztroskie wczasy na Oceanie i w Afryce. Wodując w Kairze włączam się znów w wojnę.

Jest pierwszy maj. Ostatnie oddziały wojsk brytyjskich, jakie uciec zdołały z greckiego pogromu, lądują właśnie w Aleksandrii. Dziś wieczór będą już w Kairze. O tym rozmawiają urzędnicy przeglądający na komorze celnej nasze papiery. A więc znów jestem w wojnie.

WIATR OD PUSTYNI

W Kairze jest bardzo gorąco. Rozpoczyna się lato i od pustyni wieją duszne wiatry. W tym roku jednak wiatr zachodni nie tylko przywiewa upały, nie tylko zwiastuje czas letni. Gdy wieczorna cisza spłynie na miasto, wszyscy jego mieszkańcy nasłuchują czy wiatr nie przyniesie czasem odległego łoskotu armat, czy nie zatętnią w nim pogłosy dalekiej bitwy. Wsłuchują się zarówno Egipcjanie jak Europejczycy. Jedni z nadzieją, — drudzy z niepokojem. Jedni z radością, — drudzy ze strachem.

Teraz, w pierwszych dniach maja, sytuacja została opanowana. Tobruk broni się już prawie trzy tygodnie, będąc otoczony z trzech stron. Od morza tylko otrzymuje posiłki i zaopatrzenie. Tempo pochodu Rommle znacznie osłabło. Wprawdzie jeszcze dwudziestego ósmego kwietnia Niemcy opanowali Sollum, ale też przez parę ostatnich dni nie posunęli się ni kroku naprzód. Poselstwa dyplomatyczne powoli zaczynają rozpakowywać swoje walizy, uprzednio przygotowane na ewentualność błyskawicznej ewakuacji w głąb Egiptu. Trzy tygodnie temu sytuacja była groźna. Rommel błyskawicznym uderzeniem wyrzucił wojska brytyjskie z Benghazi i parł przed siebie z nieoczekiwaną prędkością. Pierwszy opór spotkał dopiero pod Tobrukiem, i to dlatego — jak zwierza się publiczna plotka, — iż uciekającym na łeb na szyję Nowozelandczykom zabrakło w autach benzyny.

Wtedy — radzi nie radzi — musieli zacząć się bronić i — jak widać — zrobili to dosyć zgrabnie.

Trzy tygodnie temu w apartamentach poselstw i legacji wiązano toboły — a na ulicach tego miasta na ogół nieruchawi tubylcy prawie krzyczeli i prawie tańczyli z radości. Z godziny na godzinę oczekiwali oni zupełnego załamania się brytyjskiego frontu, i w konsekwencji triumfalnego wjazdu Niemców do zdobytego Kairu.

Komentarze Europejczyków wobec faktu tej zbiorowej radości — były zwięzłe. Egipcjan, sklasyfikowano jako oszustów i złodziei, którzy wszyscy są przekupieni przez Niemców, począwszy od hotelowych „lift-boyów” a skończywszy na ministrach czy nawet samym królu. Egipcjanie się cieszą, gdyż wydaje im się, iż Niemców potrafią lepiej oszukiwać niż Brytyjczyków, już zbyt dobrze zorientowanych w gospodarce i finansach tego kraju.

Egipt w istocie zachowaniem swym nie budził sympatii u tych wszystkich, których narody cierpiały pod niemieckim jarzmem lub zmagaly się z niemieckim wojakiem. Drugi raz już, w ciągu niecałego roku, wojna wtacza się przez granice egipskie — a Egipt nic. Zimny jak skała. Nawet noty żadnej nie wystosował, protestującej przeciw pogwałceniu granic. Najdalsze ustępstwo jakie zrobił dla swego brytyjskiego patrona, i dla konwenansów obowiązujących w polityce międzynarodowej — to zerwał stosunki dyplomatyczne z Niemcami i Italią. Nie zerwał ich natomiast z „Vichy”. Powodowało to dość zabawna sytuację, iż w jednej stolicy urzędowały nieopodal siebie dwa biura: konsulat „Vichy” i komitet „Wolnych Francuzów”. Z jednymi był w dobrej komitywie dwór króla, z drugimi — dwór ambasadora brytyjskiego. Egipt nie zerwał również stosunków z Węgrami, Rumunią, i Bułgarią. Podejrzewam, iż słaba reakcja Anglików na

tego rodzaju samodzielne postępowanie — była wywołana tym, iż poszczególni dyplomaci państw bałkańskich albo dość nieprzychylnym okiem zerkali na stosunki panujące obecnie w ich własnej ojczyźnie i radzi byli popsuć nieco krwi własnym rządóm, albo też przychylnym okiem i chętną ręką witali angielskie funty, za które odwdzięczali się drobnymi usługami.

Egipt bardzo wyraźnie deklarował swą sympatię polityczną. Nie wypowiedział wojny „Osi“, i radował się całą duszą, gdy wydawać się mogło, iż lada dzień niemiecki „lew pustyni“ wjedzie na swych czołgach w ulice Kairu. Między Niemcami a Egiptem istniał jakiś — może mimowolny, przypadkowy — „gentlemen agreement“. Kair, Aleksandria, ani żadne miasto egipskie nie były jeszcze bombardowane przez niemieckie lotnictwo. W samym Kairze, i w całym Egipcie, nie obowiązywało kompletne zaciemnienie, jakby władze municypalne pewne były nietykalności miast. Ostre bitwy lądowe, morskie i powietrzne toczyły się w nie tak wielkich odległościach od stolicy, a w mieście zlikwidowano tylko neony, świetlne reklamy i zagaszono pewną część ulicznych latarni. Niezaciemnione okna mieszkań i biur nadal świeciły spokojnie. Kina wyświetlały filmy pod gołym niebem, tramwaje kursowały z pełnym światłem. Tak wyglądało miasto, do którego zbliżał się front.

Oficerowie egipscy nosili się tak, jakby wojna toczyła się na innej planecie. Nienagannie skrojone białe garnitury galowe przyozdobione rękawiczkami i cesarsko austriackim kepi — rażąco odcinały od polowych, nierzadko pokrytych jeszcze gęstym kurzem pustyni, mundurów oficerów brytyjskich. Gdyby nie te mundury, nie samochody pancerne i transportowe nieustannie przelewające się przez miasto, prując spieszenie ze wschodu na zachód i z powrotem — trudno byłoby się domyślić,

że mamy akurat początek maja 1941 roku i znajdujemy się w bagatelnej na możliwości dzisiejszej wojny odległości 650 kilometrów od frontu. Od pokojowego nastroju odróżniały się tylko mosty łączące ponad Nilem części miasta. Stały przy nich na wszelki wypadek — koszty oplecione drutem kolczastym; nieustanną wartość trzymały patrole egipskich żołnierzy, zaopatrzonych w karabiny brytyjskie i opadające z czapek chustki, mające osłaniać kark od promieni słonecznych. Była to jedyna forma wojskowego pogotowia armii egipskiej, jaką zauważyłem w Kairze.

Nic dziwnego, iż podobna postawa nie mogła budzić sympatii Polaków, Francuzów (od de Gaulla), Jugosłowian, Greków, Holendrów, Belgów i wszelkiego rodzaju i gatunku Brytyjczyków, jacy wtedy bawili w Kairze. Przedstawiciele bałkańskich czy zachodnio-europejskich małych narodów denerwowali się niesłychanie na gospodarzy — zapominając, iż sami, tak długo jak tylko to było możliwe, uprawiali politykę kunktatorstwa i bardzo dbali o zachowanie swej neutralności.

Rzecz jasna, iż argumenty natury finansowej musiały odgrywać znaczną rolę w nastawieniu Egipcjan. Naród ten odznacza się dużym talentem do łatwego robienia pieniędzy i posiada dość grubą skórę na sumieniu, by bez nadmiernych skrupułów nabijać w butelkę „nie-wiernych“, a wiernych prawdopodobnie takież. Europejczyk stawiający swe pierwsze kroki w tym kraju — nieustannie musi uważać, by nie zostać oszukanym. Szoferzy źle wydają reszty, kelnerzy przekręcają rachunki, — nie mówiąc już o sprawach znaczniejszych. Drobne kanty są niesłychanie ułatwione, gdyż współczesne cyfry arabskie, znaczące monety egipskie nie mają nic absolutnie wspólnego z cyframi, które świat cywilizowany przywykł nazywać „arabskimi“. Rysunki ich są nie-

słychanie zbliżone do rysunków liter hebrajskich. Bilon, choć wielowartościowy, niewiele różni się wyglądem. Powoduje to dużą dezorientację u człowieka, mającego z tym pieniądzem do czynienia po raz pierwszy. Przebiegli kupcy egipscy pewnie nie bez kozery liczyli na naiwność żołnierzy niemieckich, obiecując sobie robić niezłe interesy.

Ponadto istniały w Egipcie silne partie skrajnych nacjonalistów, którzy (jak wszyscy nacjonaści w tym czasie) niejedną porcję swego natchnienia politycznego zawdzięczali Berlinowi. Agenci niemieccy, — musiało ich być w Egipcie pełno, — choćby pod postaciami Wichowców, Węgrów, Rumunów czy Bułgarów — hojnie szafowali obietnicami o całkowitej niepodległości Egiptu. Fanatycznym nacjonalistom wydawało się, iż właśnie przy boku Trzeciej Rzeszy — tej Rzeszy, która w parę tygodni potem miała udzielić azylu Wielkiemu Muftiemu — potrafią się stać państwem suwerennym. Obcą była im myśl, że w najlepszym wypadku zamienią tylko jarzma. I to dostaną jarzmo cięższe miast lżejszego.

Dla Polaków, którzy — zdrowym instynktem samozachowawczym narodu powodowani — na sprawy świata tego patrzyli wyłącznie przez pryzmat toczącej się wojny, radość Egipcjan z porażek brytyjskich jest czymś potwornym. Oficerowie polscy, licznie przebywający w Kairze, odzywają się o Egipcjanach z najwyższą pogardą.

Tymczasem historia wcale nie jest taka prosta. Egipcjanin radujący się na ulicy kairskiej z batów odbieranych przez Anglików — nie tyle błogosławi przyjscie nowych, innych garnizonów, ile demonstruje swą żywiołową radość z faktu, iż znienawidzeni przez niego Anglicy muszą się wreszcie przed kimś cofać, od kogoś być

slabszymi, że i ich ktoś gnębi. Egipcjanin nie myśli wtedy ani o Warszawie, ani o Belgradzie, nawet nie myśli może i o Berlinie. Dla niego ważne są tylko sprawy leżące na osi Londyn — Kair. Oś ta w tej chwili przechodzi przez Tobruk i przez Solum. I to jest dla niego najważniejsze.

Stanowisko Egiptu w drugiej wojnie światowej — choć wtedy, gdy tam bawiłem, nie była ona jeszcze światową — wynikało z naśladowania godną konsekwencją z całej, przeszło wiekowej historii tego narodu, który, po raz drugi w swych dziejach, do niepodległego bytu powołany został przez Mohammed - Alego. Mohammed - Ali, choć formalnie pozostał wasalem sułtana tureckiego, faktycznie oderwał w r. 1840 Egipt od cesarstwa ottomańskiego i jeżeli nie uczynił swej ojczyzny podmiotem międzynarodowej gry politycznej, to w każdym razie zdobył mu pozycję samodzielnego przedmiotu. Usamodzielniony od Wielkiej Porty Egipt wypłynął na wielkie wody polityki światowej. Być może, iż w końcu wyszedłby na tym nienajgorzej, gdyby nie wspaniały pomysł Ferdynanda Lessepsa. Pomysł ten, — dla Egiptu właściwie pechowy, — po dziś dzień jest zasadniczą przyczyną stojącą na przeszkodzie zrealizowaniu pełnej suwerenności Egiptu. Sprawa Egiptu byłaby znacznie prostszą, gdyby radykalni nacjonałści egipscy, miast urządzić od czasu do czasu bezpłodne rozruchy, wzięli się do zasypania Suez. Wyczyn tego rodzaju jest jednak niemożliwy. Wobec tego Egipcjanom nic innego nie pozostaje, jak przewlekle pertraktować z Wielką Brytanią i w mozolnym trudzie politycznych rokowań, zdobywać sobie coraz to nowe fragmenty pełnej niezawisłości. Zasadniczo Egipt jest niepodległym państwem. Tak dalece niepodległym, iż może prowadzić właściwie inną, nawet sprzeczną politykę zagraniczną,

niż Wielka Brytania. Z drugiej strony — jest on brytyjską bazą wojskową. Egipt nie jest złączony z Imperium Brytyjskim unią personalną, nie ma wspólnego rządu. Funt egipski stoi wyżej niż funt angielski. A jednak wiadomo, iż decydujący głos we wszystkich sprawach, głos dyskretny i przyznać trzeba nie nadużywany, należy do brytyjskiego ambasadora. Przez cały dziewięciodniowy pobyt w Kairze miałem wrażenie, iż cofnąłem się o wiele lat wstecz i jestem w Polsce króla Stasia. Sytuacja była zupełnie podobna. Państwo samodzielne, samodzielny rząd, niezależny król — a jednak — jednak w Warszawie urzędował Repnin, tak jak tu urzęduje jakiś Anglik. Oczywiście, gdy używa się takiego właśnie porównania — należy zaraz zastrzec wszelkie różnice w metodach, jakimi posługiwał się Repnin, a jakimi pracuje jego brytyjski kolega. Choć i tutaj znajdziemy podobieństwa. Repnin wywoził posłów na Sybir kibitkami, a lord Allenby w grudniu 1921 roku nie wahał się zaaresztować i deportować poza granice kraju — przewodcę niepodległościowych kół egipskich i najlepszego polityka, największego po Muhammedzie Alim egipskiego męża stanu — Zaghlul. Awantura ta miała jednak inny nieco koniec. W Polsce nastąpiły rozbiory — w Egipcie 22 lutego 1922 roku nastąpiła deklaracja rządu brytyjskiego, która uznała Egipt za państwo niepodległe i suwerenne, z czterema zastrzeżeniami, które pozostały w decyzji Anglii: bezpieczeństwo linii komunikacyjnych Imperium (Suez), obrona Egiptu przeciw obcej agresji (idem!), opieka nad interesami cudzoziemskimi w Egipcie, i Sudan, jako formalnie kondominium, faktycznie kolonia brytyjska.

Polska wieku osiemnastego staczała się w niewolę — Egipt wieku dwudziestego wznosi się ku coraz większej suwerenności. Obu krajom położenie geograficzne utrudnia ich losy.

Niepodległość i patriotyzm tylko u wieszczów i poetów muszą łączyć się z uczciwością i rzetelnością. W praktyce jest często inaczej. Egipcjanin doskonale łączy szelmowskie wyrachowanie monetarne z wyrachowaniem patriotycznym. Tańcząc po ulicach w dniu, kiedy Rommel wkraczał do Benghazi, nie tylko rachował możliwości nabicia swej kabzy, ale dawał upust swej żywiołowej nadziei na inną, wydawało mu się, pełniejszą niepodległość.

To trzeba rozumieć.

Inna kwestia, czy nadzieja taka w wypadku zwycięstwa Niemiec miała szanse urzeczywistnienia się? Czy waleczny Rommel nie grał tu roli przysłowiowego ojca nadziei dla naiwnych i głupich Egipcjan?

Chwilowo nikt jednak w Kairze tak nie myśli. Mężowie egipscy dnie całe kiwający się nad narghilem w kawiarniach, potrząsaniem doniczkowatych fezów wyrażają swe zaniepokojenie z zatrzymania się niemieckiego „blitzu“ pustynnego.

ROZCZAROWANIA KAIRSKIE

Poselstwo polskie mieści się w willi w dzielnicy pałacików, znajdującej się na wysepce Nilu. Z portu dojechałem tam taksówką, której szofer, korzystając z nieznajomości egipskiego bilonu — wydając resztę — nabił mnie niemilosierdzie w butelkę.

W Poselstwie powitany zostałem bardzo uprzejmie. Dyżurny woźny — wobec braku innych urzędników, godzina była popołudniowa — przyjął na przechowanie dyplomatyczne pakunki. Mnie zaś skierowano do hotelu o dźwięcznej nazwie „Exmorandi“, zajmowanego w znacznej części przez Polaków, a znajdującego się przy centralnej ulicy kairskiego city — alei króla Fuada I. Historia nazwy tego hotelu była bardzo charakterystyczną dla tamtejszych stosunków. Do niedawna hotel nazywał się „Morandi“. Ta piękna włoska nazwa łączyła się z włoskimi właścicielami tego przybytku. Z chwilą gdy Egipt zerwał oficjalne stosunki dyplomatyczne z Włochami — właściciel chcąc uniknąć może nie tyle przykrości ze strony administracji egipskiej, co ewentualnego bojkotu ze strony anglosaskich, polskich lub „sprzymierzonych“ gości — czym prędzej dorzucił do nazwy przedsiębiorstwa literki „Ex“. Radykalnie odżegnawszy się od swej niesławnej przeszłości — znakomicie prosperował dalej.

W takim właśnie przybytku — wylądowałem na dzień i noc mego pobytu. Dostałem porządną pokój na trzecim piętrze, z okien którego mogłem nie tylko oglądać

stanną ulicę milionowego miasta, ale przez lornetkę — również film wyświetlany po drugiej stronie alei, w kinie pod gołym niebem. Była to potenejalna, choć nie wykorzystana przyjemność.

Zalokowałem moje lary i penaty — i czym prędzej pognąłem na miasto w sprawie niecierpiącej zwłoki. Wszystkiego miałem przy duszy półtora funta egipskiego, jakie udało mi się kupić jeszcze w Takoradi. Musiałem koniecznie wymienić moje angielskie, pięciofuntowe banknoty.

Pierwsze i zupełnie nieoczekiwane wrażenie, jakim zaskoczyło mnie miasto — to stwierdzenie, iż znajduję się w mieście starych ludzi. Specjalnie starych mężczyzn. Wszystkie mijane twarze męskie — mężczyźni Egipcjan, których od Arabów łatwo odróżnić jaśniejszą cerą i europejskim ubraniem ozdobionym czerwonym fezem — wszystkie ich twarze oceniałem na lat minimum czterdzieści parę. Przy stolikach niezliczonych kawiarni, ustawionych paryskim zwyczajem na chodnikach, siedzieli ciągnąc nargil tylko starsi panowie o twarzach zniszczonych życiem, pomarszczonych, lub nadmiernie nalanych. Nigdzie nie mogłem dostrzec młodych ludzi, nigdzie nie widziałem tak zwanej „młodzieży“. Ulice pełne były dzieciaków uprawiających proceder żebrania w różnych odmianach, lub starszych, zażywnych panów. Bezskutecznie dopatrywałem się wieku pośredniego. Pośrednie były tylko kobiety.

Prędko wyjaśniono mi tajemnicę tego zjawiska. Rychłe starzenie się jest cechą fizyczną narodu egipskiego. Mężczyźni dwudziestoparoletni wyglądają o dwadzieścia lat starzej, a gdy dochodzą do lat pięćdziesięciu — stoją już przeważnie nad grobem. Egipcjanie żyją krótko i przez całe swe życie wyglądają za staro. Typowym i klasycznym przykładem może być obecny król Faruk, który mając lat dwadzieścia cztery — jest wielkim, oty-

łym mężczyzną; z fotografii policzyć by mu należało najmniej lat czterdzieści. Równie prędko starzeją się kobiety, które — podobnie jak murzynki — swą kobiecą krasę zachowują tylko do pierwszego porodu.

O tym wszystkim dowiedziałem się jednak później — chwilowo inna osobliwość ulicy zwróciła moją uwagę. Jawna czarna giełda. Widywałem już takie instytucje w Warszawie na placu Napoleona, widywałem na ulicach Budapesztu, Paryża — wszędzie jednak handlarze walutami zachowywali pewne konwencjonalne decorum. Symulowali przechodniów. Swój towar zachwalali lekkim szeptem, lub dyskretnym ruchem ukazywali go na otwartej dłoni. Tworzyli pewną paralełę do dziewcząt ulicznych. Dwa te gatunki odznaczają się podobnym sposobem wykonywania swego fachu.

Na ulicy Fuada w Kairze — rzecz wygląda zgoła inaczej. We wnętrzu każdej bramy znajduje się niewielka lada, pod której szkłem wyłożone są banknoty wszystkich możliwych państw kuli ziemskiej a za którą urzęduje stary (tu wszyscy starzy!) Arab, Egipcjanin lub Żyd.

Ja jednak szukałem banku. Znalazłem na koniec. Położyłem przed kasjerem dwa pięciofuntowe bilety i zażądałem zmiany. Gdzie indziej podobne operacje odbywają się bez słów — tu jednak kasjer łypnął na mnie podejrzliwie okiem i warknął po francusku: „Skąd pan ma te banknoty?“. Obruszyłem się. Jakto skąd? Pokazałem mój paszport dyplomatyczny. Zwróciłem mu uwagę, że jako dyplomata miałem możność zabrania z Anglii legalnie każdej sumy pieniędzy, nie ograniczając się do regulaminowych 5 funtów. Nie rozproszyło to wątpliwości mego kasjera, który oglądał mnie ciągle takim wzrokiem, jakby chciał zaraz wołać policję. Na koniec odmówił wymiany i zrobił jeszcze uwagę, iż czyni mi wielką łaskę nie rekwirując banknotów.

Historia speszyla mnie niebywale. Następnego dnia powędrowałem do naszego chargé d'affaires, posła Załuńskiego z prośbą o radę. Rada była bardzo prosta. Należało iść na ulicę Fuada, wejść do pierwszej z brzegu bramy i sprzedać czarnogieldziarzowi banknoty. Banki nie chcą wymieniać, gdyż w tej chwili w obiegu znajduje się wielka ilość fałszywych pięcio- i dziesięciofunówek. Wszelkie wymiany załatwia mniej lękliwa czarna giełda, będąca tutaj instytucją usankcjonowaną przez obyczaje. Nikt jej nie prześladowa. Swoją zyskowną procedurę uprawia całkiem jawnie. A banki — jak widać — swą pieniężną polityką doskonale pomagają jej w prosperowaniu.

Jak radzono — tak zrobiłem. Poszedłem do ulicznego kantorku. Barczysty i brodaty giełdziarz zaprowadził mnie do małego pokoiku, znajdującego się w podwórzu. Tu gotóweczka przeszła z rąk do rąk. Z krótkiej rozmowy handlarz dowiedział się, że jestem Polakiem i usłyszałem propozycję, która dała mi wówczas wiele do myślenia. Zapytał mianowicie, czy nie mam do sprzedania banknotów Banku Polskiego (tych z 1939 roku), a jeżeli tak, czy nie chcę ich odsprzedać za dziesiątą część przedwojennej wartości, płatną w egipskich piastach.

Narodowość — narodowością, patriotyzm — patriotyzmem, można się cieszyć z klęsk Anglików i niemieckich zwycięstw, ale równocześnie business is business, szczególnie w Kairze, i waluciarz egipski wiedząc, iż w ostatecznym rachunku Niemcy wojnę przegrają — wierzy też, iż jeszcze Bilety Banku Polskiego odzyskają swą wartość na rynkach świata.

Dla takiego jednego stwierdzenia, warto być w banku posądzonym o kradzież lub podrabianie funtów.

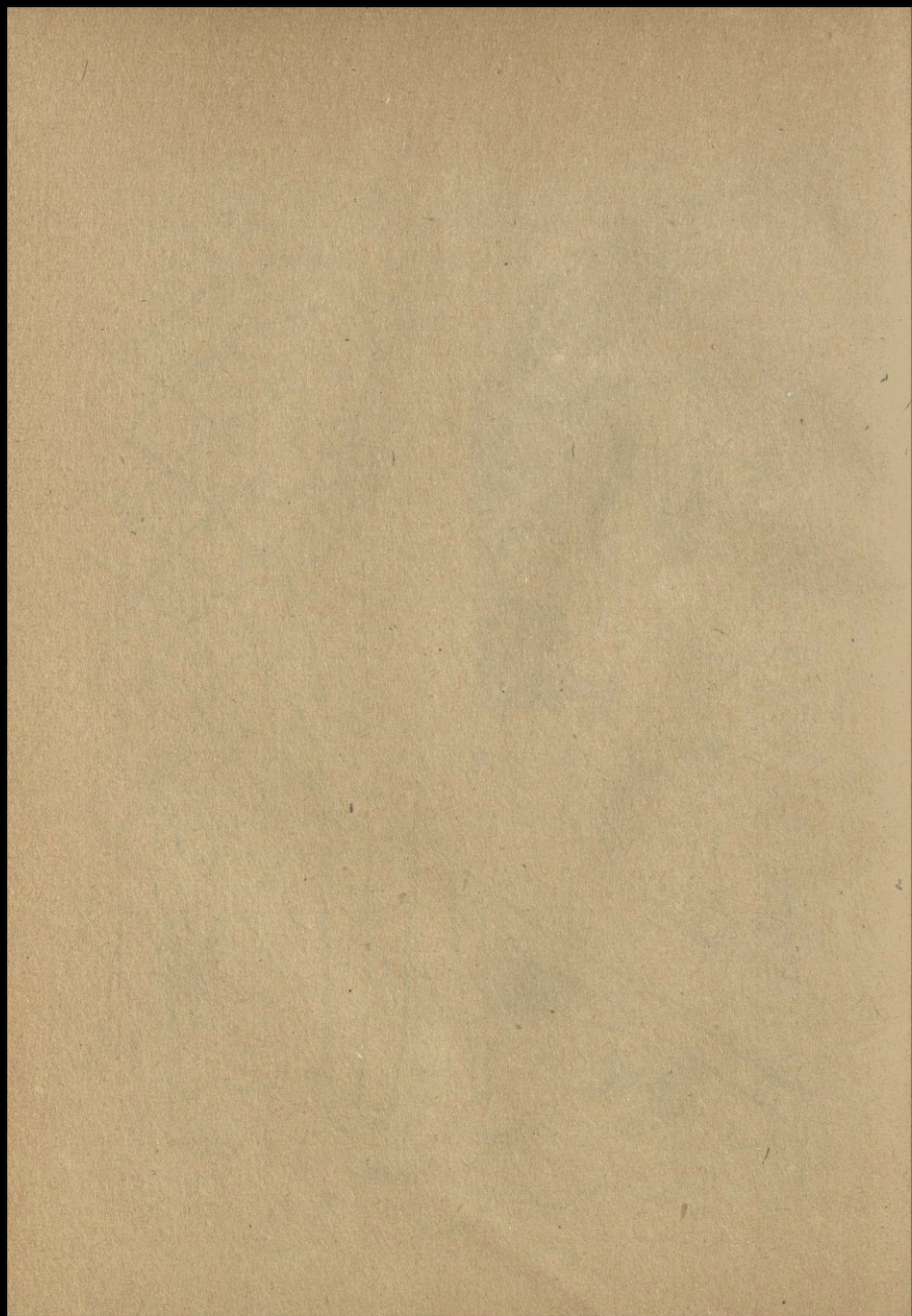
Czarno-gieldziarstwo, będąc tu usankcjonowanym handlem narodowym, jest niewątpliwie formą łatwego

zdobywania gotówki. Pogoń za łatwym, leniwym zarobkiem cechuje całą ulicę kairską. Dzieci żebrzą lub domagają się prawa czyszczenia butów. Stare żebraki — sprzedają bony na loterie państwowe, cieszące się niezwykłym powodzeniem. Jedno i drugie jest dyskretną formą zebrania. Dzieciaki zaopatrzone w szczotkę do czyszczenia i pastę do obuwia, uganiają się stadami po ulicach, atakując nogi przechodniów, wskakując im na stopy, łapiąc za nogawki. Banda cała obskakuje europejskiego delikwenta, tłucze go szczotkami po kostkach, po butach świeżo wypucowanych na ostatniej ulicy. Zabawa trwa parę minut. Jest ona próbą cierpliwości: kto — kogo. — Kończy się, gdy albo zmordowany atakiem przechodzień rozrzuca garść piastrow, lub też chłopaki znudzone jedną ofiarą przerzucają się raptem na następną. Za chwilę zabawa zaczyna się od nowa — nadbiega inna gromadka... O ile czyści-buty żerują na Europejczykach — o tyle sprzedawcy bonów loteryjnych cieszą się specjalną frekwencją wśród gości egipskich kawiarni. Loteria jest to widocznie sport narodowy. Przyznać muszę, iż fizycznie mniej męczący niż golf lub ...powstania.

Chodząc po Kairze próbuję w nim szukać tego Kairu i tego Wschodu, jaki znam z Warszawskiej Zachęty, z obrazów Adama Styki. Obrazów tak roześmianych arabską radością życia, tak jasnych niepokalanym słońcem. Niestety czym dłużej kołuję po mieście — tym bardziej ulatuje z mej wyobraźni piękna, wyidealizowana kraina Styki, na jej miejsce zsuwa się obraz kraju brudnego, ubogiego, gdzie słońce jaskrawo uwidacznia brud i nędzę, w innych miastach zakryte przeważnie retuszem cienia. Tu brak retuszu. Bezlitosne promienie dochodzą w każdy zakamarek demaskując szpetotę życia.

Są trzy Kairy. Trzy miasta, aczkolwiek splecione ze





sobą, założone nawzajem jak gdyby na wciosa, dające się jednak odróżnić, zdecydowanie inne.

Jeden Kair — to miasto europejskie. Dzielnica willowa położona pośród bogatych ogrodów, pięknych palmowych alei, wytwornych gazonów, poprzerzynana szerokimi, asfaltowanymi bulwarami. O czystość dzielnicy dbają rozliczni dozorczy i służący — na ogół rekrutujący się z czarnych mieszkańców odległego Sudanu. Dzielnica zbudowana podług pomysłów najnowocześniejszych architektów. Czasami za nowoczesnych, za ekstrawaganckich — jak na gusta konwencjonalnych Europejczyków. Przez srebrzące się asfaltami aleje — suną po cichu wielkie limuzyny, lub sportowe samochody — i zagubiony w tym przepychu przechodzień ma chwilami wrażenie jakby znalazł się wśród makiet filmowych wielkiego hollywoodskiego atelier.

Złudzenie rychło pryska — gdy bulwary dzielnicy europejskiej stopniowo przechodzą w ciasno zabudowane ulice śródmieścia.

Śródmieście milionowego miasta Kairu — ma wszelkie wady tego typu dzielnic wielkich miast. Niezbyt szerokie ulice, gęsto zabudowane kamienicami przeróżnej wielkości. Tymi tunelami przewalają się z wielkomiejskim i europejskim łoskotem tramwaje — najzwyczajsze jeśli chodzi o wygląd i specjalnie uprzywilejowane jeśli chodzi o robactwo, darmo dodawane do cen biletów, — samochody, dorożki, wreszcie — i tu zaczyna się Wschód — osły dźwigające na swych niewysokich karkach brudnych Arabów, powłóczących piętami po jezdni.

O ile na jezdniach jedynie osły reprezentują cywilizację Wschodu — o tyle na chodnikach sytuacja jest bardziej urozmaicona. Tłum europejski jest wielki; w tej chwili składa się on z przedstawicieli co najmniej kilkunastu narodów, w czym specjalnie dużo wszelkiego . . .

dzaju mundurów i naszywek oznaczających narodowość żołnierza ubranego w brytyjski battel-dress. Prócz żołnierzy widać masę marynarzy, wielu amerykańskich. Wszystko to goni przed siebie, opluwa się w najprzeróżniejszych językach i ma nieustanną pretensję by uważać chodnik za swój prywatny deptak, na którym co najwyżej tolerować można przechodniów i to nie innej, niżli biała, rasy. Każdy biały rozpycha się w tłumie za czterech czarnych lub dwóch przyciemnionych. Europejczycy są jednolici w kolorze, choć różnorodni w obywatelstwach. Przeciwnie reprezentanci „Wschodu“. Ci na ogół (poza marynarzami, którzy często—gęsto prezentują twarze mieszkańców Siamu, Jawy, Chin i innych krain egzotycznej Azji) są obywatelami egipskimi o nadar wielkiej skali kolorów skóry. Murzyńsko-czarni Arabi drepczą brzegiem chodnika ubrani w swe brudne, ongiś białe, chałaty; głowy mają okręcone burnusami. Wyglądają nędznie i niesamowicie kontrastują na tle europejskich samochodów, wytwornych sklepów, porządnie na ogół ubranego tłumu. Kobiety ich otulone szczelnie w ciemne szale i suknie do kostek, przysłaniają twarz starannie czarczafem, połączonym z chustką nakrywającą głowę i czoło, idącym przez nos mostkiem zrobionym ze złotych lub złotych pręcików. Są to wieśniacy, podmiejski proletariat; przyjeżdża do Kairu, by swą nędzną domową kasę zasilić paru piastrami. Proletariat miejski ma już nieco bielszą skórę i wyróżnia się głównie tym, iż na głowie nosi już nie zawijas z białej szmaty, lecz czerwony, turban. Trzecią odmianę reprezentuje kairskie mieszczaństwo i inteligencja wszelkich szczebli kultury i zamożności. Znów mają o jeden stopień bielszą skórę, noszą europejskie ubrania i (tylko mężczyźni) — fezy. Kobiety ubrane i wymalowane są zupełnie po francu-

sku; gdyby nie cera, żaden szczegół ich stroju nie zdradziłby Wschodu.

W tłumie pedestrianów — który gada przeważnie językiem francuskim, obowiązującym kulturalnego Egipcjanina, — płaczą się pucobuty, handlarze losów loteryjnych, gazeciarze reklamujący dzienniki wydawane po francusku, na koniec sprzedawcy pornograficznych pism francuskich, noszących jeszcze przedwojenne daty. Starość edycji nie stanowi żadnej przeszkody dla kupujących.

Do normalnego obrazu śródmiejskiego tłumu, urozmaiconego egzotycznymi postaciami tuziemców, dodać należy jeszcze monstrualny kurz, jaki mimo asfaltowych jezdni i samochodów-hydrantów oblepia śródmieście. Piękność i czystość willowych przedmieść nie istnieje już tutaj. Tutaj miasto jest brudne i banalne, tłum jest brudny i krzykliwy. A wojnę — wojnę, która toczy się już znowu na egipskiej ziemi — poznać można tylko po wojskowych samochodach, po mundurach wszelakiego rodzaju, po nagłówkach dzienników i po jednym drobnym szczególe. Po tym, iż w Kairze łatwiej teraz nabyć przedmioty, papierosy i pisma, — amerykańskie, made in USA, niż angielskie, made in Great Britain. Nie jest to tak bardzo dziwne, jeżeli weźmie się pod uwagę, iż porty egipskie położone na Morzu Czerwonym są przez Kongres Amerykański uznane za „nie będące w strefie wojennej“ i wobec tego neutralne okręty amerykańskie przybijają do nich, podobnie jak w Takoradi, przywołując samoloty, uzbrojenie, no i rzeczy do publicznego handlu.

Całe kairskie śródmieście — to kiepska mieszanina Wschodu z Zachodem. Tu na pewno nic nie przypomina obrazów Styki.

Szukam Styki w Starym Kairze. Jednego popołudnia

— ustaliliśmy uprzednio trasę według jakiegoś Beadeke-
ra — kazałem się wieźć do Cytadeli, skąd wrócę do cen-
trum właśnie przez Stare Miasto.

Cytadela — położona na wzgórzu — wygląda bardzo
potężnie. Szkoda tylko, że nie można jej zwiedzić w środ-
ku, lecz od początku wojny rezydują tu brytyjscy żoł-
nierze. Obcym wstęp wzbroniony. Zwracam tedy kroki
do meczetu Alego; znać na nim ślady potężnych pocis-
ków armat Napoleona. Patrząc na te dziury zwietrzałe już
przez tyle dziesiątków lat i zastanawiam się, czy Rom-
mel będzie miał podobną okazję, by na tym czy innym
meczecie zostawić swoje ślady.

Widok Kairu z połowy wzgórza, na którym stoi Cy-
tadela, a zza którego Napoleon bombardował miasto —
jest rzeczywiście imponujący. Nad miasto wystrzeliwu-
je niezliczona ilość minaretowych wieżyczek, wszelkiego
rodzaju. Od wysokich i smukłych, do pękatych i przy-
sadzistych. Nie darmo Kair — podobnie jak u nas Kra-
ków — nosi określenie „miasta stu meczetów“.

Jakiś przewodnik przyplątał się i ofiaruje usługi
w wędrówce przez meczety. Za funta poprowadzi przez
Stare Miasto. Idziemy.

Meczety — trzeba od razu stwierdzić — są wyjątko-
wo nieciekawe. Całe ich piękno — i to nie wszystkich —
jest zawarte w tym, co można dojrzeć z zewnątrz. W ar-
chitekturze kopuł i minaretu. Wnętrze jest proste i zwy-
kłe. Gołe ściany. Tylko w kierunku Mekki znajduje się
niewielki kawałek ściany, specjalnie przystrojony, wy-
łożony kamieniami, mozajką, drogimi, kosztownymi mar-
murami. Rodzaj swego ołtarza. W jego stronę zwróce-
ni, klęcząc na swych dywanikach, wierni tłuką głową
o kamienną podłogę. Prócz tych miejsc — meczety są zu-
pełnie puste. Żadnych rzeźb, żadnych fresków, żadnych
obrazów. Są jeszcze bardziej surowe, niż protestanckie

świątynie. Katolikom, których kościoły aż uginają się w stropach od przywieszanego materialnego i artystycznego bogactwa — trudno jest mieć serce dla takiej surowej świątyni. Gdy u nas każdy kościół jest inny — tutaj wewnątrz wszystkich meczetów wyglądają prawie identycznie. Może tylko jedne brzydsze, jedne surowsze, od drugich.

Stare Miasto nie jest piękne. Wąziutkie — szerokości trzech, czterech metrów uliczki — wiją się między niewysokimi, jednopiętrowymi domkami, raczej murowanymi szalasami. Uliczki pełne są niesamowitego pyłu i kurzu, gdyż co parę kroków „rozkładają się” — stosownie do przepisów koranu — ruiny starych, stojących tu od wieków domów. Wśród ruin, w kurzu, żyją dziesiątki tysięcy miejskich pariasów. Kurz wdziera się do domów mieszkalnych, osiada na podłogach i ścianach, staje się częścią składową tak ubrań jak posiłków. Pełno jest go w powietrzu. Mieszkańcy starego Kairu żyją tym kurzem. Oddychają nim, jedzą go. Dzieci w nim się bawią, lepiąc zeń i z oślego łajna domki piaskowe. Dorośli handlują w pyłe wszelką starzyzną. Nic dziwnego, iż wychowani w takich warunkach — jeżeli warunkami można je nazwać w ogóle — higienicznych, Egipcjanie nie są w stanie dożyć lat długich, a starość następuje tu niemal zaraz po młodości.

Na domiar złego tłok i ciasnota — dopełniają niewesołego obrazu Starego Kairu. Drepczę za przewodnikiem, przepycham się między handlarzami i dzieciakami, rozglądam się dokoła — i znów z rozpaczą konstatuje, że to nie tu, napewno nie tu, Styka szukał natchnienia do swych uroczych obrazów.

Na pograniczu Starego Kairu i śródmieścia, nieopodal bazarów — znajduje się słynny muzułmański uniwersytet teologiczny El-Azhar, założony w roku 970

przez kalifa z dynastii Fatymidów. Książka, jaką czytałem tegoż ranka, wyjaśnia mi, iż do tej uczelni cały świat mahometański wysyła studentów na naukę. Są tutaj chłopcy z całej Afryki, z Arabii, z Syrii, Libanu, Iranu i Iraku, z Indii, a nawet z Chin. El-Azhar odegrał znaczną rolę w budzeniu się egipskiej świadomości narodowej. Jego nauczyciele i wychowankowie prowadzili żywą propagandę antybrytyjską. Wobec znacznego wpływu, jaki ten ośrodek uniwersytecki wywiera na politykę Egiptu i na losy kraju — przysłówie arabskie mówi: „jeżeli szef państwa jest człowiekiem silnym — on panuje nad El-Azharem, jeżeli jednak jest on człowiekiem słabym — El-Azhar panuje nad nim“. Dziś El-Azhar liczy bez mała tysiąc studentów i dzięki nowoczesnemu światopoglądowi naukowemu swego ostatniego rektora — zatracił on cechy uczelni wyłącznie scholastyczno-teologicznej. Studenci nie tylko kuja na pamięć wersety Koranu i komentarze do nich, ale uczą się języka angielskiego, matematyki, geografii, historii.

Wejścia do uczelni nikt nie broni. Uczelnia jest wielkim meczetem o tej samej nazwie. Sale meczetu pokryte są czerwonymi dywanami. Na dziedzińcu, i na tych dywanach, siedzą i wolno spacerują młodzi chłopcy, ubrani w długie białe suknie. Chłopcy ci są bardzo młodzi: niektórzy mogą mieć lat osiem, dziewięć. Najstarsi może mają osiemnaście, dwadzieścia. Tu i ówdzie widać siedzące grupki. W środku takiej grupy siedzi przeważnie nauczyciel, wyklada coś z zacięciem. Uczniowie słuchają, trzymając książki w ręku. Nie są to tylko książki Koranu. U paru widzę podręczniki języka angielskiego. Jedno dziecko ujrzawszy cudzoziemca — podbiego do mnie i łamaną angielszczyzną zaczyna przechwalać się, iż umie już po angielsku. Wśród nauczycieli dostrzegam ślepców. Są to korypetytorzy, którzy cytują Koran z pa-

mięci. Między uczącymi — kręcą się bawiący. Młodzi chłopcy śmigają między kolumnami meczetu, grając w berka czy w chowanego.

Wszystko to dzieje się w ciszy, spokoju i beztrójce. Nie ma tu żadnych strażników, klas, zamkniętych sal. Jest jakieś klasztorne oderwanie od rzeczywistości. Nieprzeliczone białe postacie, las kolumn, czerwona podłoga i cichy szept uczących. To skupione nuka, to roześmiane twarze chłopców — na przemian świadczą to o powadze przybytku, to o tym, iż w świątyni muzułmańskiej nauki nie zatracą się radości życia.

Po dziś dzień wspominam El-Azhar, jako jedno z najmilszych i najsilniejszych wrażeń odniesionych w Kairze.

Gdy popołudnie chyli się ku wieczorowi, wracam z codziennych wędrówek po mieście do hotelu. Chłopcy wykrzykują tytuły z „La Bourse Egyptienne“ — tytuły, z których wynika jasno, iż wojna toczy się na zachód i na północny-wschód od Kairu, że Środkowy Wschód staje w ogniu wojny — a tymczasem wojny tej tak bardzo niewiele dojrzeć można w samym mieście.

Przynajmniej w dzień.

Na szczęście dla ludzkości, nie wszędzie jeszcze wojna jest wyłączną treścią życia!

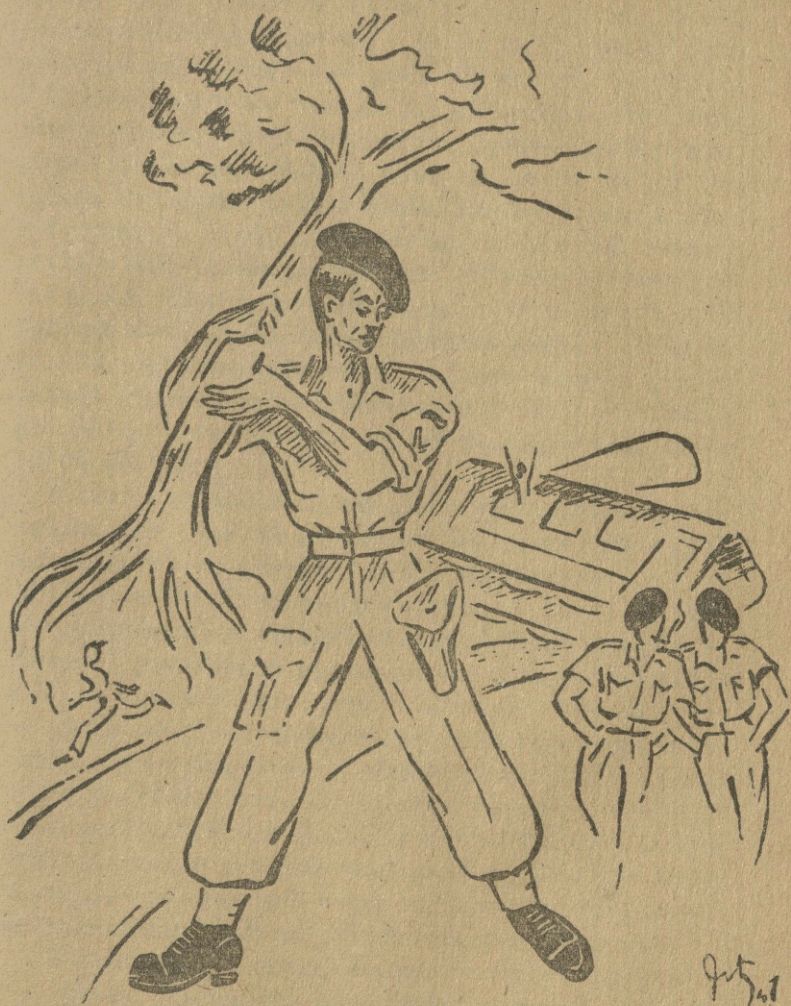
WOJNĘ ZNAĆ W NOCY

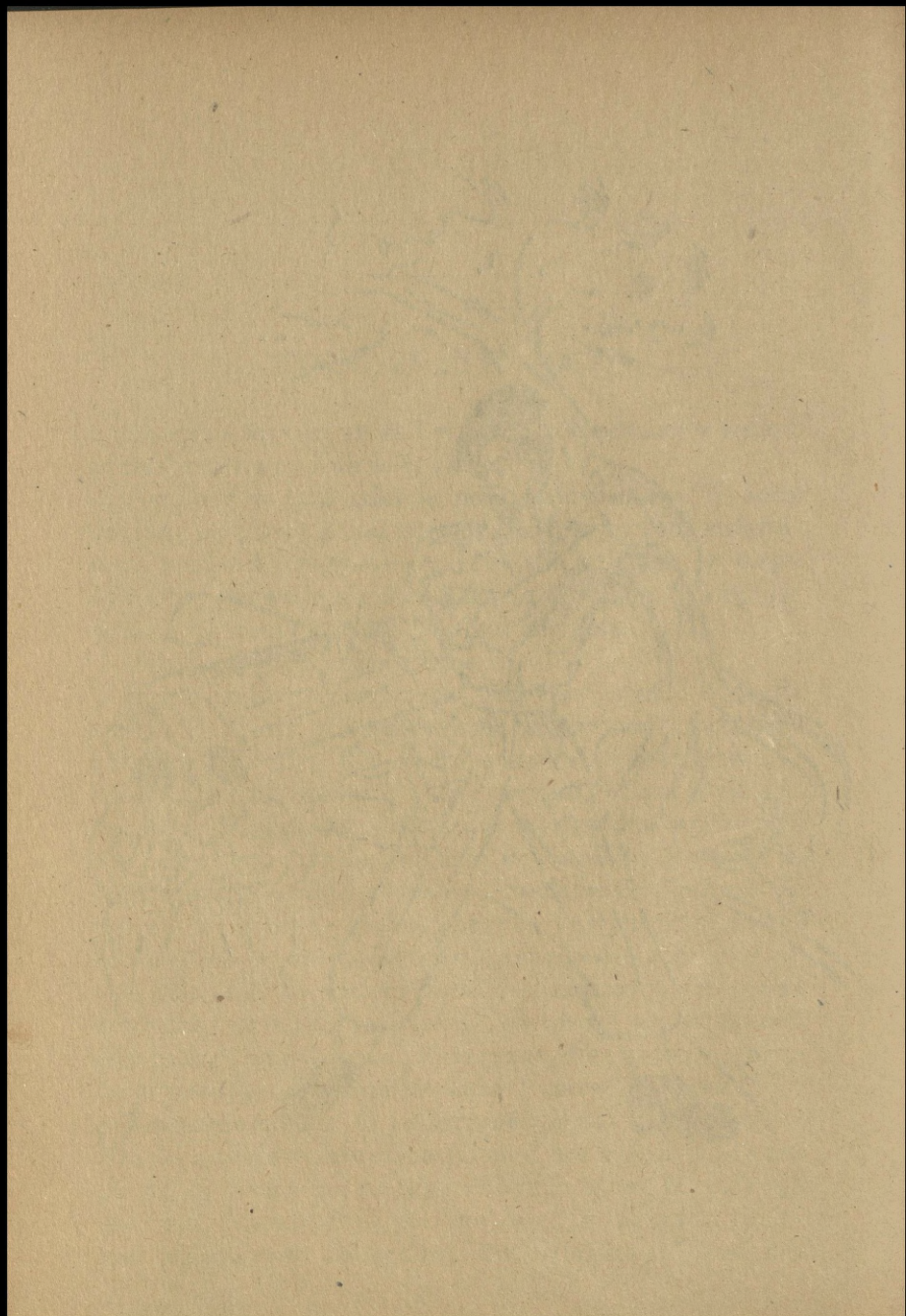
Znacznie łatwiej aniżeli w dzień — podmuchy wojny odczuć można w Kairze w nocy.

Noc jest w tym mieście porą bojowników. W nocy dopiero wypływają oni szeroką falą ze swych warsztatów, koszar i poligonów podmiejskich, gdzie w ciągu dnia przygotowują się do walki na frontach, lub gotują do niej stosowny sprzęt. Noc jest dla żołnierzy.

Wtedy rozpoczyna się zabawa.

Trzon najwaleczniejszych żołnierzy armii Wawella tworzą oddziały Australczyków i Nowozelandczyków. Olbrzymi chłopcy, dla swego wzrostu i pochodzenia — kangurami przyzywani, o dość prymitywnym stylu życia, może dlatego, że pochodzący od przodków-przestępców, deportowanych z Wielkiej Brytanii do Australii za popełnione zbrodnie pospolite. Społeczeństwo Australii dawno zapomniało o zbrodniczych instynktach swych niedalekich praszczurów i dziś jest równie uczciwe i godne szacunku co społeczeństwo w macierzy, ale pewne instynkty dzikiego rozpasania odezwały się w synach, gdy ruszyli na żołnierkę. Rozkoszne, dwumetrowe chłop-tasy ruszają wieczorem na Kair. I zaczynają szaleć! Teraz właśnie czynią to ze szczególną pasją. Dopiero co wrócili z niefortunnej Grecji, skąd nie tylko, że nie mogli prócz własnego, „nagiego“ życia wywieźć uzbrojenia, aut, karabinów, ale nie zdążyli zabrać... „...nawet szczoteczek do zębów, tak wialiśmy...” zwierzył





mi się przy piwie w barze poznany przed chwilą dzielny australijski „privet“. Byczy był chłopak. Usłyszawszy polską mowę — podszedł do naszego stolika z kuflem, rzucił się nam na szyję, zaczął ścisnąć, całować i prócz rewelacji o szczotce do zębów, zdradzał nam, iż szalenie kocha Polaków, gdyż na „Batorym“ płynął tutaj z Melbourne do Port Saidu. Mój towarzysz zauważył wtedy, iż każdy z Nowozelandczyków lub Australczyków jechał tutaj na „Batorym“. W rzeczywistości polski statek wioził tylko nieznaczną część wojska, lecz do dobrego tonu należało wśród żołnierzy piątej części świata, podawać się za pasażerów polskiego parowca. Jeszcze raz utwierdziłem się w przekonaniu, iż nasza marynarka jest jedną z najlepszych metod propagowania Polski wśród obcych.

Wszyscy ci żołnierze, na „Batorym“ przewiezieni do Egiptu, zabawiali się siarczyście po klęsce bałkańskiej, jedyną zdobyczą której był syfilis odziedziczony masowo od Greczynek. Zabawy były przednie. Nie licząc tańców w rozlicznych lokalach służących tego rodzaju uciechom — pospolitymi metodami zadawalającymi zmysł zabawy było wybijanie szyb w domach i sklepach, wywracanie wozów tramwajowych napełnionych pasażerami, wyrwanie z ziemi drzew w miejskich alejach i tym podobne rozrywki, które doskonale świadczyły o sile mięśni młodych obrońców Egiptu. Niestety kairscy mieszczaństwo nie oceniali całej głębi humoru tkwiącego w takich wystąpieniach wojsk sprzymierzonych — i serdecznie nienawidzili miłych, dziecinnych „kangurów“.

Pół zaciemnione miasto dopiero po zmierzchu stawało się terenem wojennych wyczynów, a raczej wojennej igraszki.

Kair jest — podobnie jak Warszawa — nocnym miastem. Z zapadnięciem mroku cień zaściela brud i kurz,

upał ustępuje przed rześkim chłodem. Miasto zaczyna pulsować radośnie. Kina wchłaniają żadne rozrywki mas.

Kina są bardzo oryginalne. Prócz głównego ekranu, na którym wyświetla się obrazy, funkcjonują równocześnie dwa małe ekrany, po obu stronach dużego; na jednym ukazują się napisy po francusku, na drugim po egipsku. Kina cieszą się taką frekwencją, że gdy przed moim wyjazdem z Kairu ogłoszono przedsprzedaż biletów na „Przeminęło z wiatrem” — w ciągu trzech dni bilety zostały wykupione na parę tygodni naprzód.

Prócz kin ogromnym powodzeniem cieszą się niezliczone ilości restauracji, kawiarni — tak europejskich jak egipskich, wreszcie barów. Wszystkie lokale czynne są do białego rana, a pełne do późna w nocy. Jak na ironię tu dopiero wyczuwa się wojnę. Sale i salony pełne są oficerów, podoficerów i żołnierzy wszelakich służb, broni i rang. Wszyscy bawią się i szaleją całą duszą, dalecy od myśli, iż może przyjdzie Kair oddać. Praktyczną cechą Brytyjczyków jest to, iż nie potrafią martwić się na wyrost. Niestety, to właśnie jest nasza — dla kontrastu — wada.

Równolegle do nocnych lokali — działają do późna ...fryzjerzy. O każdej porze nocy można się strzyć i golić. Raz czyniłem to o pierwszej po północy. Egzotyzm kairskiej nocy.

Większy stopień egzotyizmu wschodniego — przedstawiają wschodnie dancingi. Im głębiej w Wschód — tym bardziej uchodzą one za drastyczne. Już do kairskich dancingów nie pójdzie żadna przyzwoita biała niewiasta. Choć biali mężczyźni i oficerowie, chodzą tam nagminnie. Dancingów tych jest wiele stopni. Od bardzo wytwornych lokali, z eleganckimi fortancerkami i artystycznymi produkcjami do kuaip typu marynarskiego, za-

kazanych i obskurnych spelunek, których jedyną atrakcją są najrozmaitsze warianty tańca brzucha. Lokale wypełnione są żołnierską bracią. Widziałem przed rokiem podobne knajpy we Francji i przyznać muszę, iż byłem z lekka rozczarowany przyzwoitością i umiarkowaniem, jakim odznaczały się igraszki w kairskich „dancingach”. Żłopanie morza alkoholu, niezgrabne tańczenie, frywolne poklepywanie tancerek po łopatkach, i wiele serdecznego nieustannego śmiechu, wyczerpywało arsenał publicznej rozpusty. Od czasu do czasu tylko któryś żołnierz dobrze mający w czubie, podskoczy na pokazową estradę i sam odtańczy jakąś pantominę, lub parodię tańca brzucha.

Przyzwoitość zabawy zagwarantowana jest zresztą przez samego szefa lokalu, który natychmiast usunąłby dziewczynę, przekraczającą granice obowiązków fortan-cerki. Rozpusty nie ma w lokalach, w jakich nie staje noga uczciwej białej kobiety. Rozpusty nie ma też i na ulicach, którymi można przejść spokojniej, niż na londyńskiej Piccadilly. Nikt nie zaczepia.

W brudnym, mało dbającym o higienę swych mieszkań i ulic mieście — dziedzina ludzkich namiętności jest ściśle reglamentowana. Tutaj — jak we wszystkich miastach Wschodu — istnieje dzielnica miłości. Nie jest ona tak sławna, jak w Casablance czy Tokio, ale dostatecznie oryginalna, by być jedną z pierwszych atrakcji, jaką zaraz po meczetach i piramidach pokazuje się cudzoziemcowi.

Nigdy nie widziałem Casablanki ani Tokio. To jednak co pokazano mi w Kairze — zrobiło na mnie wstrząsające i odrażające wrażenie. W Tokio podobno gejsze mieszkają w pięknych ogrodach, w maleńkich domkach z papieru, wśród kwiatów, słońca, czystości i pogody. W Casablance podobno czuje się niczym w cyrku i muze-

um osobliwości zarazem. Kairska dzielnica „Ezbeki” jest jakąś wstrętną klatką, jakimś makabrycznym zaułkiem, który nie budzi lubieżnych pożądań, lecz oślizgły wstręt.

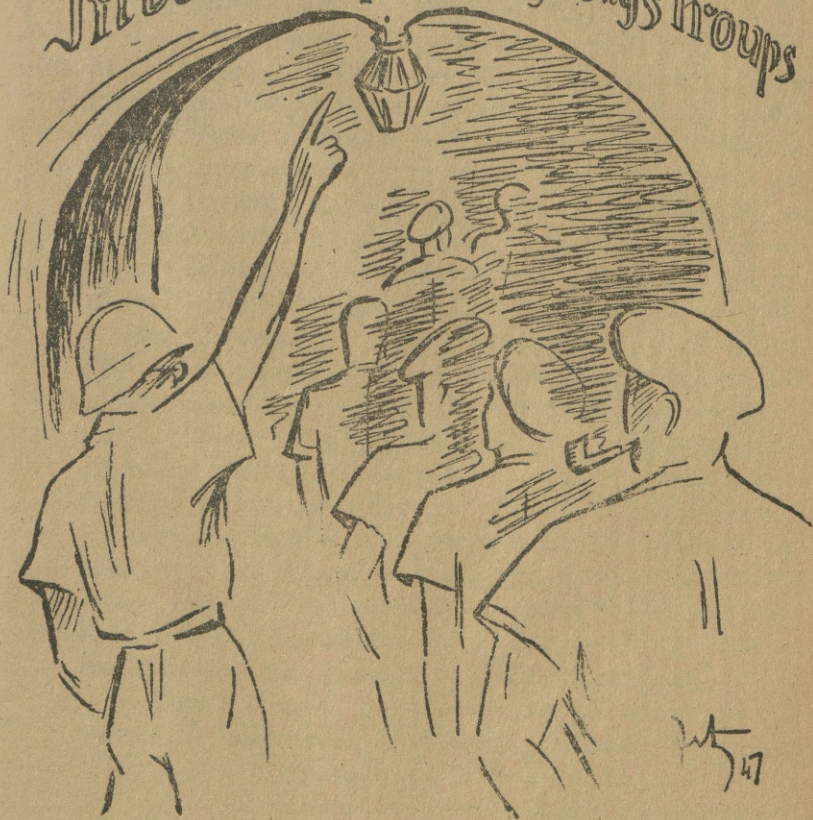
Na całość instytucji składa się labirynt niewiarygodnie ciasnych i wąskich uliczek. Uliczki są zatłoczone „męskim popytem”, który przepycha się tam i sam, szukając sobie wybranej wśród niezwykle obfitej „podaż”. Kobiety najprzeróżniejszych odcieniów skóry, wielkości, tuszy, urody i szpetoty siedzą półnagie na progach lub w oknach domów i znudzone, zaspane oczekują na klientów. Tu i ówdzie dla urozmaicenia klócą się zaciekle między sobą. Większość jest brzydkich i starych. Przynajmniej takie robią wrażenie. Zdawało mi się, że jestem w zatłoczonej publiczności galerii brzydkich, panoptikalnych aktów kobiecych. Powietrze w zaułkach było ciężkie i smrodliwe.

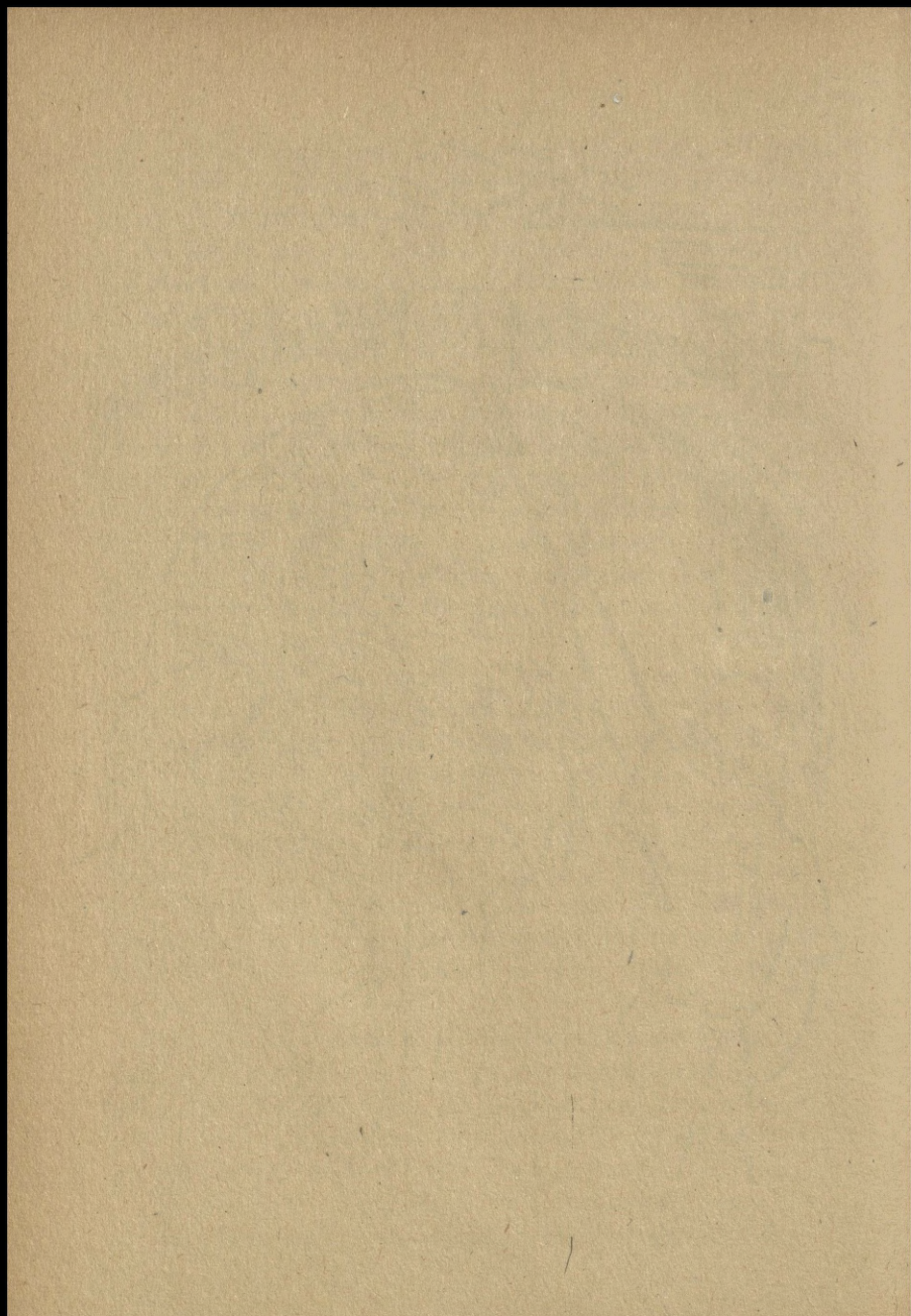
Wyskoczyłem z tłumu, przez bramę, na szeroką ulicę — niczym z piekielnej czeluści. Wyskoczywszy, obejrzałem się na bramkę wejściową raz jeszcze. I wybuchnąłem śmiechem. W górze, ponad wejściem do labiryntu, wisiała wielka tablica, na której dużymi literami wymalowano wyraźny napis: „In bound of His Majesty's Troups” — „Dozwolone dla wojsk Jego Królewskiej Mości!” Napis ten gwarantował sanitarny stan tego wielkiego domu publicznego, ale równocześnie patronat „His Majesty's” nad przybytkiem rozpusty, budził żywiołową wesołość.

Największą jednak atrakcją kairskich nocy nie byli fryzjerzy, nie były dancingi, nie był ozdobiony królewskim tytułem „Ezbeki”. Największą atrakcją nocy są, były i będą Piramidy, sławne Piramidy Ghizeh. Konieczny jest jednak do tego księżyc w pełni.

Akurat był. Taksówką pojechałem aż pod samo zbocze wzgórką, na którym znajdują się Piramidy; koło sze-

In bound of His Majesty's Troups





ści kilometrów za Kairem. Była już dziesiąta wieczorem i księżyc świecił uroczyście. Od przystanku tramwajowego i postoju taksówek prowadzi do pierwszej widocznej z daleka Piramidy Cheopsa wygodna, szeroka, brukowana droga. W dzień ten kawałek drogi można ujechać na wielbłądzie. Teraz jednak nie było nikogo. Pustka zupełna.

Doszedłem do pierwszej piramidy.

Dziwne uczucie ogarnęło mnie, u stóp tej wielkiej masy kamieni. Przez chwilę patrzyłem na nią — potem musiałem spuścić wzrok ku ziemi, odwrócić nawet głowę. Wielkość Piramidy robi przygniatające wrażenie. Razi po prostu oczy. Przeraża. Odwracam wzrok, jak czynię to, gdy przejeżdżam nad wielkimi rzekami, po wysokich mostach kolejowych. Po prostu czuję zawrót głowy. W samolocie nie odczuwam tego ani na moment. Może dlatego, iż w powietrzu nie odczuwa się związku z ziemią, zatracą się poczucie proporcji. Teraz jednak, gdy muszę dobrze zadzierać głowę, by dostrzec czubek kamiennej góry — czuję aż nadto dokładnie proporcję, jaką oglądam. Wyobraźnia pracuje i podsuwa obraz wysiłku, jaki musieli włożyć w to dzieło ludzie, którzy wznosili ją przecież własnymi rękami. Ogrom Piramidy onieśmiela, przytłacza. Przypuszczam, że gdybym był tutaj w towarzystwie — musiałbym zniżyć głos i mówić tylko szeptem. Być może, że wrażenie wielkości i nadnaturalności monumentu, potęguje się w świetle księżyca. W słońcu nie wygląda to może tak groźnie.

Dalsze Piramidy, położone w pewnej odległości, nie różnią się niczym od pierwszej. Wracam, by szukać Sfinksa, który winien być tuż obok.

Krążę koło Piramid i nie mogę znaleźć monstrualnej rzeźby. Wlażłem nawet między jakieś druty, na których był napis, iż wstęp wzbroniony. Wygonił mnie z nich

jakiś pies. Żywej duszy, która pomogłaby mi znaleźć kamiennego potwora. Piasek okalający piramidę utrudnia orientację, boję się zgubić. W końcu po jakiejś dobrej godzinie krążenia, widzę, iż przez piasek telepie się jakowaś postać. Policjant. Dostał funta i od razu zaprowadził mnie do Sfinksa.

Kamienny potwór zrobił mniejsze wrażenie, niż Piramida. Wiem dokładnie dlaczego. Dla tej samej przyczyny, dla której nie mogłem go przez godzinę całą odnaleźć, choć nie jest daleko Piramid. Bowiem Sfinks ma swoje humory. A raczej ma je pustynia, na której stoi. Ma ona swe odpływy i przypływy, trwające tygodniami. Gdy pustynia odpływa, gdy wiatry odsuwają piasek — Sfinks stoi tak, jak na wszelkich fotografiach, reklamach i miejskich herbach Kairu. Na płaskiej pustyni — wyniosła postać z urwanym przez bomby Napoleona nosem. Gdy jednak pustynia ma „przypływ“ — wtedy koło Sfinksa gromadzą się góry piasku, zakrywające go z dwóch stron niemal zupełnie. Sfinks leży wtedy jak w dole. Piaskiem zakryty jest właśnie od strony Piramid. Osłony piasku osłabiają wrażenie wielkości. Odchodzę od Sfinksa trochę zawiedziony. Ale cóż robić?

Nie mogę czekać, aż „spłyną piaski“ — tym bardziej, iż następnego ranka mam lecieć już do Turcji.

Wracam do hotelu. W „numerze“ znajdują się z powrotem moje walizy dyplomatyczne, przywiezione dziś z poselstwa, gdyż już o szóstej rano muszę być na lotnisku. Załatwiam rachunki z portierem, któremu wypada dać hojny napiwek — tutaj mówi się dyskretnie bak-szysz. Swoim zwyczajem nie zamykam drzwi na klucz. Noc jest wściekle gorąca. Kładę się do łóżka nagi, okryty tylko prześcieradłem.

O jakiejś porze nocy słyszę przez sen, że w pokoju dzieje się jakiś niesamowity hałas. Ktoś coś tłucze.

Chwilę odpędzam od siebie to senne złudzenie. Na koniec otwieram oczy...

W pokoju pali się lampa główna. Drzwi są rozwarłe na oścież. Stoi w nich boy hotelowy, czarny Tuareg. Natomiast na umywalni siedzi sobie w najlepsze... żołnierz. Ma naszywkę „New Zeeland“. Nie ma natomiast ani czapki na głowie, ani butów na nogach. Rozpięte spodnie ukazują męskie tajemnice. Łokciem jeździ po szklanej półce zawieszanej ponad muszlą umywalni, zwalając na ziemię przybory do golenia, szczoteczki, grzebienie i szklanki. Stąd hałas.

Gdy przerażony i zdziwiony — (przede wszystkim oglądam się na walizy!) — podrywam się na łóżku, boy znika, zostawiając nas samych. Ruch mój zauważył i żołnierz. Zataczając się, zlał z umywalni, podszedł do mnie. Ciężko siadł na łóżku. Tego było mi trochę za wiele. Zlekka spycham go, pytając równocześnie w mej słabej angielszczyźnie, gdzie jest jego pokój i perswadując mu, że się pomylił.

Perswazje nie na wiele się zdały. Jedną ręką dzwonię na boya, drugą spycham gościa z łóżka. Byłbym może i śmielszy, gdyby nie świadomość, iż jestem nagi. Świadomość, która mężczyznom niesłychanie odbiera kurażu. Gdym go tak pchnął raz i drugi — mój żołnierz zdenewrował się nie na żarty. Wstał raptem, nogą (dobrze, że bez buta) przycisnął mnie do łóżka a obu rękami, jak gorylastymi cepami, zaczął walić mnie po twarzy, ramionach, głowie. Zasłaniam rękami oczy, a równocześnie staram się wyslizgnąć z łóżka. Czuję, że przeciął mi wargę.

Wreszcie po paru sekundach milczącej walki udaje mi się wyslizgnąć z łóżka. Wyskoczyłem niby strzała i nagi, jak dziadek Adam i babcia Ewa, pogałem w panicznej ucieczce. Planem moim było zamknąć się w ustę-

pie, znajdującym się na końcu Korytarza, niedaleko schodów i niedaleko mego pokoju. Niestety, w pierwszym rzucie ucieczki skręciłem w złą stronę. Musiałem teraz obieć całe piętro dokoła. Leciłem nagi i bosi przez korytarz, a „kangur“ za mną. Teraz, gdy wywabiłem go z pokoju — zmieniłem plan. Chciałem dopaść swego numeru, wskoczyć doń i zamknąć się na klucz. Bliski byłem urzeczywistnienia mego zamiaru — gdy oto na schodach pokazał się boy w towarzystwie dwóch wysokich drabów w mundurach z opaskami czerwonymi „M. P.“ — Żandarmeria! Popatrzyli na moją niefrasobliwą gołość, pokiwali z uśmiechem głowami, zaaresztowali mego prześladowcę i poszli sobie.

Bydlę, przeciął mi policzek, od środka. Czułem słony smak krwi i spać już nie mogłem. Zresztą niedługo i tak musiałbym wstać.

Ładnie żegnają mnie kairskie noce.

KŁOPOTY PLK. ALEKA

Do Kairu trafiłem doskonale. Akurat na Trzeciego Maja. Po południu w salonach poselstwa odbyła się „party”. Poseł Zażuliński monotonnym głosem odczytał uroczysty rozkaz Wawella, z którego jeszcze raz dowiedzieliśmy się, iż jesteśmy najdzielniejsi, iż nam nie zapomną, iż zawsze razem... Jednym słowem to wszystko, co w takich okolicznościach wypada mówić i pisać u wszystkich ludów ziemi, pod każdą szerokością geograficzną.

W dwóch salonach zmieściła się elita kairskiej Polonii. Jacyś bliżej nieokreśleni cywile, jakieś na ogół elegancko odziane niewiasty, lotnicy — moi znajomi z Takoradi, pod wodzą przemilego plk. Iżyckiego; wreszcie wyżsi oficerowie z Brygady Karpackiej gen. Kopańskiego. W Kairze mieściła się bowiem polska komenda miasta Kairu (oczywiście wyobraźni widzę nekrolog „b. polski komendant wojskowy miasta Kairu(...)” opiekująca się urlopnikami z Brygady i kandydatami do niej. Taka komenda wymagała oficerów. Paru „leśnych dziadków” — jak się nazywało bractwo tego rodzaju w Szkocji — urzędowało w Kairze i reprezentowało na tutejszym bruku rodzimą myśl wojskową.

„Party” była przepisowa. Nudą i banałem czezono wielką rocznicę. Pierwszy raz w życiu byłem na podobnym oficjalnym przyjęciu — i z niemałą satysfakcją stwierdziłem, iż uczestnicy tej „party” nudzą się jak mo-

psy, podobnie zresztą jak uczniowie w gimnazjach na obchodach rocznic historycznych i imieninach głów państwa. Kanapki znikwały prędko z półmisków, „pturki“ także. Opowiadano sobie ze zgrozą najnowsze wiadomości z Kraju, załamywano ręce nad nieudolnością Anglików, którzy nie potrafili obronić ni Benghazi ni Grecji, napędzając tym solidnego stracha znacnym zgromadzonum. Na koniec przechodzono prędko do najaktualniejszych ploteczek towarzyskich z rynku miejscowego. Zagadnienie czy to porucznik K. strzelił w mordę pierwszy kapitała Z. — czy też na odwrót rzecz się miała — było zagadnieniem żywo pasjonującym zebranych.

Plk. Iżycki poczuwając się do roli opiekuna mojej osoby — popychał mnie od grupki do grupki. Ponieważ konspirowano mnie nader starannie — zacny pułkownik bełkotał jakieś nadzwyczajne nazwisko i wyraźnie kończył „nowy urzędnik naszej placówki w Stambule“. Stwierdzenie to wywoływało lekkie zdziwienie. Ot, wariat, któremu chce się jechać do Stambułu, który przecież lada chwila zajęty będzie przez Niemców. I to do tego przyjechał z Londynu, gdzie jest przecież spokój, jak u Bozi za piecem.

Po godzinie zakończyło się „party“. Zakończyło równie nudnie, jak trwało. Wszyscy rozbiegli się do swych rozlicznych zajęć — syci satysfakcji ze spełnionego patriotycznego obowiązku.

Było to moje jedyne spotkanie z miejscową „Polonią“ — jako taką. Na ogół Kair był jeszcze wtedy mało „polskim miastem“. Poza poselstwem, które zajmowało się tylko sprawami urzędowymi i komendą wojskową obsługującą wojsko — bodaj że nie było w tym czasie żadnej innej instytucji gromadzącej miejscowych Polaków. Pisma polskiego nie było. Zasadniczy ośrodek polskości, kolo którego kręciły się wszystkie sprawy rodackie, —

mieścił się pod Aleksandrią, w obozie wojskowym Brygady Karpackiej. Niedawno została ona przetranslokowana z Palestyny do Egiptu, po to, by już w najbliższym czasie odejść na linię frontu przeciw Rommelowi. Uzupełnienia brygady, jej szkoły, ośrodek kulturalny i wszystkie tym podobne instytucje dodatkowe — zostały jeszcze w Palestynie, gdzie w oparciu o nie miały powstać dalsze rzuty Brygady. Ludzie licznie napływali przez Bałkany i Turcję — tak, że Brygada miała wszelkie szanse rozwoju. Tam w Palestynie grupowało się głównie uchodźctwo cywilne. Tam powstawały polskie szkoły, świetlice i pisma. Kair nie był przewidziany wtedy na miasto „polskie“.

Któregoś dnia zaproponowano mi wycieczkę samochodową do obozu Brygady pod Aleksandrią. Cieszyłem się jazdą i wycieczką. Nie ze względu na Brygadę — wojsko w Szkocji czy pod Aleksandrią, z zakrytymi czy gołymi kolanami — jest wszędzie wojskiem. A do wojska — choćby swojackiego — czułem zawsze pewien resentyment. Bez żalu rozstawałem się w Londynie z mundurem; nie pojechałem się pożegnać do oddziału, choć z Leven, gdzie wsiadałem na okręt, nie było daleko do St. Andrews; teraz też nic mnie specjalnie nie ciągnęło, by zobaczyć wojsko. Natomiast interesowała mnie jazda samochodem przez deltę Nilu, i obiecana rozmowa z gen. Kopańskim. Niestety wycieczka do skutku nie doszła. Musiałem wcześniej wyjechać.

Dalsza droga, od pierwszej chwili przyjazdu do Kairu wyglądała dość skomplikowanie. Ledwo zakończona kampania na Bałkanach nasuwała podejrzenia, iż Niemcy kompletnie rozgromiwszy siły brytyjskie, skorzystają z nadarzającej się okazji i uderzą na Turcję, by następnie zaatakować Palestynę, a więc Suez, z drugiej strony. Liczono się zupełnie poważnie z możliwościami takich

niemieckich kleszczy. Tym bardziej, iż w chwili, gdy m przyleciawszy z Chartumu wodował na Nilu — rozpoczęły się walki w Iraku. Irak zbuntował się przeciw woli Anglików, a na czele buntu stanął notoryczny agent niemiecki Rashid Ali Gaylani. Dla ludzi lubiących tak dużo myśleć i rezonować jak Polacy — jasnym było, iż wszystkie trzy fronty niemieckie — w Libii, na Bałkanach i w Iraku — współgrają ze sobą i że wobec tego lada moment nastąpi generalny atak przeciw brytyjskiemu Bliskiemu Wschodowi. W tym stanie rzeczy zastanawiano się poważnie, czy powinienem jechać dalej.

Organizacją mojej dalszej podróży — do Stambułu — miał zająć się płk. „Alek“. Tajemnicza ta figura, dżentelmen, stroniący od reszty Polaków, zamieszkujący wspaniałą willę i dysponujący samochodem — był szefem kairskiej placówki łączności z krajem. Zasadniczo kierował on tylko placówką wojskową — tak zwaną „bazą“, ale wobec braku tutaj placówki łączności cywilnej, opiekował się on i kurierami cywilnymi. Wojskowa baza kairska odgrywała rolę podcentrali i była dysponentką baz położonych na Bliskim Wschodzie, z których najważniejsza baza, znajdowała się w Stambule.

Alek zastanawiał się poważnie, czy w takiej sytuacji wojennej winienem jechać dalej, czy też czekać w Kairze na dalszy rozwój wypadków, które mogą przecież moją podróż całkowicie zmienić. Wtedy jeszcze nie wiedziałem tego, czego dowiedziałem się później. Wkrótce za mną leciał kurier wojskowy, który był już bazom awizowany i którego chciano wpuścić przede mną do Stambułu, by i tam miał wobec tego pierwszeństwo dalszej drogi. Dwa były powody takiego planu. Po pierwsze: nieustanna wzajemna podejrzliwość władz wojskowych i cywilnych, tym większa, iż akurat w Kraju po-

wstała dopiero niedawno Delegatura Rządu RP na Kraj, która miała ZWZ-towi i komendantowi ZWZ-tu gen. Rakoniowi (był to pseudonim „Grota“ używany na zagranicę) odebrać część jego podziemnej władzy. Walka o przewożenie krajowi była w tym okresie nader ostra i wszeley kurierzy idący wtedy do Kraju, byli obarczani a priori podejrzeniami, iż celem ich podróży jest właśnie umocnienie, jednych lub drugich wpływów. To był jeden powód. Drugi był z kategorii praktycznych, nie politycznych. W Kairze liczono się z faktem, iż przez pewien jeszcze czas, po ukończeniu walk w Grecji i Jugosławii, trwać będzie na Bałkanach chaos, który umożliwi przerzucenie kuriera do Budapesztu. Jeżeli w tym czasie nie przerzuci się kuriera — to później wiele wody upłynie nim Stambuł, (a może nawet wtedy Kair) łączy się z Budapesztem szlakami przez zielone granice.

Tutaj jednak postawiłem się ostro i zażądałem wysłania mnie natychmiast. W tym stanie niepewnej sytuacji politycznej i militarnej wołałem podsunąć się możliwie najbliżej pod obszar niemieckiego panowania, by później tym łatwiej, w razie dalszych pochodów niemieckich, zostać zagarniętym przez wojska hitlerowskie i znaleźć się wewnątrz „niemieckiej Europy“. Z perspektywy Kairu wydawało mi się, iż gdy się raz znajdzie wewnątrz „hitlerowskiego imperium“ — dalsze poruszanie się po nim nie przedstawia już specjalnych trudności. Najbliższe miesiące miały mi wybić tego rodzaju złudzenia z głowy i to w dość dotkliwy sposób.

Miałem trzy drogi do wyboru. Albo powietrzną: z Kairu, przez Palestynę i Cypr do Adany, a stamtąd pociągiem, gdyż połączenie lotnicze z samym Stambułem wprowadzono dopiero w parę tygodni później. Morską — z Port Saidu do Messyny, nota bene, polskim statkiem. Wreszcie lądową — pociągiem przez Palestynę i Syrię.

Droga lądowa miała wszelkie niedogodności — jakie sobie tylko można wyobrazić. Po pierwsze — jechało się wściekle długo, w potwornym upale. Po drugie — nie mogłem zabrać ze sobą bagażu dyplomatycznego, gdyż — po trzecie: grozić mi mogło przetrzymanie lub czasowe aresztowanie na terenie Syrii, która nie bardzo teraz honoruje nasze paszporty dyplomatyczne, choć w Beirucie istnieje jeszcze polski „office“, na miejsce zamkniętego konsulatu.

Droga morska — miała wyraźny mankament w postaci długości trwania, podczas gdy mnie się spieszyło. Chciałem do Stambułu zdążyć przed Niemcami. A to mogło nie być takie łatwe.

Droga powietrzna natomiast gwarantowała wszelkie dogodności. Wygody i czasu.

Decyzja wyboru drogi — to jeszcze nie było wszystko. Choć zapadła ona trzeciego czy czwartego dnia pobytu w Kairze — jednak nie mogłem jechać natychmiast. Od czasu, gdy ku hańbie ludzkiego rodzaju, równocześnie z udoskonaleniami komunikacyjnymi wprowadzono przekleństwo paszportów i wiz, mocą których państwa uzurpują sobie władzę nad obywatelami — nie wyjeżdża się w terminie „natychmiast“. Biurokracje wszelkiego rodzaju muszą z czegoś żyć.

Na moim dyplomatycznym „passie“ musiały przybyć dwie wielkie pieczęcie: pozwolenie przejazdu przez Palestynę i Cypr, oraz wyjazdu z Egiptu. Wizę turecką na szczęście wystawiono mi już w Londynie. Wizę wyjazdową egipską — nie jest wcale tak łatwo dostać. Głównie dlatego, iż kochani Egipcjanie zawsze mają nadmiar czasu i nie są skłonni zrozumieć człowieka, który ściga się z Hitlerem do Stambułu. Biurokracja egipska ma

swoje prawa i swoje obyczaje. Do praw należy świętowanie w dzień święte t. j. przede wszystkim w piątek — mahometańskie święto, sobotę — święto żydowskie oraz w niedzielę, w święto całego świata cywilizowanego. Z powodu tych świąt biura miejscowe nieczynne są od czwartku po południu do poniedziałku po południu, jako iż w poniedziałek rano, po trzydniowym odpoczynku nader trudno punktualnie wrócić ze wsi czy wygrzebać się z domowych pieleszy. Musiałem wobec tego bezczynnie odczekać dni parę.

Później jeszcze pół dnia nim dostałem wizę.

I jeszcze pół dnia, nim znalazłem urząd ambasadora brytyjskiego, gdyż szoferzy taksówek i uliczni policemeni kairscy nie wiedzą gdzie on się znajduje. Może zresztą i wiedzą, tylko bawią się w taką samą ciuciubabkę, w jaką myśmy grali z żołnierzami niemieckimi pytającymi się o ulicę czy jakieś adresy. Podawano kierunki przeciwnie. Szofer woził mnie przez parę dobrych kwadransów, nim trafił. Tego rodzaju system wożenia cudzoziemców ma swą dobrą stronę: zadowala patriotyzm i napycha kieszeń.

Brytyjczycy nie są biurokratami. Ale swoich parę kwadransów musiałem odczekać. Tak narósł jeszcze jeden dzień. Z niepokojem brałem do ręki dzienniki, czy czasem pan H. już nie runął. Ale chwilowo nie!

Na koniec ósmego dnia pobytu w Kairze miałem wszystko załatwione. Wizy, paszport, dewizy tureckie zakupione na ulicy Fuada, bilet na samolot. W ciągu nocy poprzedzającej odlot — zarobiłem jeszcze parę siniaków od dziarskiego Nowo Zelandczyka. W numerze „Exmorandi“ zostawiłem w trosce o lekkość swego bagażu krótkie spodenki khaki i pożyteczny hełm korkowy, w dziecinnej naiwności, że w Stambule będzie chło-

dniej niż w Kairze. Znalazł je pewnie boy i sprzedał na bazarach. Bóg z nim.

9 maja 1941 roku o piątej rano taksówka wywiozła mnie z Kairu na pobliskie lotnisko. Taksiarz znów nabił mnie w butelkę z wydaniem reszty. Żebym pamiętał Afrykę.

OD SUEZU DO BOSFORU

Moja lotnicza podróż rozpoczęła się i zakończyła takim samym samolotem. Z Kairu do Adany, jak przed niedawnym czasem z Takoradi do Lagos, leciałem takim samym „Duglasem“ zwanym „Żyletką“. Jediną różnicę stanowiły znaki wymalowane na skrzydłach — wtedy były brytyjskie „koła“, a teraz egipski zielony półksiężyc z trzema gwiazdami w środku. Leciałem „prawowiernym“, mahometańskim aeroplanem. Na skrzynekczce zawierającej podręczne leki, na której normalnie namalowany jest czerwony krzyż — tutaj był czerwony półksiężyc.

Dzisiejsza nasza droga prowadzi ponad kanałem Suezkim, do Palestyny, stamtąd na Cypr, i wreszcie kończy się w Adanie, na południowym wybrzeżu Turcji.

Towarzystwo było dosyć niewielkie — prócz mnie składało się wyłącznie z Brytyjczyków. Trzech oficerów leciało do Lyddy (Palestyna), jeden na Cypr, a reszta do Ankary. Reszta — to znaczy wysoki, potężnie prezentujący się, starszy dżentelmen, „kolega po fachu“ — dyplomatyczny kurier brytyjski, wiozący masę różnych worków dyplomatycznych i przesyłek. Młody, szczupły i mały korespondent „Associated Press“ — bywały już w rozmaitych wojnach, w Abisynii, Hiszpanii, Anglii — teraz uważa, iż kolej zbliża się na Turcję; dlatego tam leci. Wreszcie jedyna przedstawicielka płci pięknej — miss jakaś tam, urzędniczka brytyjskiej am-

basady w Ankarze, wracająca z urlopu, spędzonego w Egipcie. No i ja!

W „Duglasie“ podróżuje się rozkosznie. „Lockhead“ wygląda przy uroczej „Żyletce“, jak nowoczesna maszyna do tortur. Tutaj można usiąść wygodnie, wyciągnąć nogi; jest luźno i przestronnie, sufit nie dotyka głowy, powietrze jest przyjemne.

Wkrótce po starcie jesteśmy nad Suezem. Patrząc w dół, mało mi oczy z orbit nie wyskoczą. Patrząc — i jak zwykle w takich razach — rozczarowuję się. Potężny nerw świata wygląda z góry jak mało imponujący załew wiślany bez uregulowanych brzegów. Ruchu żadnego nie widać. Gdy znikł za nami, przypomniały mi się londyńska City, ze swoją Lombard Street, na której małe, zapleśniałe od starości chałupki, kryją centrale wielkich o zasięgu światowym banków.

Suez jest czymś podobnym.

Lecieliśmy teraz już stale nieopodal morza; powietrze było chłodne. Nie męczyłem się tak, jak nad pustynią, choć część Palestyny, nad którą sunęliśmy, przypominała miejscami Sudan.

W Lyddzie postój trwał krótko. Wysiedli pasażerowie, zabrano pocztę, napompowano benzynę, napiliśmy się czegoś w bufecie — i wio dalej! — Lotnisko prezentowało się zupełnie po pustynnemu, z tą różnicą, że miast ubitego piasku runway był betonowy, a biura portowe, bufet i poczekalnia umieszczone w przestronnych, jasnych, czystych barakach. Poza tym — pustynia. Żadnej roślinności dokoła. Słońce piecze upalnie.

Z Lyddy do Cypru jest półtorej godziny lotu; nisko nad chłodzącym nas morzem. Morze jest spokojne, niebiesko-czyste. Trudno jest oderwać wzrok od lazuru, jakiego rozpościera się pod nami. Wierzyć się nie chce, iż ten cud natury, w jednym momencie stać się może grobem

nas wszystkich, że jest ono już grobem tylu milionów ludzi, którzy, tak dawno jak nasza historyczna pamięć sięga, tutaj właśnie, na skrawku morza między Palestyną a Cyprzem walczyli i topili się nawzajem zaciekle.

Po pewnym czasie z lazuru morskiego wynurza się wielka trójkątna wyspa. Wyspa jest wyjątkowo ponura. Pustynne, z wszelkiego życia wypalone słońcem góry. Wiem, że stolicą i największym miastem Cypru jest Nikosia. Wiem to, nie tylko mapy, ale i z listów, jakie mnie dochodziły jeszcze w Londynie. Właśnie z Nikosii. Losem wojennych wędrowek — po wyjeździe z Rumunii — tutaj znalazło swe przelotne schronienie wielu Polaków. Powstała nawet polska szkoła, w której Melchior Wańkowicz wykłada o Polsce współczesnej. Kierownikiem tej szkoły jest sam Janusz Jędrzejewicz.

Krażymy nad Cyprzem, nie mogę jednak odnaleźć żadnych śladów, które by wskazywały Nikosię. Musi to być bardzo skromna miejscina.

Tego rodzaju surowy sąd — potwierdzałoby i lotnisko. Jest wprawdzie kawałek betonu, po którym rolują aparaty, ale „biura“ stacyjne mieszczą się w małej z desek byle jak skleconej budzie, wyjątkowo nieprzyjemnej i brudnej. Nawet brak bufetu. Lotnisko jest puste, nudne i gorące. Do oddalonej o parę kilometrów Nikosii jedzie się autem. Przez moment mam błogą nadzieję, że może zatrzymamy się tu na noc i wobec tego pojedę do miasta, by spotkać znajomych. Nic z tego. Jest jeszcze dosyć wczesnie, by w ciągu dnia dzisiejszego dotrzeć do punktu przeznaczenia. Po jakiejś godzinie postoju, — trwa on tak długo dla przyczyn bliżej nieznanych — startujemy. Teraz już prosto do Turcji. Do Azji Mniejszej.

Niedługi lot nad morzem, potem jeszcze krótszy nad lądem — robimy dwa wielkie koła i koło godziny trze-

ciej po południu osiadamy na lotnisku w Adanie, małej miejscinie położonej na południu Turcji. Tu kończy się definitywnie powietrzna część mej podróży. Zaczyna się lądowa. Porzuciłem już krainy Brytyjskiego Imperium. Jestem jeszcze w kraju neutralnym, a pewnie już za parę dni będę w krajach nowego Imperium Hitlerowskiego.

W Adanie mamy wsiąść do pociągu „Taurus-Express“ idącego z Bashry nad Zatoką Perską przez Persję, Irak, północne terytorium Syrii do Ankary i Stambułu. Jest to fragment owej sławnej linii „trzech B“, Berlin-Bosfor-Bagdad, o jakiej ongiś marzyli Niemcy i którą miał finansować „Deutsche Bank“. „Taurus Express“ jest jednak w dyspozycji Anglosasów, jak wszystko w tej części globu.

Tylko wylądowaliśmy w Adanie — natychmiast zobaczyłem wojnę. Przez pola ciągnące się wzdłuż lotniska rozwijało się jakieś siarczyste natarcie żołnierzy tureckich. Żołnierze padali i podrywali się co chwila. Byli uzbrojeni tylko w karabiny ręczne i mieli jeden lekki karabin maszynowy. Mogło ich być ze czterdziestu. Pluton. Mieli na sobie piaskowe mundury, znakomicie harmonizujące z ziemią turecką: dziwnie szarą i jednolitą. Nie wiem dlaczego, lecz od pierwszej chwili, gdy spojrzałem na biegnących żołnierzy, wydali mi się oni podobni do żołnierzy z dawnej carskiej armii rosyjskiej, choć dalibóg! w życiu mym wtedy jeszcze nie widziałem żołnierza rosyjskiego, tak carskiego, jak sowieckiego. Pierwsze jednak wrażenie podobieństwa między współczesną armią turecką, a carską rosyjską było tak silne, iż towarzyszyło mi już odtąd bez przerwy.

W biurze lotniska okazało się, że pociąg, który miał być o czwartej, przyjedzie dopiero o siódmej. Ponieważ znalazło się pod ręką auto brytyjskiego konsulatu

w Messynie — niedalekim porcie śródziemnomorskim — pojechaliśmy do miasteczka wypocząć w hotelu.

Adana nie usposabia do turystycznych wycieczek. Jest ona z tego typu miasteczek, jakie na pamięć zna się z wschodnich kresów przedwrześniowej Polski. Małe, brudne, jednopiętrowe domki, pokracznie wytyczały uliczki pełne kurzu lub błota. W ulicznym pyłe sunęły od czasu do czasu jakieś wózki zaprzężone w rozpalczwe chabety. Tam i sam chodzili mieszkańcy, biednie ubrani wieśniacy. Kobiety odruchowo zasłaniały sobie dolną część twarzy czarnymi chustami. Przed laty Kemal-Atatürk nakazał Turcji być krainą laicką i wobec tego zakazał zakrywania kobiecych twarzy czarczafem. Bogobojne niewiasty tureckie czyniły zadość swym religijnym przepisom — trzymając przy ustach i brodzie końce wielkiego czarnego szala, jakim się wszystkie okrywały.

Hotelik był mały i brudny. Od biedy można było się jednak w nim zdrzemnąć.

O siódmej okazało się na stacji — pięknej europejskiej stacji, jakiej nie powstydziliby się niejedno miasto w Polsce — iż nasz „Taurus Express“ wprawdzie spóźni się znów, ale nadejść może lada moment. Moich i brytyjskich walizek dyplomatycznych pilnował urzędnik angielskiego konsulatu, a całe nasze podróżnicze grono — siedziało w bufecie, popijało kawę, lub piwo. W bufecie było czysto, nie wchodzili tu tubylcy. Pierwszy raz zetknąłem się wtedy z zjawiskiem jakie określa cały obyczaj kraju: istnieje tu swoiste europejskie getto — przestrzegane ze stron obu. Getto takie istnieje również w Afryce, w Kairze, tutaj jednak jest ono bodaj że jeszcze silniejsze. Dodatkowym zresztą argumentem, jaki powoduje izolowanie się Europejczyków od

szerokich mas tubylczej ludności—jest robactwo i brud, notoryczne nieszczęścia biednego Turka.

Dopiero koło północy wjechał „Taurus Express“ na stację. Dla nas zarezerwowane były przedziały sleepingu.

Powód spóźnienia się pociągu był bardzo ważny i moich brytyjskich współtowarzyszy przyprawił o gwałtowny przyływ doskonałego humoru. Cały wagon sypialny podziurawiony był niczym sito od pocisków karabinowych i odłamków bombowych. Były to ślady po ataku, jakiemu uległ pociąg przechodząc przez terytorium jeszcze będące w rękach rebeliantów Raszid-Ali-Gaylaniego. Atak wykonały samoloty RAF-u i one tak podziurawiły wagony. Anglicy byli szczęśliwi, gdyż jak dotąd w tej wojnie, nie często mogli tak namacalnie podziwiać rezultaty własnej potęgi militarnej.

Cywilizacja doszła już do takiej perfekcji, iż wagon sypialny w Turcji niczym nie różni się od takiegoż wagonu we Francji. Tu i tam jest jakaś nabożna cisza i spokój, którymi służba „Wagons Lits Cook“ celebryje wagność pasażerów.

Turcja jest wyjątkowo nudnym krajem — jeżeli chodzi (obowiązuje zastrzeżenie!) o widok z okien pędzącego pociągu. Jest to jeszcze raz ta sama pustynia, jakiej tyle już się napatrzyłem w ostatnich tygodniach. Całymi godzinami pociąg pędzi przez kraj, na którym nie nie widać, prócz szarych, zakurzonych skalistych pagórków. Jedyłą atrakcją są nieprzeliczone tunele, mijane co chwila. Tunelami przebijamy się przez pasmo gór Taurus, od których express przybrał swoją nazwę. Pewnie gdzieś poza tymi górskimi rejonami środka Turcji — kwitnie życie. Tutaj go nie znać. Rzadkie stacyjki, na których zatrzymujemy się na moment, prezentują się małym drewnianym domkiem, jednym zawiadowcą,

obyczajem całego świata, stojącym na baczność z choraągiewką w rękę i paru biednymi, widocznymi przy stacji chatynkami. Człowieka ujrzyć trudno. Od czasu do czasu zauważyć można przy stacjach kobiety — wschodnim obyczajem ubrane w długie spodnie, bufiasto spięte w kostce.

Z kraju tego wionie taka nuda i jednostajność — że odruchowo przypominam sobie nastrój pamiętników z podróży morskiej Uniłowskiego — i zasypiam w moim przedziale.

Z całodziennnej drzemki wyrywa na chwilę Ankara. Jest godzina druga po południu. Przez Turcję — od Adany do Ankary — przebijaliśmy się pełnych czternaście godzin, jadąc szybko, prawie bez żadnych zatrzymań.

Z daleka, z okien wagonu, Ankara wygląda bardzo miło. Nowoczesne, białe i kolorowe domy rozrzucają się szerokimi ulicami po wzgórzach. Miasto jest pięknie położone. Tylko ma wielkie trudności z wodą, co mu szkodzi w rozwoju. Ankara zrobiła karierę podobną naszej Gdyni, lub niedawno oglądanemu Takoradi. Ankara lub Angora była do roku 1923 małą męsciną położoną w środku Turcji. Ta stolica Anatolii, w szerokim świecie znana była chyba tylko i jedynie ze swych angorskich królików i angorskich kotów. Fundatorowi nowoczesnej Turcji — tureckiej republiki — nie odpowiadał międzynarodowy, lewantyński Stambuł, miasto kosmopolitycznych intryg, nieustannie narażone na ataki tak z morza, jak z europejskiej Tracji. Przeniósł tedy stolicę Turcji z wiecznego Stambułu, wielowiekowej siedziby Wielkiej Porty — do małej Ankary, która w krótkim czasie stała się pięknym nowoczesnym miastem i centrum przemysłowym, liczącym 75.000 mieszkańców. Właśnie w Ankarze pracują nasi inżynierowie, konstruktorzy lotniczy pod kierownictwem inżynier-

ra Drzewieckiego. Przyjechali przed paru miesiącami z Wielkiej Bytanii, założyli fabrykę i produkują bojowe RWD-ziaki dla rządu tureckiego.

Z daleka oglądam jeszcze wyniosły pomnik Kemala Paszy Ata-Türka (Ojca Turcji) i znów pograżam się w nudę tureckiego krajobrazu. Idę spać.

O czwartej rano budzi mnie służący. Muszę się ubierać. Za pół godziny jesteśmy w Stambule, a raczej dokładniej w Skutari (oficjalnie Iskutari, jak Stambuł jest Istambul). Skutari jest miasteczkiem leżącym po azjatyckiej stronie Bosforu, naprzeciw Złotego Rogu. „Taurus Express“ dalej nie idzie. Stambuł leży już w Europie.

Sprawni bagażowi ładują nasze walizy na wielkie motorowe promy; port przytyka do dworca. Jest chłodno i szaro, gdy 11 maja o godzinie piątej nad ranem odbijamy od azjatyckiego brzegu.

Azja zawarła się dla mnie między dwoma cieśninami. Między Suezem a Bosforem. Przestrzeń tę przebyłem w ciągu 46 godzin. W tym 29 tłukłem się przez nudną pustynię półwyspu Azji Mniejszej. Nie mogę stwierdzić, by przebywanie części świata w tak zawrotnym tempie sprzyjało studiom tak krajoznawczym, jak obyczajowym.

Cóż jednak robić — wojna!

Prom gwizdże. Dobijamy do brzegu kotłującej się Europy!

NA AYAS PASZA

W Europie z miejsca poczułem wojnę. W porcie Stambułu, dokąd przybił prom wiozący nas z Iskutari, nie było żadnej taksówki, lub było ich tak mało, że tylko pierwszych paru pasażerów zdołało skorzystać z tego środka miejskiej lokomocji.

W Stambule są tak duże trudności z benzyną, iż najczęściej spotykane na ulicach auta są opatrzone znakami C. D. — „Corps diplomatique“. Taksówki otrzymują minimalny przydział benzyny, wobec czego część szoferów w ogóle zaprzestała swego precederu, a reszta jeździ w kratkę. Dzień kursują auta opatrzone numerami parzystymi, dzień następny — numerami nieparzystymi. Oto i wojna!

Bezradnie stałem tak chyba kwadrans; moje ciężkie walizy dyplomatyczne absolutnie nie nadawały się do ręcznej trakcji — gdy raptem podwinął się jakiś turecki tragarz. Układy nie trwały długo — wystarczyło słowo „hotel“, a dryblas chwycił moją walizę, przygiął się do ziemi, aż coś w nim trzasło, ruszył jednak przed siebie. Posuwaliśmy się powoli, pod górę, wyludnionymi uliczkami. Było jeszcze bardzo rano. W końcu jednak — mimo przystanków i jęków tragarza i przewodnika w jednej osobie — dotarliśmy do jakiegoś hoteliku.

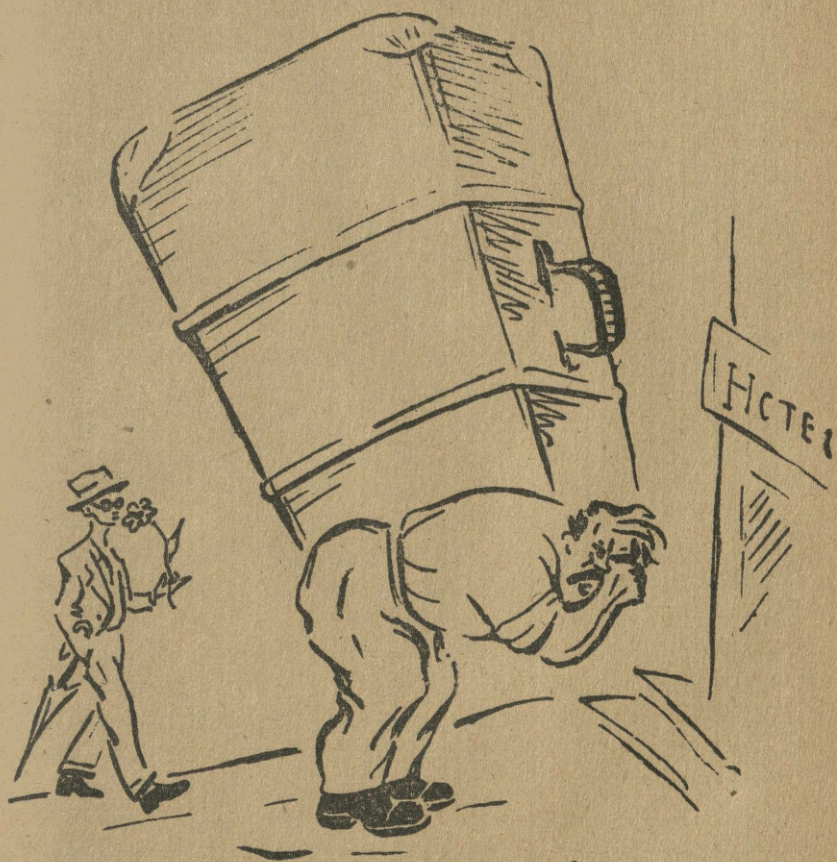
Odpooczynek nie trwał długo. Śpieszyło mi się nie-

zwykle na ulicę Ayas Paszy pod numer 26. Tam miał zdecydować się mój los na najbliższą przyszłość.

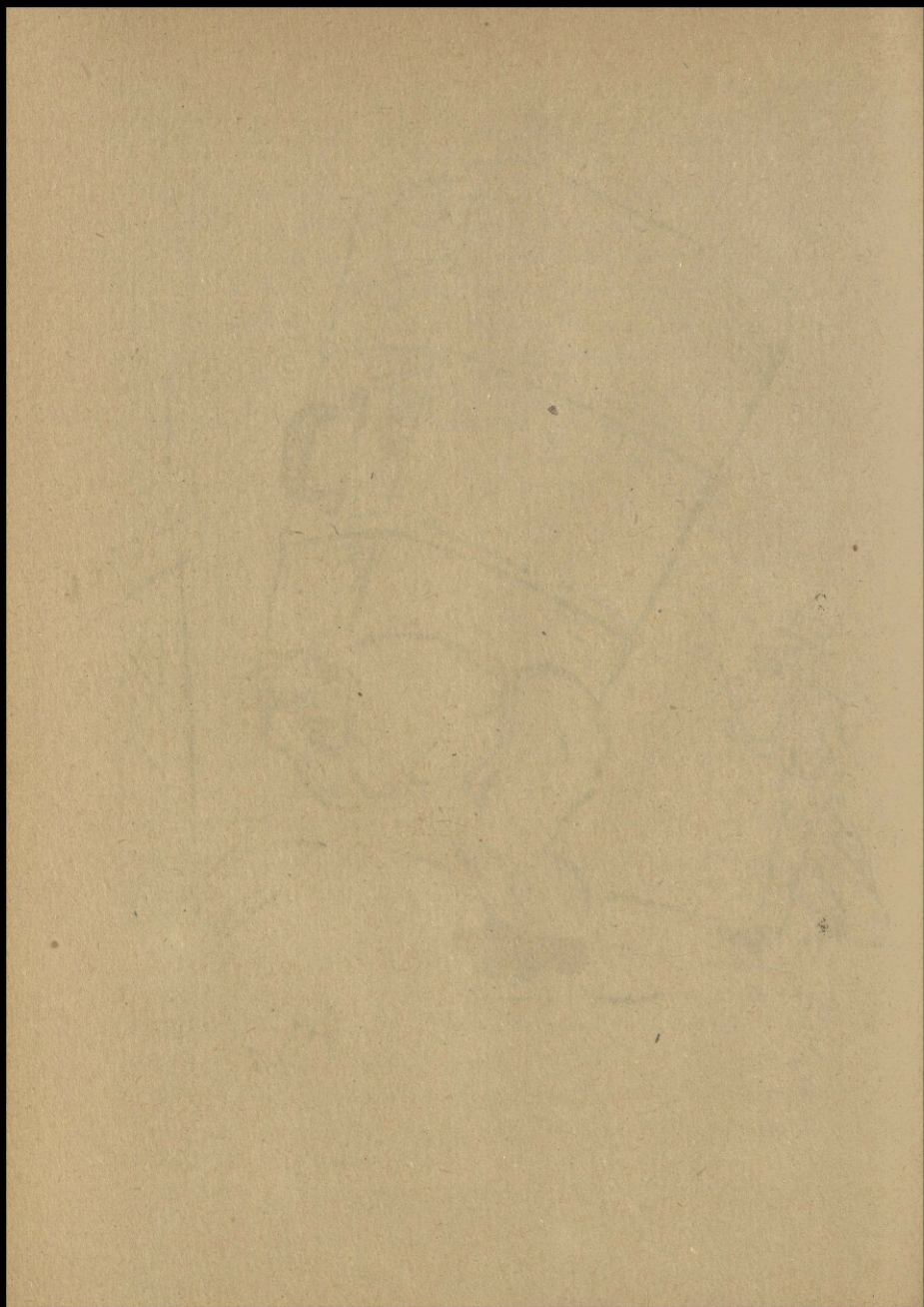
Z porannej gazety „Journal d'Orient” — francuskiej mutacji dziennika tureckiego — dowiedziałem się, iż nocy ubiegłej Londyn przeżywał — po paromiesięcznej przerwie — znów wielki atak bombowców niemieckich. Strącono koło dwustu samolotów nieprzyjacielskich, ale niestety uszkodzony został sławny zegar „Big-Ben”. Byłem przekonany, iż nalot ten zainauguruje nową falę wściekłego bombardowania Wyspy, a to z kolei zapewne stanie się preludium spodziewanej inwazji, o możliwości której tak niedawno Churchill ostrzegał rodaków. Historia okazała się jednak łaskawszą dla brytyjczyków. Ten wielki nalot nie tylko nie zainaugurował żadnej nowej wojny powietrznej, ale ją zdecydowanie zakończył. Było to ostatnie poważne bombardowanie Londynu, aż do — jak wykazały dalsze dzieje wojny — lipca 1944, gdy na stolicę Anglii zaczęły padać pociski V1.

Wolno mieć zresztą uzasadnione podejrzenia, iż cały, tak mocny nalot, był tylko dlatego urządzony, by w tłoku maszyn bombowych mogła łatwiej przemknąć się maszyna, na której „zwariowany” Hess „uchodził” ze swej ojczyzny. Później komunikaty dowództwa RAF-u skrupulatnie wyjaśniły, iż liczba zesirzelonych tej nocy prawie dwustu maszyn nie obejmowała samolotu Rudolfa Hessa.

Ayas Pasza — szeroki, o dwóch jezdniach, łagodnym łukiem osuwający się ze wzgórza, bulwar — jest ulicą dyplomatów. W każdy piątek — jak każe narodowo-religijny obyczaj wiszą tu flagi z balkonów państw mahometańskich, w każdą niedzielę — wiszą wszystkie flagi. Pod rząd, obok siebie, kołyszą się wtedy sztandar niemiecki, japoński i polski. Po stronie przeciwnej włoski, a prawie naprzeciw niemieckiego powiewa dwugło-



Art 5/47



wy czarny orzeł — albański. Na tejże Ayas Pasza znajduje się luksusowy „Park Otel” — czyli hotel wraz z restauracją i kawiarnią, przeznaczony dla międzynarodowej sossjety. W niedzielę, w porze obiadu, urzędują tu przedstawiciele wszystkich sprzymierzonych i wrogich obozów; można podpatrzeć niejedną ciekawostkę polityczno-plotkarską, jak na przykład czule zaloty pana von Chapeau—Rouge'a, wybitnie przystojnego Niemca, do niedawna radcy od spraw polskich w ambasadzie niemieckiej w Bukareszcie, obecnie — funkcjonującego w takiejż roli — w generalnym konsulacie Rzeszy w Stambule — z niemiecką pięknnością panną von Pappen. Tam też można było zobaczyć — bodajże właśnie w niedzielę wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, jak przy jednym stoliku w zażywej komitywie obiadowali przedstawiciele Trzeciej Rzeszy w towarzystwie wsławionego nieudaną rebelią w Iraku — Raszid-Ali-Gaylaniego. Przy stolikach „Park-Otelu” krzyżowały się nici dyplomatycznej i szpiegowskiej walki, których dalsze tropy łatwo było ustalić. Jedne szły zgoła niedaleko. Do sąsiedniej kamienicy, wielkiego, potężnego, czteropiętrowego gmachu, swym wyglądem przypominającego szpital lub koszary. Tam, w wielu setkach pokoi, mieściła się skromna instytucja niemieckiego generalnego konsulatu. Konsulat krył centralę wywiadowczą i polityczną na cały Bliski Wschód.

Stambuł był dla agentów wszelkiego rodzaju bardziej dogodnym punktem operacyjnym, niż oddalona od Europy — Ankara. Dlatego też generalne konsulaty wszystkich państw były w Stambule rozbudowane bardziej, niż ich ambasady w Ankarze. Pod tym względem Stambuł przeżywał swoiste apogeum. Miasto,—po tamtej wojnie, w wyniku przewrotów w Rosji i przeniesieniu stolicy do Ankary — straciło bardzo na znaczeniu i było

jedynym miastem europejskim, którego ludność w stosunku do roku 1914 spadła, a nie zwiększyła się. Dziś przeżywało okres wtórnej koniunktury. Wprawdzie nie handlowej — jak dawniej — ale wyłącznie politycznej. W maju 1941 roku było ono w tej części świata najdalszym punktem wypadowym przeciw „niemieckiej Europie“. Dyplomaci i dziennikarze drżeli ze strachu i pakowali walizy, by w razie uderzenia Niemców jednym skokiem znaleźć się w Azji, ale równocześnie prowadzili ożywioną działalność. W czerwcu 1941 roku — koniunktura się wzmogła. Niebezpieczeństwo agresji minęło, natomiast miasto stało się najlepszym punktem obserwacyjnym wydarzeń na froncie wschodnim.

Ayas Pasza kwitła. Właściciel Park Otelu — robił majątek.

Pod numerem dwudziestym szóstym znalazłem tabliczkę z miłym sercu napisem „Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej“. Biura konsulatu mieściły się na drugim piętrze. Biuro, do którego szedłem, było na trzecim.

W placówce do cywilnej łączności z Krajem — na której czele stał mecenas Jerzy Kurcysz — przywitało mnie serdecznie. Depesze z Londynu już dawno awizowały przyjazd. Żadny prędkiej jazdy natychmiast otrzymałem solidną porcję zimnej wody.

Okazało się, iż nie miałem do czego tak bardzo się spieszyć. Mogłem jeszcze długo beztrudno wędrować po Afryce. Dalsza droga w tej chwili przedstawia się bardzo mgliście. Stambuł jest już ostatnim miastem kontynentu — poza Lizboną i Sztokholmem — do którego Polak może dotrzeć za legalnym paszportem dyplomatycznym. Bez dyplomatycznego — ze zwykłym — nawet do Turcji jest niestychanie trudno wjechać. Dalej istnieją już tylko nielegalne środki poruszania się. Są one

jednak teraz niezwykle utrudnione. Niedawno zakończona kampania bałkańska napędziła Turcji takiego strachu, iż na wszelki wypadek wysadzono w powietrze wszystkie mosty — zwykłe i kolejowe — łączące Trację z Bułgarią. Praktycznie przestała w tej chwili istnieć jakakolwiek komunikacja między Europą a Stambułem. Ponadto granica została silnie obsadzona tak przez oddziały bułgarskie, jak i „nasze” — tureckie. Właściwie istniał potencjalny stan wojenny i mowy nie było o tym, by można było teraz przejść zieloną granicą. Zresztą — przejść to jeszcze nie, ale co dalej? Parę tygodni wstecz — moi poprzednicy jeździli wygodnie ze Stambułu sleepingami dyplomatycznymi do Belgradu i dopiero stamtąd kierownik tamtejszej placówki łączności z Krajem „Kowal” przerzucał ich przez „zieloną” do Budapesztu, do „Fjałkowskiego”. Z Budapesztu do Warszawy była regularna łączność, funkcjonująca niemal z zegarkiem w rękę.

Na domiar złego „Kowal” od uderzenia Niemców nie dawał ani do Londynu ani do Stambułu, znaku życia. A raczej dawał, lecz bardzo dziwne. Po zajęciu Belgradu przysłał parę iskrówek wskazujących, iż ukrywa się przed Gestapo, podawał nawet jakieś punkty kontaktowe; później doszła depesza, której widocznie pomylono szyfr, gdyż była nie do odczytania. I cisza. Od tej pory nic. W wiele tygodni potem nadeszły mętne wieści jakoby „Kowal” został złapany, jakoby zdradziła go jakaś aktorka z którą się zaflirtował, jakoby ratując swą skórę przeszedł na służbę Gestapo, a później im uciekł. W tego rodzaju pracy wszystko było możliwe. Jak jednak było naprawdę — nie dowiedziałem się ani wtedy, ani nigdy potem. Fakt pozostawał faktem. Belgrad jako punkt pośredniego przerzutu przestał wchodzić w rachubę. Między Budapesztem a Stambułem była

teraz pustka. Należało zdobyć możliwości dostania się wprost do Budapesztu. Nota bene z Budapesztem korespondencja radiowa była fatalna, całymi tygodniami urywała się, gdyż ich aparat nadawczy rozgrzewał się w upalne lato i coś w nim wtedy nie grało, jak należy. Odbierał gładko, ale z nadawaniem był kłopot.

Być może, że z upływem czasu wyklaruje się nieco sytuacja, być może uda się założyć trasę przerzutów „zielonych“ z Turcji na Węgry, ale jest to kwestią tygodni, a tych jeszcze od końca kampanii bałkańskiej upłynęło zbyt mało.

Londyn — polski oczywiście — sugerował pomoc paszportową Amerykan. Ambasador nasz w Ankarze — Michał Sokolnicki — rozmawiał w tej sprawie z ambasadorem USA i prosił dla mnie o amerykański paszport dyplomatyczny. Spotkał się jednak z kategoryczną odmową. Kureyusz miał jeszcze parę pomysłów — wszystkie jednak one były jeszcze tylko pomysłami, — wobec tego nie pozostawało mi nic innego, jak czekać. Czekać na dwie ewentualności: albo znajdzie się jakaś możliwość dalszej drogi, albo też Niemcy ruszą naprzód i zajmą Stambuł, razem ze mną. *Tertium non datur...*

W każdym razie musiałem odczekać parę tygodni najmniej. Na Ayas Pasza, tuż obok albańskiej flagi, wynająłem u jakiejś lewantyńskiej rodziny miły pokój i rozpocząłem stambulski żywot, jako mieszkaniowiec ulicy dyplomatów i „urzędnik - nie - urzędnik“, „pracownik - nie - pracownik“, w każdym razie coś w tym rodzaju w Konsulacie Generalnym, ściśle mówiąc w naszej placówce. Dla moich gospodarzy i wszelkich innych ciekawskich nazywało się to praktyką konsularną. Musieli być zapewne bardzo zdziwieni, iż praktykujący urzędnik wysypia się nierzadko do południa, wraca koło północy;

pod tym względem robiłem najgorszą chyba reklamę polskiej pracowitości.

Cóż jednak mogłem innego czynić—czekałem. A jest to jak wiadomo czynność najbardziej demoralizująca ze wszystkich.

Tryb mego życia był zgoła przyjemny. Jedyną pracą było redagowanie i wydawanie po polsku i po francusku co dni dziesięć powielanego komunikatu o wydarzeniach w Kraju, przeznaczonego dla prasy polskiej i cudzoziemskiej, w Afryce i Azji. Relacjonował on terror okupacyjny, warunki życia, sprawy gospodarcze. Wiadomości tych mieliśmy dużo. Z trzech źródeł. Zznań Polaków, którzy mimo ograniczeń, wojny na Bałkanach, niebezpieczeństw i trudów, płynęli z Kraju wprawdzie cienkim, ale nieustannym strumieniem. Co dni parę przychodził ktoś, kto jeszcze przed paru tygodniami był w GG. Nierzadko zdarzali się przedziwni szczęśliwcy; złapani w czasie warszawskich łapanek, wywiezieni do Austrii, wiali po parodniowym pobycie do Jugosławii, stamtąd przez Bułgarię, lub — częściej — przez Rumunię, do Constanzy, i okrętem do Stambułu. Turcja dawała im prawo trzydniowego pobytu w Stambule, potem musieli jechać do polskiego obozu przejściowego do Messyny; stąd co dni parę zabierał ich polski statek do Palestyny.

Drugim źródłem informacji — źródłem bogatym i wprost bezcennym — były listy. Po parotygodniowej przerwie, gdy tylko między Bułgarią a Turcją podjęta została samochodowa komunikacja pocztowa — zaczęły nadchodzić w ogromnych ilościach. Wszystkie bez względu na adres przychodziły do konsulatu Ayas Pa-sza 26. Do Palestyny transportowano je naszą pocztą dyplomatyczną. Rząd polski udzielił nam prawa przeglądania tych listów. Była to kopalnia wiadomości o co-

dziennym życiu pod okupacją. A w tym czasie — zima, wiosna 1941 — życie to było pod względem materialnym (żywność, opał itp.) bardzo ciężkie. Ludzie pisali dużo i na ogół szczerze, znacznie szczerzej, niż przypuszczałem. O głodzie i o chłódzie, o śmierciach i nagłych nieszczęściach, o pogodzie i o urodzaju. Wszystkie listy miały stemple niemieckiej cenzury, jaka mieściła się bodaj że we Wrocławiu, wszystkie były mazane chemicznymi odczynnikami, po czym pozostawały ślady; rzadko jednak zdarzał się list, w który ingerowała wyraźnie cenzura niemiecka. Raz jeden — w trakcie dość długiej tam pracy — dostałem list, w którym cenzura wycięła wszystko, pedantycznie zostawiając pierwsze, powitalne i ostatnie „całująco-ściskające” zdanie wraz z podpisem. Na obu skrawkach papieru były stemple cyfrowe cenzury. Niektóre listy były szyfrowane, jakimiś umownymi zwrotami: były to zwykle listy ze Śląska, porywała je od razu „dwójka”, urzędująca na tym samym pięttrze, tylko w innym pokoju.

Trzecim źródłem informacji — była prasa niemiecka i gadzinowa wydawana w GG. Tak powstawał komunikat, który obficie cytowała cała prasa turecka, egipska, palestyńska, w Indiach i w Południowej Afryce.

Redagowanie i wydawanie komunikatów nie zabierało jednak wiele czasu, tym bardziej, iż w dyspozycji były rutynowane maszynistki, a powielacz obsługiwał woźny. Większość tedy godzin płynęła na błogim nieróbstwie, czemu znakomicie sprzyjał wściekły upał. Upał powodował, że całe popołudnia spędzałem w kinach, gdzie było chłodno i o tej porze jeszcze nie było tłoczno, więc i pcheł było mniej. Nigdy, ani przedtem ani potem, nie napatrzyłem się tylu filmom. Nigdy też nie byłem tak wielkim żarłokiem. Z nudów dawałem koncerty żarłoczności, co było tym sympatycz-

niejsze, iż w „europejskich“ restauracjach stambulskich przyrządzano jadła znakomicie. Znajomi kpili ze mnie, a ja śmiałem się, iż jadę do głodnej Warszawy, muszę więc odżywiać się na zapas. Nie przypuszczałem, jak wiele w tym żarcie było racji, choć nieco innej, niż sądziłem.

Zwiedzałem Stambuł i okolicę — korzystając z samochodu, jaki był przydzielony naszej placówce. Wreszcie spędzałem długie wieczorne godziny na ożywionych dyskusjach polityczno-ideowych, lub filozoficzno-religijnych. Nasze towarzystwo składające się z sześciu osób było nader zróżniczkowane pod względem przekonań i poglądów, pod względem wieku i temperamentów, choć wśród nas była tylko jedna kobieta. W upalne wieczory stambulskie wiodło się namiętne dysputy w którejś z wielu restauracji europejskich, w domu Kurcyusza, przy ciastkach w Park Otelu, w ogrodach i ogródkach, przeglądających się wraz z gwiazdami i księżycem w cudnym granacie Bosforu.

Towarzystwo nasze składało się z dwóch zasadniczych członów: z „placówki“ i z „bazy“. Placówka była organem ministerstwa spraw wewnętrznych i służyła do cywilnej i politycznej łączności z krajem. Placówki były rozrzucone we wszelkich możliwych stolicach dookoła okupowanego kraju: w Sztokholmie, w Budapeszcie, w Stambule, do niedawna były w Belgradzie i Bukareszcie. „Baza“ natomiast, jako organ szóstego wydziału sztabu Naczelnego Wodza — służyła do wojskowej łączności z krajem. Bazy były rozmieszczone jeszcze gęściej niż placówki.

Na czele placówki stał wówczas mecenas Jerzy Kurcusz, ongi znany przywódca ONR w Warszawie. Na początku wojny rozszedł się dosyć ostro ze swą grupą i jako bezpartyjny zjawił się w styczniu 1940 roku w Paryżu.

Przez min. Koła został zaangażowany na szefa placówki w Rzymie, potem (po czerwcu 1940 r.) przeniósł się do Grecji, by na koniec od pół roku urzędować w Stambule, opatrzonego oficjalnym tytułem wicekonsula. Jerzy Kurcysz to jedna z moich wojennych niespodzianek. W przedwojennych, szkolnych i akademickich czasach, wstrząsałem się dziwnym dreszczem na dźwięk imienia tego wodza ONR; do Stambułu jechałem więc raczej nasrożony na sztorc, a spotkałem człowieka nie tylko towarzysko uroczego, ale naprawdę mądrego i wyjątkowo uczciwego w swych poglądach, które już w tym czasie nader daleko odbiegły od przedwojennej linii. Teraz był to sceptyk-observator, uwolniony od partyjnego balastu obciążającego na ogół zdrowy rozsądek, przypatrywał się sprawom świata tego z dużą tolerancją i dobrą wolą zrozumienia wszystkich i wszystkiego. Nie znaczyło to bynajmniej, by zrozumienie miało być zawsze przebaczeniem, ale nie mniej było nim często. Ten człowiek o dobrym sercu — miał tylko jedną zasadniczą wadę. Wadę, która w normalnym życiu jest złotą zaletą, tu jednak była znacznym mankamentem. Ufał ludziom. Podczas gdy na swoim stanowisku, jako organizator przerzutów do Budapesztu ludzi, poczty i pieniędzy — w pierwszym rzędzie winien być podejrzliwym. Ta „wado-zaleta“ sprawiła, że w pierwszym okresie, gdy opisany chaos organizacyjny kusił by korzystać z przeróżnych przypadkowych okazji „dyplomatycznych“ (dyplomata — włoski, rumuński, węgierski, ba! nawet watykański godził się jadąc za paszportem dyplomatycznym do Budapesztu podać pod wskazanym adresem niewinnie wyglądający słownik, lub brewiarz!) — dał się niestety podejść różnym farbowanym lisom. Ten tylko ma prawo rzucać w niego kamieniem, kto sam siedząc w pracach tego rodzaju nie dał się nigdy

podejść. — W sumie Jerzy Kurcysz był jedną z bardziej sympatycznych postaci, jakie udało mi się poznać w czasie mej podróży.

Kurcysz na tym stanowisku był bezpartyjny. Była to swoista anomalia, gdyż w obsadzaniu ekipy placówek została ustanowiona bezsensowna zasada klucza partyjnego. Zasadniczo w skład każdej placówki winni wchodzić przedstawiciele czterech partii politycznych. To też prócz Kurcysza, byli tutaj dwaj jego zastępcy ze Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Narodowego, gdyż z dwóch dalszych nie można było znaleźć w Turcji odpowiednich kandydatów. Z S. L. był „Pawełek” Z. — zacy młody człowiek, bardzo solidny i dokładny Lwówianin, pozbawiony jednak energii — niezbędnej w tego rodzaju pracy. Należał on do naszego ścisłego towarzyskiego kółka. S. N. reprezentował Adam M., wyjątkowo fanatyczny, ciasny i niesympatyczny partyjnik. Darł on zaciekle koty z Kurcyszem, którego — jak mi się wydawało — chciał wysadzić z stanowiska kierownika placówki. Nie należał do naszego grona, kręcił się w innym kółku towarzyskim, utworzonym z urzędników konsulatu.

Wreszcie czwartym filarem placówki — a raczej drugim zaraz, po Kurcyszu — była panna Danką, o jakimś pseudonimowym nazwisku. Była to Lwówianka, jedna z niewielu kurierów ZWZ, jakiej udało się zimą 1940 roku przedostać z szyfrowanymi instrukcjami przez „zieloną” do Rumunii. Ładna, choć chuda jak szczapa, namiętna palaczka, wódy też za kołnierz nie wylewająca, — Danką „stambulińska”, — tak ją nazwała pamięć moja — była kobiecym elementem skupiającym to niewielkie wojenne grono. Jako sekretarka placówki — do której przeszła pokłóciwszy się kiedyś z „bazą” — była prawą ręką Kurcysza, znała wszelkie ta-

jemnice przerzutów i korespondencji i sprawnie dzierżyła w swym ręku wszystkich panów.

Wokoło tego zasadniczego trzonu—grawitowało parę innych osób, które zły się z sobą blisko. Byli to ludzie reprezentujący na gruncie tureckim poszczególne instytucje i ministerstwa polskie. Nazywali się ładnie „delegatami“. Był delegat ministra skarbu pan K., który już wkrótce po moim przyjeździe, wyjechał do Ameryki, na takież stanowisko. Reprezentantem ministra sprawiedliwości z zadaniem zabezpieczania dowodów dla ewentualnych spraw w przyszłości był zupełnie „wtopiony“ w placówkowe grono mecenas Blenau, dziekan Rady Adwokackiej w Warszawie, przedstawiciel demokratycznego liberalizmu XIX wieku. Dreszczem oburzenia wstrząsał się na przedziwne praktyki wieku dwudziestego, praktyki gwałcące na każdym kroku elementarne poczucie prawa, gwałcące samo prawo i godność ludzką. Był on kolegą gimnazjalnym mego ojca i rzecz zabawna — ten trzydzieści lat starszy ode mnie dzielnastowieczny liberał, niegdyś członek Narodowej Demokracji i ja ledwo w życie wchodzący szczeniak, który swoją polityczną kolebkę miał w polskim socjalizmie — rozumieliśmy się ze sobą najlepiej z całego tego grona. Rozumiałem i czułem jego moralne oburzenia i refleksje, — jakich nie podzielali moi towarzysze z tego samego pokolenia.

Blenau z fachu prawnik, — z zamiłowania był historykiem, z pasji — historykiem religii. Czyż można było znaleźć — w tym czasie — lepszego przewodnika po mieście, które nosiło niegdyś nazwę Bizancjum, i tłumacza przedziwnych zjawisk religijnych i kościelnych jakie powstały w mieście trzech obrządków i dwóch kultów?

Prócz grona „placówki“ — było jeszcze grono „ba-

zy". Pięciu panów — czterech oficerów zawodowych i jeden dziennikarz pod wodzą pułk. Kr. — tegoś bi-bosza i nie mniej tegoś blagiera.

Polonia stambulska nie była liczna. Masy emigrancie nie zatrzymywały się tutaj, lecz jechały dalej, do Palestyny, do Egiptu, na Cypr. Może ten i ów chciałby zakotwiczyć się w Stambule, ale Turcy stanowczo byli temu przeciwni i srogo prześladowali tych wszystkich, którzy bez specjalnych zezwoleń przebywali tutaj dłużej niż trzy tygodnie. Mimo to — Polacy — czasu tej wojny zawsze i wszędzie w niezgodzie z wszelkimi obowiązującymi prawami, usiłowali umykać przed wścibską i agresywną policją turecką. Czekając na uzyskanie pozwolenia — chowali się jako chorzy po zakaźnych oddziałach miejscowych szpitali, zapadali na wieś, dokonywali masy różnych cudów, jakich wojenna potrzeba tak dobrze nas nauczyła. Temu i owemu udawało się w końcu uzyskać takie pozwolenie — większość jednak musiała jechać dalej. Fala Polaków, którzy w wielkiej obfitości przyjechali tu jesienią 1940 roku, gdy Rumunia zerwała stosunki dyplomatyczne z rządem polskim i wysiedliła wszystkich urzędników polskich placówek — spłynęła teraz do Palestyny. Pozostało kilkanaście osób, urzędników ambasady czy konsulatu generalnego, placówki i bazy, oraz paru przedstawicieli polskich instytucji, przydających się zawsze tam, gdzie było nieco Polaków. Prócz nich było jeszcze spore grono polskich inżynierów i techników, lecz ci znajdowali się w Ankarze.

Poza rzeczywistość odpowiedzialną pracą placówki i bazy — reszta polskiego zespołu nie miała wiele do roboty, a że otrzymywane pensje na ogół starczyły by żyć, bez luksusu ale i bez specjalnie dotkliwych ograniczeń, więc też kilkunastoosobowe grono bytowało beztrząsco i spokojnie. Brak wielkiego skupienia rodaków zapobiegał

wielkim intrygom i wielkim namiętnościami, jednak rozdził małe intryżki i małe namiętności — typu raczej towarzyskiego. Początkowy strach, iż Stambuł stanie się ofiarą niemieckiej napaści — w czerwcu przeminał i emigracyjne życie toczyło się błogo. Rozrywki kulturalne sprowadzały się do książek i kina. Książki były na ogół francuskie i niemieckie, filmy były angielskie. Rozgrzany upałami czas ciekł powoli, a wojna stawała się coraz bardziej interesująca. Politykowano i dysputowano tym zawzięciej im spokojniej można było to robić. Roznamiętniano się podczas wspólnych obiadów u rosyjsko - polsko - lewentyńskiej — taki konglomerat narodowościowy nie jest tu rzadkością — rodziny Białobłockich — by potem chłodzić swe temperamenty nad lodami „Park Otelu“ czy u „Lebona“ na Perze.

W europejskim i polskim ghetcie na Ayas Pasza w Istambule żyło się wtedy nader przyjemnie.

TURECKIE ROZDROŻA

Widziałem wiele krajów, gdzie urzędy i instytucje chorują na wywieszanie portretów swych mężów stanu. Niedawno bawiłem w kraju, gdzie w kinie po każdym przedstawieniu odgrywany jest hymn narodowy, a herb króla jest nagrodą dla firm — dostawców dworu. Obecnie jednak znajduję się w kraju, który pod tym względem przeszedł wszystko, co widziałem. Może dlatego, iż jest on kontynuacją starożytnego Bizancjum, od którego nie bez racji wiedzie się określenie „bizantynizm“. Mimo woli nasuwa się tutaj skojarzenie z hitlerowskimi Niemcami, którzy też każde możliwe miejsce prywatnego i publicznego życia ozdabiają portretem swego Führera. — W Turcji wszędzie gdzie jest to tylko możliwe: w gabinetach i urzędach, w luksusowych magazynach i najlichszych sklepikach, w mieszkaniach prywatnych i w domach publicznych — wisi na ścianie mała półeczka a na niej stoi gipsowy biust Kemala Paszy, Ata-Türka — Ojca Turcji.

Kemal Ata-Türk — to ciekawa figura. Jeszcze jeden z cyklu tych dyktatorów, którzy oglądani z bliska tracą nimb aureoli, jaka ich otacza z daleka. Z daleka w Kemal Paszy, mimo iż był dyktatorem, uznaje się człowieka, który zeuropeizował, a przynajmniej rozpoczął europeizację sułtańskiego kraju. Z bliska dojrzeć i dosłyszeć można, jak miejscowa ludność zwąc go „Ojcem Turcji“ równocześnie błogosławi bogi, które Kemal tak

namiętnie zwalczał — za to, że wreszcie krwawego dyktatora powołały do niebios. Kemal Ata-Türk — postać, po dziś dzień budząca niepokój. Wprawdzie w greckotureckiej wojnie wyzwolenczej zrzucił okupację, przegnał z Azji Mniejszej Greków, Francuzów i Anglików — ale też wyzwoliwszy naród politycznie i narodowo — wpędził go w niewolę obyczajową i wewnątrzno-polityczną. Ten odważny generał był zdania, iż sprawy obyczajowo-religijne równie można rozstrzygać jednym cięciem miecza, jak rozstrzyga się bitwę jednym brawurowym atakiem. Postanowił zeuropeizować Turcję. Zeuropeizować znaczyło u Kemal Paszy w pierwszym rządzie zlaicyzować. To znaczy wyrzucić kapłanów mużmańskich, nakazać jednożeństwo, upelnoprawnić kobiety, znieść haremy, zabronić noszenia fezów i czarczafów. Ponadto zeuropeizować: — to zmienić odwieczny turecki alfabet na współczesny, używany w całej Europie. Ludność przywiązana do wiary ojców i wiekowych obyczajów wystąpiła przeciw reformom. Rewolucja obyczajowa dokonała się z dnia na dzień dekretemi Ojca Turcji. Pewnego poranku roku dwudziestego trzeciego Turcy przestali raptem umieć czytać i pisać. Cały naród stał się narodem analfabetów. Muezzinów — kapłanów mahometańskich — zaczęto w miastach wieszać po latarniach, gdyż nie chcieli dobrowolnie akklamować jednożeństwa. Nie chcieli oni i nie chciał naród. Krwawy terror stał się u poczęcia Wielkiej Reformy. Wówczas wszystkie latarnie stambulskich ulic przyozdobione były ciałami kapłanów. Ludność żyła w okrutnym strachu. Terror obyczajowy przerodził się w terror polityczny. Tak radykalne reformy można było przeprowadzać tylko przy braku opozycji politycznej. Uwolniwszy kraj od wrogów wewnętrznych dyktator, któremu przewróciło się w głowie, uznał siebie za pomazańca historii,

mającego nauczyć Turcję nowego życia. Do tego była potrzebna jednomyślność. Zlikwidowano opozycję nie mniej krwawo niż opornych kapłanów i dobiega końca drugi lat dziesiątek od tych wydarzeń — a w parlamencie tureckim w dalszym ciągu nie ma opozycji, w dalszym ciągu zasiada tylko jedna, jedyna partia — partia rządowa. W dalszym ciągu nie ma w Turcji wolnego politycznego życia, w dalszym ciągu jest tylko prasa nastawiona pro-rządowo. Przed osiemnastu laty terror szalał, a Kemal Ata-Türk, gdy przychodziły nań chwile zwątpienia, uciekał na swój wspaniały jacht, zamykał się w kabinie i przez parę dni zrzedu zapijał się ohydłą wódką „raaki“, która ma smak europejskiej pasty do zębów.

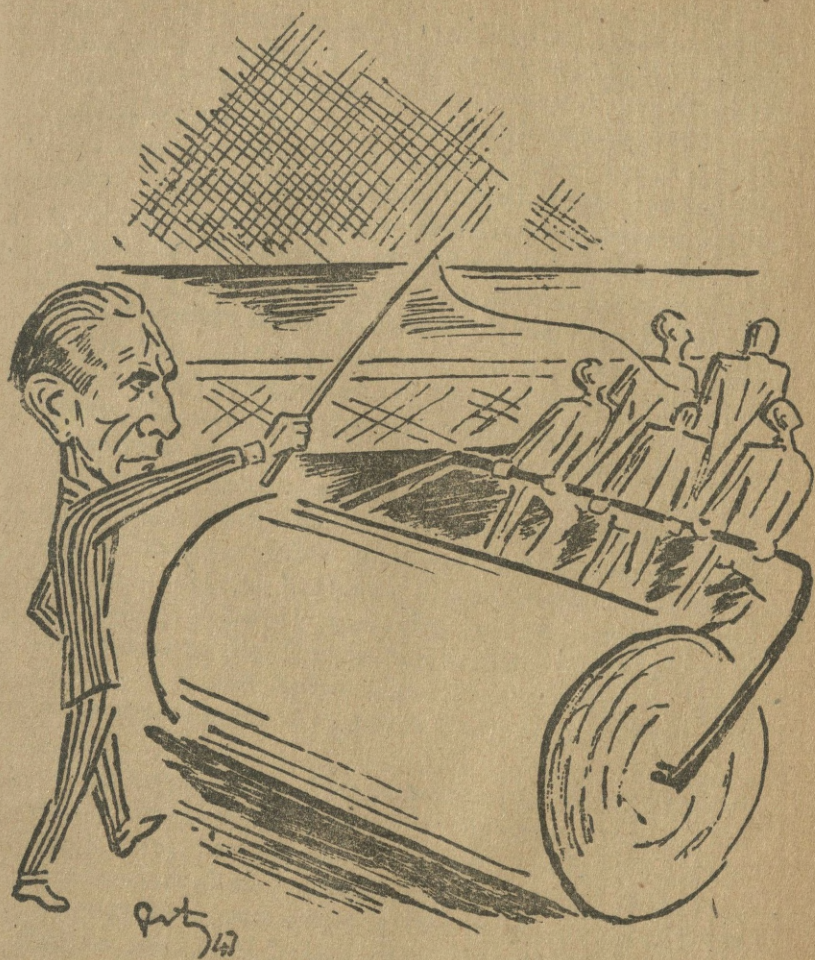
Turcja przedstawiała się oplakanie! Wojny wieku dwudziestego zmniejszyły wielkie Imperium Otomańskie — do Azji Mniejszej i skrawka Tracji. Ten jeden fakt wystarczyłby zupełnie. by państwo tureckie zapadło w ciężki kryzys. Azja Mniejsza jest krajem bardzo pustynnym i bardzo ubogim, a na Turków przestały pracować dotychczas podbite narody. Na domiar kraj był wyniszczony prawie trzyletnią wojną wyzwolenczą, jaka toczyła się na jego własnej ziemi. Wtedy zjawił się Kemal Ata-Türk i chorej ojczyźnie zaaplikował dawkę końskiego lekarstwa: europeizację z gołziny na godzinę. Naród turecki w ciągu lat paru utracił swe imperium, zabrano mu jego religię i dostał się w polityczną niewolę wewnętrzną.

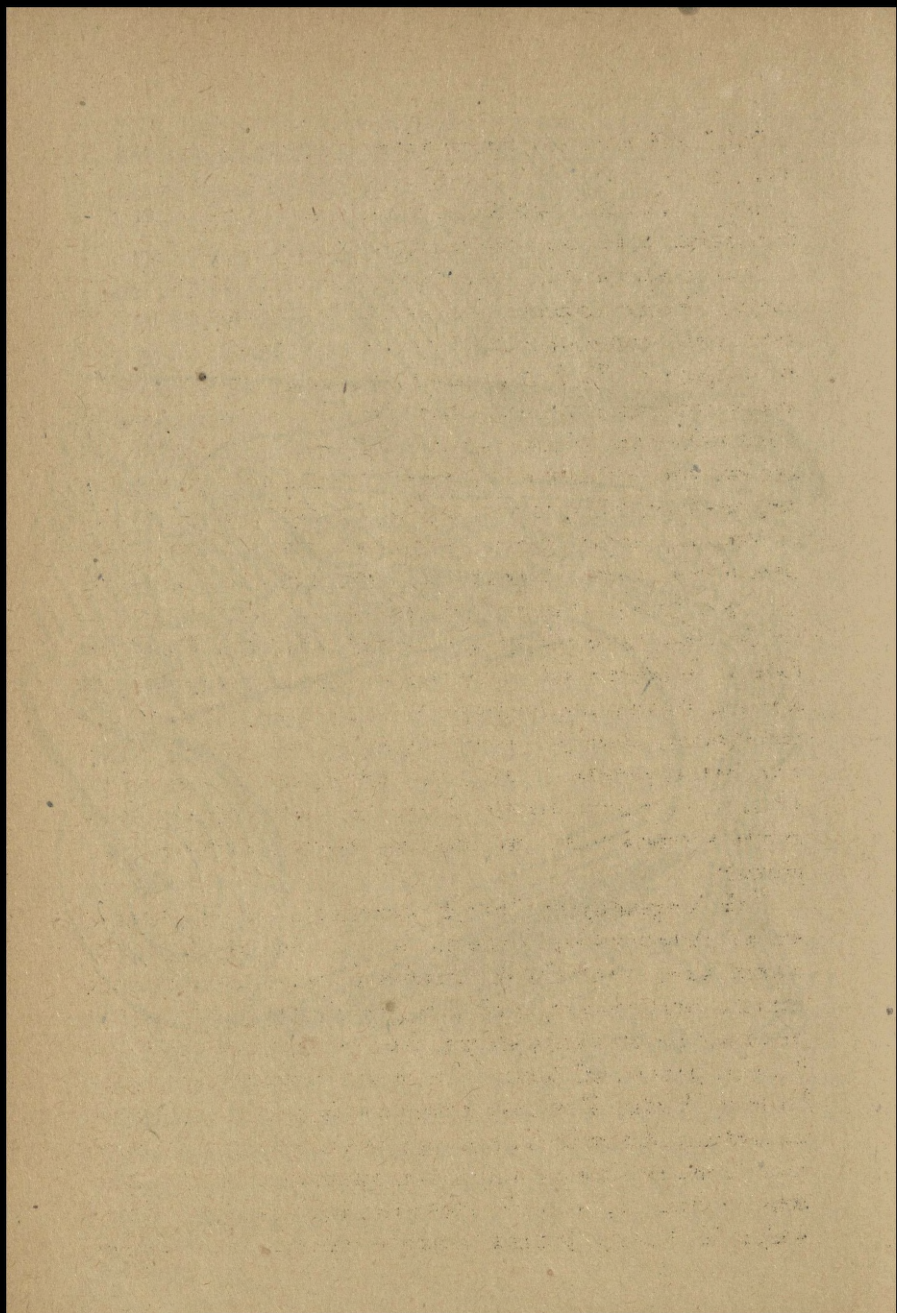
Nic dziwnego tedy, iż naród jest krańcowo wyczerpany; kryzys wewnętrzny trwać będzie jeszcze długie lata.

Gdy Kemal Pasza przed paru laty na koniec umarł — zmaltretowana ludność odetchnęła. Następcą Kemala został wybrany İsmet İnönü — jego bliski współpracow-

nik, znacznie spokojniejszy i rozsądniejszy. Człowiek ten rozumie, że podobnie wielkich reform obyczajowych nie dokona się ani jednym pociągnięciem pióra pod dekretem ani też w przeciągu życia jednej generacji, a do tego w kraju mającym oświatę powszechną i elementarną w zupełnych jeszcze powijkach. Ismetu Ineunu, a w każdym razie jego rządzący dziś współpracownicy, pojęli, iż szczepienie zostało przez Kemala w sposób gwałtowny dokonane, teraz trzeba czasu, by szczepionka rozeszła się po całym organizmie. I trzeba spokoju.

Jak dotąd rezultaty kemalowskiej reformy są bardzo nikłe. Tak zwana europeizacja została dokonana tylko w miastach, a tych poza Stambułem i Ankarą Turcja prawie nie ma. Wsie pozostały nieczułe na nowinki, a nawet przez udzielenie przytułku wypędzonym z miasta kapłanom — stały się redutami starotureckiego obyczaju. W miastach zasada poligamii i tak była przestrzegana już dawniej, przede wszystkim z przyczyn materialnych. Stambuł był zawsze miastem, na którym międzynarodowy, europejsko-lewantyński żywioł wyciskał zasadnicze piętno. Nie trzeba było aż Ata-Türka, by nowoczesną „konstantynopolitanki“ chodziły w jedwabnych pończochach, nie kryły swych kształtnych łydek wśród bufiastych spodni, nie przysłaniały wymalowanej twarzyczki. Inteligencja i plutokracja turecka europeizowały się same, bez Kemala. Proletariat i wieś pozostały niewzruszone. Po staremu, po cichu, konspiracyjnie, bierze się wielokrotne śluby. Po dawnemu kobiety po wsiach, gdy są między swoimi, gdy nie boją się kary — zasłaniają twarze. Gdy udają się do miast, tam gdzie policjant może zaaresztować za przysłanianie twarzy czarczafem, — przykrywają sobie brodę i usta rąbkiem szala przytrzymywanego dłonią, jak przy bólu zębów. Nauka nowego alfabetu odbywa się tylko dlatego





rażniej, niż upowszechnienie się innych obyczajów, iż ucza go w szkole i w wojsku, a wymagają w każdym urzędzie. Pisma i książki są drukowane tylko alfabetem łacińskim, z używaniem niemieckich „umlautów”.

Rzecz oczywista — raz ruszony kamień będzie się już toczył. Wprowadzenie alfabetu łacińskiego wytworzyło możliwość komunikowania się kultury zachodu z kulturą miejscową. To będzie już rozwijać się dalej siłą własnego rozpędu. Sprawa dźać się jednak będzie powoli, gdyż dekretem można skasować alfabet turecki, ale dekretem nie wybuduje się szkół, nie stworzy powszechnej oświaty, nie postawi się na odpowiednim poziomie przemysłu, teraz jeszcze prymitywnego. Wiele wody przepłynie przez Dardanele, nim następcy krwawego Ojca Turcji zbierać będą żniwo — zgoła niepodobne do tego, jakie siejąc wyobrażał sobie Ata-Türk. Będzie to zapewne jakaś środkowa między współczesną kulturą świata zachodniego, a przepisami religii maho-metańskiej, która jak inne religie nie ma powodu wyjść z tej walki pobitą. Uczyni ona szereg koncesji na rzecz życia — i trwać będzie dalej, na pociechę duchową swym wyznawcom, i na pożytek swym prorokom i kapłanom.

Tak wyglądająca Turcja wkroczyła w erę drugiej wojny europejskiej, z mocną a rozważną wolą, zachowania swej neutralności możliwie najdłużej. Turcja chciała neutralności, a obie bijące się potęgi chciały ją przeciągnąć na swoją stronę. Raz po raz przebiegły von Pappen przywoził Ismetu Ineunowi odręczne pisma od Hitlera. Wielka Brytania postępowała podobnie, acz inną metodą. Karmiła Turcję tak żywnością jak uzbrojeniem, samochodami i wszelakim sprzętem. Wielka Brytania chciała, by w razie uderzenia niemieckiego Turcja walczyła. Turcja jednak szukała innych metod zabez-

pieczenia swej niepodległości, słusznie wątpiąc w celowość oporu militarnego.

Armia turecka prezentowała się nader prymitywnie, a jej skład żołnierski nie rokował wierności republice. W dniach mego przyjazdu do Turcji odbywały się w tym kraju formalne łapanki rekruta; łapano Ormian, Greków, Żydów i innych mniejszościowych „obywateli“, których w pierwszym rzędzie mobilizowano do wojska, być może obawiając się z ich strony jakichś kroków dywersyjnych. Oporni wojskowej służbie ukrywali się w labiryncie stambulskich bazarów. Policja otaczała bazy i brała ich głodem. Jak na wiek dwudziesty — zupełnie nowoczesna mobilizacja. Na złapanych w ten sposób do wojska — ćwiczone najgorszego rodzaju szowinizm. Na przykład: nie pozwalając im pisać do rodzin w innym języku, jak tureckim. Ponieważ często delikwent ani jego rodzina nie umieli po turecku — więc albo wcale nie pisano albo przy czytaniu i pisaniu trzeba było posługiwać się tłumaczami, co jak wiadomo znakomicie wpływało na serdeczność i szczerość korespondencji. Turcja jest krajem, który przechodzi ostrą gorączkę skrajnego nacjonalizmu.

Nic dziwnego, iż nacjonalistyczne, totalne państwo nie miało specjalnie powodu ufać swym obywatelom, iż bić się będą dzielnie za turecką ojczyznę. Gwarancje mocarstw odległych, Ameryki, czy Anglii, zainteresowanych tym, by nad Dardanelami trzymało straż państwo nie nadto silne i nie nadto samodzielne — też w tej chwili nie miały wobec niemieckiego sąsiedztwa żadnego waloru. Turcja zachowując przyjaźń wobec Aliantów — szukała porozumienia z Niemcami.

Z południa napływała broń i żywność angielskie, a z północy napływali agenci niemieccy, których główną bazą był niemiecki konsulat w Stambule. Jak dalece

Niemcy przygotowywali sobie ewentualną bazę w Turcji, niech świadczy ciężka praca urzędników tureckich placówek dyplomatycznych, których p. ambasador von Pappen zapędził do forsownego walcowania placów tenisowych w Yaninie nad Bosforem. Place to miały stworzyć połowe lotnisko dla wojsk niemieckich.

Niemcy ruszali się ostro. Wychodzący w Stambule „Türkische Post“ przemawiał takim tonem, jakby na Perze urządował już Gauleiter von Pappen vom Gau Klein-Asien.

Równocześnie jednak nie prześladowano kontr-akcji państw sprzymierzonych, które też z całym rozmachem wykorzystywały Stambul, jako bazę antyniemieckiej działalności dywersyjnej.

Na oficjalnych recepcjach u Prezydenta — przyjmowano oddzielnie dyplomatów niemieckich i osiowych, oddzielnie zaś dyplomatów alianckich.

Przez Turcję przechodziły linie łączące buntownika irackiego Raszid-Ali-Gaylani z Berlinem.

Cały maj minął pod znakiem oczekiwania na niemieckie uderzenie. Dziwiono się, iż poszło ono na Kretę, a nie na Turcję. Tłumaczyliśmy sobie, iż jest to generalna próba przed uderzeniem na Wyspy Brytyjskie. To uspokajało trochę stambulskich dyplomatów. Jeszcze mają czas z wyjazdem!

Tymczasem w połowie czerwca wystrzeliła raptem polityczna bomba. Już Kreta była obsadzona przez Niemców, gdy na pierwszych stronach dzienników ukazało się zawiadomienie, iż między Trzecią Rzeszą Niemiecką a Republiką Turecką został zawarty pakt wzajemnej przyjaźni. Zagwarantowano sobie wzajemne granice, obiecano przyjaźń i — co ciekawsze — zobowiązano się do wzajemnego unikania ataków w prasie. Z obu stron złożono przy tym zapewnienia odwiecznej

przyjaźni. Z tą jedyną różnicą, iż równocześnie turecki minister spraw zagranicznych, Saracoglu, gorąco zapewniał w swoim parlamencie, po podpisaniu traktatu przyjaźni z Niemcami, iż w niczym absolutnie nie narusza on sojuszu z Wielką Brytanią i że wielki brytyjski sojusznik był nieustannie informowany o przebiegu rozmów turecko-niemieckich.

Była to sensacja równa uderzeniu na Kretę i ucieczce Hessa, ale znacznie bardziej obchodząca stambulski świat dyplomatyczny, gdyż za zapewnieniami o podobnie gorącej przyjaźni łatwo może pójść usunięcie z Turcji wszelkich placówek takich jak jugosłowiańska, polska, grecka, holenderska i innych.

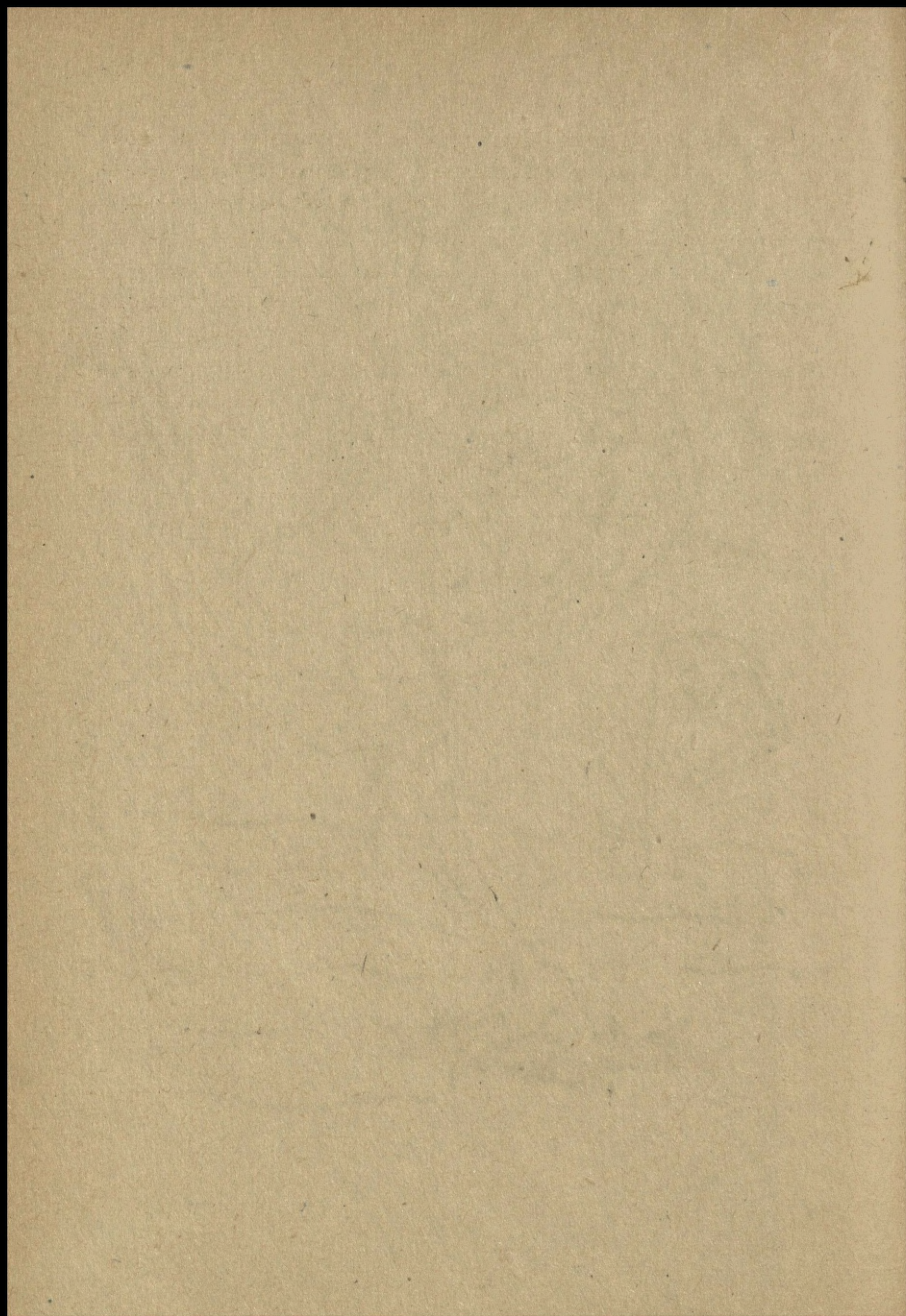
Bieg wypadków mógł pokrzyżować pracę naszej grupki. Zaczęto wobec tego gwałtownie montować drugi, zakonspirowany skład bazy i placówki, które miały w razie jakichś komplikacji pozostać w Stambule na stopie zupełnie nielegalnej.

Mijały jednak dni, a Turcja nie zmieniała swego stosunku do nikogo. Rozpoczęto tylko prace nad odbudową mostu kolejowego łączącego Trację bułgarską z Tracją turecką.

8 czerwca zaczęto walki w Syrii. Syria — mandatowy kraj, w którym rządzili urzędnicy wierni Vichy, była bazą niemiecką. Anglicy oczyściwszy Irak, zabrali się z kolei do Syrii. Siły brytyjskie i „degaullistowskie” uderzyły od strony Palestyny i Transjordanii. Zahamowany został dowóz z południa i w Stambule rozpoczęły się trudności z chlebem.

Obecnie pytaliśmy się z niepokojem jedni drugich, czy czasem Niemcy nie pośpieszą przez Turcję z pomocą walczącym żołnierzom Vichy. Obserwatorzy hotelowi sygnalizowali jednak, iż ruch niemieckich „turystów” odbywa się raczej z południa do Europy, a nie odwrotnie.





Wszystko było bardzo dziwne. Turcja wyraźnie stała na jakimś rozdrożu. Być może, iż już wtedy wiedziała jaką drogą pójdzie. Po wszystkich klęskach tego- i zeszłorocznych, po ostatnim „laniu“ na Krecie — każdy z nas był pesymistą. Wydawało nam się, iż lada moment nastąpi uderzenie na Wyspy. Wielka Brytania zostanie podbita, ośrodek brytyjskiego oporu przeniesie się na Grenlandię. Turcja widocznie ubezpiecza się na taką ewentualność. Czułem, że mi się tutaj ziemia pali pod nogami i piłem Kurcyusza o dalszą moją drogę. Chciałem być jak najprędzej możliwie blisko Kraju.

MIASTO POTRÓJNEJ WIELKOŚCI

Gdy stałem w księżycową noc pod Piramidami — czułem wielkość historii. Przerazał mnie ogrom głazów spiętrzonych jeden na drugim i wiedziałem — rzeczywiście wiedziałem — że ileś tam wieków przede mną działy się tutaj sprawy wielkie. Podobną świadomość „czasu historycznego“ miałem na placu św. Marka, przy pałacu Dożów lub patrząc na wąskie okienka cel więzienia Ołowianego. To samo czułem wśród podcieni Padwy i na placykach Mantui. Wreszcie zdawałem sobie dobrze sprawę, że stoję w obliczu ważkiego czasu przeszłego — gdy wałęsałem się w Tuilériach, gdy wypatrywałem w słońcu grymasy potworków na Notre Dame.

Kiedykolwiek dawnymi laty oglądałem na fotografiach i obrazach prześliczną panoramę wielkich meczetów w starym Konstantynopolu, kiedykolwiek z zapartym tchem czytałem dzieje tego fantastycznego miasta, którego światowa kariera była mniej monumentalna od kariery Rzymu, mniej świetna od Paryża, ale za to najbardziej dziwna, rozmaita, fascynująca swą tajemniczą niezwykłością — jedyne wielkie miasto świata, które trzykrotnie zmieniało nazwę! — wyobrażałem sobie, że turysta przebiegający przez uliczki Stambułu (czy jak chce konstytucja turecka Istambułu!) odnajdzie w nim natychmiast, odczuje z całą siłą, wieczność Bizancjum i wieczność Konstantynopola.

Niestety! Miast Bizancjum, miast^o Konstantynopola

odnalazłem tylko Istambul — lewantyńskie miasto, znajdujące się w granicach państwa tureckiego, położone nad Bosforem.

Ludy, które dzisiaj rządzą i panują w mieście potrójnej wielkości — stolicy wschodniej Imperium Romanum, stolicy Imperium Wschodniego, wreszcie Imperium Ottomańskiego — nie mają zrozumienia dla historycznych wartości. Może dlatego, iż są w istocie tylko zaborcami. Wspaniałe zabytki przeszłości są zaniedbywane i zapomniane. Zawód konserwatora sztuki nie musi być w tym kraju źródłem honoru ni profitu. Nikt nie opiekuje się świadectwami i pomnikami przeszłości. Nikt nie myśli o tym, że należy udostępnić swojemu narodowi, i przybyszom, piękno dawnych meczetów, że należy im objaśnić stare mury, że historii należy się opieka. I to specjalnie w mieście, którego imię stało na granicy czasów nowożytnych, które jest — a raczej mogło być — jakąś arką przymierza „między starymi a nowymi laty“. O tym zdaje się nikt tak wśród Turków, jak Lewantyńczyków, nie myśli, a przynajmniej nie widać efektów takiej troski. Miast fascynować przybysza wielkością swej historii — odstrasza się go brudem, zatruią smrodem, zięjącym z starych uliczek stambulskich. Brud, fetor i zaniedbanie — to może jedyne historyczne pamiątki, które tradycyjnie otacza się troskliwą opieką.

Centralnym punktem historii miasta jest — tradycja i konwenans tak każą — ten zakątek starego Stambułu, położonego na zachodnim brzegu Złotego Rogu, rzeczki wpływającej do Bosforu — w którym niedaleko siebie sąsiadują legendarne Ogrody Seraju i dwa wielkie, największe w mieście meczety: Ajas Sofia i Mahometa Alego.

Ogrody Seraju są już dziś, — zresztą zawsze były —

najzwyklejszym, ładnym parkiem miejskim. Zamiast hurys z nocy tysiącznej i pierwszej — spacerują po nim francuską modą ubrane i umalowane Lewantynki, służące pchają wózki z małymi dziećmi, mężczyźni wygrzewają się na ławkach! Park cały jest pięknie położony, zbiega w stronę Złotego Rogu, cieszy soczystą zielonością w upalne dni pełne kurzu. I niczym nie różni się od wielu parków w europejskich miastach.

Meczet Mahometa Alego — spośród innych meczetów stambulskich wyróżniający się wspaniale smukłymi i niebotycznymi minaretami — niestety nie jest do zwiedzania. Niestety nie może być obejrzany z bliska i od środka. Wobec pogotowia wojennego Turcji — zamieniony został na koszary. I to koszary kawalerii. Meczet został zlaicyzowany. Ciekawy turysta może tylko na placu przed meczetem, w środku małego trawiastego skwerku dojrzeć dziwny, niewysoki, zielony postument. Koło postumentu chodzą obojętni przechodnie, turystom żadna tablica nie zwraca nań uwagi. A tu historia na nas patrzy... Wprawdzie nie czterdzieści, ale w każdym razie dwadzieścia pięć wieków. Postument jest ni mniej ni więcej tylko owym sławnym trójnogiem, splecionym z trzech węzów z brązu, na pamiątkę wielkich zwycięstw Greków nad Persami. Dziś trzy węże postradały swe głowy, pozostały tylko splecione korpusy, świadcząc o wieczności historii tej części ziemskiego globu. Przechodzień winien chylić tu głowy, lecz nie czyni tego na ogół; mijając postument ma odwróconą głowę i przypatra się życiu żołnierzy tureckich, widocznych na podworcu meczetu Ali Mahometa, ongiś najwspanialszej podobno świątyni Konstantynopola, dziś koszar Istanbuhu.

Laicyzacja nie ominęła i drugiego wielkiego meczetu — sławnej na obu półkulach Ayas Sofii — meczetu świętej Zofii. W tym wypadku jednak nie zamieniono

go na koszary czy biura, lecz na muzeum. Obejrzawszy z daleka kontrastową, a jednak harmonijną architekturę pękatych kopuł i wysmukłych minaretów — za kilkanaście kuruszy możemy obejrzeć muzeum. Ayas Sofia była ^{od} ~~od~~ piętnastego wieku bazyliką Świętej Zofii. Po roku 1453 przebudowano ją na meczet. Meczety nie znają przepychu wewnątrz kościołów katolickich. Wobec tego gorliwi wyznawcy Proroka zapaćkali, zasmarowali, zagipsowali freski i ściennie mozaiki jakąś ohydą gliną, pod którą tkwi jeszcze większa część ścian świątyni. Prace konserwatorsko-odkrywcze rozpoczęło po przelamaniu przez zagranicznych uczonych oporu Wysokiej Porty — dopiero w drugiej połowie zeszłego stulecia. Po reformach Ata-Türka tempo prac nie wiele się wzmożło. Dziś zaledwie część ścian uwolniona jest od paskudnego gipsu. Ornamenty ściennie zostały przeważnie zupełnie zniszczone. Zachowały się nieliczne freski i parę mozaiek. Ot i wszystko, co pozostało tutaj ze świetności cesarstwa wschodniego. Pozostało mało i całą Ayas Sofię zwiedzić można w pół godziny. Pozostały zaledwie ślady wieczności. Prace nad oczyszczeniem świątyni z żółtego wapna trwają nadal, ciągle jednak zbyt wolno, jak na potrzeby tych dzieł sztuki, które dałoby się jeszcze ocalić. Ot! municypalny i państwowy pietyzm dla trzykrotnej wielkości.

Najpiękniejszym dziś meczetem Stambułu nie jest jednak Ayas Sofia.

Mało kto o nim wie, wycieczki zrzadka tam trafiają. Z zewnątrz wygląda zgoła niepozornie. Krótki, grubasny minaret nie wabi oka turysty. Jakieś potworne przedmiejskie rudery obudowały wejście tak dokładnie, iż trudno domyśleć się, że wśród nich znajduje się cacko niezwykłej piękności. Jest to meczet przerobiony swego czasu z katolickiej świątyni. Gdy konserwatorzy zgrze-

bali ze ścian mur żółtego wapna — odsłanili szczerozłote mozaiki, wyobrażające sceny z życia świętych. Cały — zresztą niewielki niestety — przedsionek meczetu ozdobiony jest tymi kosztownymi i pięknymi ornamentami. W każdym innym mieście Europy takiej wartości zabytek sztuki udostępniono by turystom i miłośnikom piękna; usunięto by zabudowujące go kamienice, zrobiono dojazd, pisano by o nim, ustawiono by drogowską. Tutaj... nic podobnego. Nikt się o to nie troszczy. Meczet zapada się powoli w ziemię, chałupy przysłaniają go coraz gruntowniej przed ciekawością turystów.

To samo jest wszędzie. Bramę Konstantyna obudowano straganami tak dokładnie, iż przejechać nawet przez nią trudno. To tylko daje się podziwiać turystom, co wysokie, czego nie można zakryć — minarety wielkich meczetów, czy wysmukłe, strzeliste, przeszła starego akweduktu.

Niestety laicezacja państwa pociąga za sobą niszczenie jego historycznych pamiątek. W meczecie Alego Mahometa umieszczono koszary, a stare mahometańskie oryginalne cmentarze, będące lasem kamiennych maczug wbitych w ziemię, wskazujących głowicami plec nieboszczyka — rujnuje się, by tamtędy zakładać nowoczesne autostrady.

Jedno jedyne miejsce w Stambule, gdzie odnalazłem kult przeszłości — choć tej najbliższej, ottomańskiej — to muzeum wojskowe. Kult wojska jest zawsze cechą charakterystyczną totalnego państwa. Muzeum jest rzeczywiście niezwykle oryginalne i bogate; zawiera ekspozyty ilustrujące uzbrojenie, umundurowanie armii tureckich od czasów z przed zdobycia Konstantynopola do wielkiej wojny i wojny oswobodźczej Kemala Paszy. Oryginalne i bogate muzeum — przedstawia się jednak niczym rupieciarnia. Ekspozyty ułożone są jeden obok

drugiego, jak w magazynie, bez żadnej dbałości o reakcję widza, przytłaczanego po prostu masą okazów, wśród których, dzięki fatalnemu ułożeniu, trudno mu się zorientować.

Na domiar złego w muzeum jest niesamowity fetor, wypłaszający co wrażliwszych gości. Jest ono masowo odwiedzane przez żołnierzy i oficerów. Zjawisko, tym ciekawsze, że wojskowi ci uczęszczają, jak się przekonałem, do muzeum zupełnie spontanicznie, co dowodzi, iż armia potrafi rozbudzić w ciemnych chłopach z tureckich prowincji zainteresowanie dla rodzimej historii. Niestety — tak oficerowie jak żołnierze tureccy — po prostu śmierdzą. Trudno jest długo wytrzymać w ich towarzystwie.

Muzeum wojskowe — to obok dworca kolejowego jedna z tych niewielu instytucji publicznych, gdzie spotykają się dwie warstwy, dwie grupy mieszkańców miasta — grupa turecka i grupa europejska, lub cudzoziemska. Stambuł leży już w Europie — obowiązują tu jednak jeszcze zwyczaje wschodnie: Europejczycy żyją w swoim getcie, podkreślanym silnie wzajemną ignorancją językową.

W Stambule jednak między obu grupami: autochtonami i cudzoziemcami istnieje jeszcze trzecia grupa, w tym międzynarodowym mieście najliczniejsza, nadająca ton miastu. Lewantyńczycy. To właściwi obywatele stambulscy.

Między Turkami a Europejczykami jest przepaść. Oczywiście chodzi o masę ludności tureckiej, a nie o elitę, zupełnie zeuropeizowaną, zupełnie przesiąkniętą jedną z trzech kultur: najczęściej francuską, rzadziej niemiecką czy angielską. Masa turecka żyje na niesłychanie niskim i prymitywnym stopniu cywilizacyjnego rozwoju. Szofer europejskiej legacji w Stambule zarabia

90 funtów i to z trudem starczy mu teraz, w czasie wojennym, na powiązanie końca z końcem. Major wojska tureckiego zarabia 30 funtów. Ale szofer musi mieszkać w pokoju względnie przyzwoitym, musi mieć łóżko, musi wydawać na mydło i na pranie koszul i bielizny — co kosztuje go w najtańszym wypadku 40 funtów miesięcznie, a major mieszka w dzielnicy tureckiej, w jednym pokoju z paru innymi, śpi na jakimś niesamowitym wyrze — i wydaje na to miesięcznie 10 funtów. Są oddzielne restauracje i oddzielne kawiarnie dla Europejczyków i dla Turków; Europejczyk nie przełknie tego, co Turek je ze smakiem. Różnica w cenie — oczywiście parokrotna. Raz byłem na tyle lekkomyślny, że w takiej tureckiej knajpce zamówiłem sobie tureckie lody „dondurma” zwane. Spróbowawszy pierwszej łyżeczki o mały włos nie zwymiotowałem. Reszty już w ogóle nie próbowałem. Rozpłynęła się wkrótce w słońcu, w jakiś galareto-waty płyn.

I tak na każdym kroku. Oddzielne kawiarnie, oddzielne kina, oddzielne domy mieszkalne. Oglądałem po raz wtóry to — co widziałem w Afryce. Między tubylcami a Europejczykami jest taka różnica w poziomie i stylu życia, iż dwie te grupy ludnościowe prawie się nie przenikają.

Jedną z walnych zapór, obok języka, jakie dzieli normalnego Europejczyka od Turka, jest brud. Ale nie tylko.

Gdy w Stambule zjawiała się masa wysiedlonych z Rumunii Polaków — wielu nowych urzędników konsulatu, bazy czy placówki, wynajęło pokoje u rodzin tureckich. Z początku wszystko było jak najlepiej. Tragedia rozpoczęła się dopiero wtedy, gdy Polacy zaczęli prowadzić na nowo życie towarzyskie. W niewielkim świątku Polonii stambulskiej byli na ogół ludzie samotni, bez rodzin, bez bliskich. Często tedy koledzy i znajomi odwie-

dzali się wzajemnie, po południu, zapraszani na kawę czy herbatę. Jeżeli przychodzili tylko mężczyźni — wszystko było normalnie. Nie daj jednak Boże, by w towarzystwie znalazła się jakaś kobieta, lub też — o zgrozo — całe grono składało się tylko z dwojga. Wtedy gospodyni mieszkania, Turczynka, rozpoczynała atak. Co chwila, pod ładą pretekstem wpadała do pokoju, jeśli wręcz nie sadowiła się w nim na stałe, wadząc swą obecnością zebranych. Dochodziło do awantur, jakie z reguły kończyły się przeprowadzką do Lewantyńczyków, którym podobne stróżowanie naszej moralności nie było w głowie. Po upływie paru tygodni, nikt nie mieszkał już w domach tureckich.

Sprawa ta jest bardzo skomplikowana. A ilustracją jej niech będzie jeszcze jeden przykład. Jesienią 1940 r., parę dni przed ewakuacją polskiej legacji z Bukaresztu, wzięła ślub młoda para tamtejszych urzędników konsularnych. Wobec braku czasu, i posiadania już przez panią paszportu z wizami na panieńskie nazwisko — ona i on przyjechali do Stambułu pod swymi starymi nazwiskami. W hotelu — centralnym hotelu stambulskim — zatrzymali się w dwu różnych pokojach, przy czym pani zamieszkała ze swą koleżanką, wspomnianą już Danką. W drugim dniu pobytu Danką wraca o dziesiątej wieczorem do hotelu i już na parterze słyszy piękną awanturę, dobiegającą z ich pokoju. Okazało się, iż awanturę robi właściciel hotelu młodemu małżonkowi. Zauważył, jak ten wchodził do pokoju swojej własnej żony. Wpadł za nim, zażądał dokumentów, przeczytał wszystkie inne nazwiska, nie dał sobie nic tłumaczyć — tylko leciał wzywać policję. Długie molestacje przekonały go, by tego nie robił. Sprawa, rzecz jasna, wyjaśniłaby się prędko, ale pan młody przesiedziałyby do rana w turec-

kim kryminalne, co ze względu na robactwo i brud nie należy do przyjemności.

Mimo zniesienia haremów — Turcy żyją jeszcze ciągle swą haremową, przestrzałą moralnością, która dziś jeszcze nie pozwala dziewczynie przejść się po ulicy czy parku z młodym chłopcem. Jest w tym wszystkim potworna obłuda, gdyż kobiety tureckie w istocie nie są wcale moralniejsze od innych. Rozbite zostały klatki i kraty haremów — ale obyczaje, nawet wśród inteligencji, nie uległy zmianie. Kobieta jest niewolnicą domową. Idąc wieczorem ulicami miasta widzieć można w każdym oknie siedzące niewiasty. Siedzą tak godzinami, obserwują jednakową stale ulicę i plotkują poprzez okna, nad chodnikami i jezdnią. Siedziały tak u krat okiennych przez wieki, tęsknie spozierając na świat boży, teraz też siedzą, choć już przy otwartym, jasno oświetlonym oknie. Od tego siedzenia, od tego haremowego trybu życia — po dziś dzień jeszcze Turczynki mają grube nogi, niekształtne korpusy, wielkie, piękne oczy i smukłe, ładne dłonie.

Kobiety siedzą prawie we wszystkich oknach. Siedzą wieczorem i siedzą w ciągu dnia. Znaczna jednak większość kobiet siedzących w oknach wzdłuż ulic śródmieścia nie jest Turczynkami. To są Lewantynki.

Lewantyńczycy to „rasa“, klasa, warstwa, ba! może nawet i swoisty naród, który żyje w Stambule i okolicy. Typową rodziną lewantyńską była ta, u której mieszkał ktoś znajomy. Babka jest Francuską, urodzoną na Bliskim Wschodzie, która nigdy nie widziała swej odległej Ojczyzny. Zamężna była za Ormianinem. Jej córka wyszła za Greka; jedna z dorosłych już wnuczek wyszła za Anglika (też z Lewantu), a druga za Włocha. Wszyscy od dziesiątków lat mieszkają w Stambule, mówią żargonem francuskim, są obywatelami tureckimi

I nie uważają się za Turków. Nie mają przywiązania do żadnego narodu, nie czują się synami żadnej ojczyzny. Nie znoszą państwa tureckiego i z chęcią widzieliby Stambuł w jakimś innym systemie państwowym. Obyczaje tej warstwy są mieszane: europejsko-tureckie. Są to przeważnie chrześcijanie przeróżnych obrządków. Typowi kosmopolici, którzy nie wyrzeli nigdy poza Stambuł, gdzie trzymają ich zawile interesy handlowe, portowe i — w dużym stopniu — szpiegowsko-polityczne. Jest to element chciwy na pieniądze, o dość giętkim sumieniu. Trzonem tej dziwnej „narodowości” są Grecy, Włosi i Francuzi. Dużo jest Niemców i Anglików. Dużo Żydów, którzy jednak nie występują w formie czystej. Są oni albo zfrancuziali, albo zruszczeni, albo zitalizowani. Spotykałem w tej masie i Polaków mających piękne nazwiska szlacheckie i nie mówiących już po Polsku. Po wielkiej wojnie lewantyzuje się nowy element narodowy: biali emigranci rosyjscy.

Taka to przedziwna mieszanka etniczna nadaje ton miastu. Ona była jednym z walnych powodów, dla których Kemal wybudował nową stolicę Turcji w Ankarze. Stambuł jest przede wszystkim lewantyński, potem międzynarodowy, na końcu dopiero turecki.

A kiedyś był on przecież rzymskim, potem konstantyńskim, wreszcie ottomańskim. Rządzili w nim cesarze, patriarchowie i sułtani.

Dziś rządzą w nim lewantyńscy agenci handlowi, reprezentujący interesy wszystkich możliwych mocarstw.

Idąc przez ruchliwą, krzykliwą, targującą w przeróżnych językach Perę Beyoglu — trudno jest wyobrazić sobie, iż to właśnie tu było, iż tu jest jeszcze, trwa — wieczne miasto Bizancjum.

JESZCZE JEDNA WOJNA

W tym czasie powstały plany, bym do Budapesztu mógł dostać się drogą wodną, przez Morze Czarne i Dunaj, jako radiotelegrafista na węgierskim stateczku. Zaszedł jednak wypadek, i to wypadek o znaczeniu doniosłym, który je przekreślił.

Stało się to w niedzielę, parną, gorącą niedzielę tureckiego lata, nurzającą Stambuł w potokach słonecznego żaru, tumanach ziemskiego kurzu i odrażającym fetorze tubylczej ludności. Wstałem dość rano i przed dziewiątą wyszedłem z domu, by spacerowym krokiem, wzdłuż Pera Beyoglu udać się do francuskiego katolickiego kościoła, będącego w niedzielne poranki miejscem rytualnych spotkań miejscowej Polonii emigracyjnej. W kiosku kupiłem jak codzień, „Republique“ i „Journal d'Orient“, — Pierwsza strona obu pism zajęta była wiadomościami z frontu w Syrii, z frontu takiej najmniejszej wojny, która rozwijała się wprawdzie powoli, lecz według wszelkich zasad wojny pozycyjnej. Oczywiście Brytyjczycy posunęli się gdzieś tam o parę mil, uparty Denitz — ten sam generał francuski, który poddał Niemcom bez walki Paryż — bronił się jednak zażarcie. Damaszek i Bejrut były wciąż tylko zagrożone. Powtarzała się historia z przed miesiąca, kiedy to wojska brytyjskie, tłumiące bunt w Iraku, przez trzy tygodnie szły krok za krokiem, by raptem w ciągu trzech dni zgrucho-

tać i uśmierzyć całą rebelię. Teraz zanosi się na to samo.

Do kościoła przyszedłem z dużym spóźnieniem. Całe nasze towarzystwo już siedziało w ławkach. Obszedłem kościół i usiadłem na brzegu, zdala od całego grona. Zraz po chwili zauważyłem, iż wszyscy oni są jakoś dziwnie podnieceni. Kurcysz szeptał coś zawzięcie siedzącej przed nim pani Dance, a równocześnie mecenas Ble nau, tak zazwyczaj zatopiony w modlitwie, tym razem zżywieniem konferował z Pawelkiem. Czułem, iż stało się coś niezwykłego, przynajmniej na miarę naszego stambulsko-polskiego światka. Gotów byłem przypuszczać już rzeczy najgorsze, że szykowna pani I. znów zmieniła swego przyjaciela, czy coś równie groźnego a niewątpliwie epatującego. Stać się to musiało w ostatnich godzinach, gdyż o północy, gdy nasze towarzystwo rozchodziło się do domów — nie było jeszcze o czymś takim mowy.

Kapłan celebrował mszę, a mnie nie wypadało podejść do nich i wręcz spytać o co chodzi. Wreszcie skończyły się modlitwy, wyskoczyłem spiesźnie z ławki, przy wyjściowych schodkach spotkałem już całe towarzystwo. Pułkownik Kr. roześmiał się do mnie serdecznie: — „No, i jak się panu to podoba? He! Chyba teraz niewierny Tomasz uwierzy wreszcie?”

Wszyscy mówili na raz i już po chwili wiedziałem wszystko.

Dziś, to jest dnia 22 czerwca, Niemcy zaatakowali na całym froncie, ciągnącym się od Kłajpedy przez Polskę, Besarabię aż do Morza Czarnego — Rosję. Najsilniejsze uderzenie nastąpiło pod Małkinią, na Białystok i pod Przemysłem na Lwów.

Reakcja moja była charakterystyczna. Odpowiedziałem im, że nie wierzę w dalszym ciągu i nie uwierzę ani

im, ani nikomu, dopóki nie przeczytam w gazecie lub nie usłyszę na własne uszy w radio.

Już przed rokiem, na statku wiozącym nas z rozbitej Francji na Wyspy Brytyjskie — szubienicznie drwiłem z mych kolegów, iż wojna w ogóle się jeszcze nie zaczęła, że prawdziwe zmagania nastąpią dopiero wtedy, gdy Rosja, Ameryka i Japonia też w nich wezmą udział. Tak mówiłem — lecz gdy przed paru tygodniami prasa i radio zaczęły donosić o gigantycznych przygotowaniach militarnych prowadzonych przez Niemców na terenie Polski, gdy z kraju wywiad przysyłał dane o potężnej koncentracji wojsk w G. G. — w możliwość wybuchu wojny kategorycznie nie wierzyłem. Wydawało mi się absurdem, by Hitler zdecydował się uderzyć na Rosję nie mając jeszcze wykończonej Anglii, której mocniejsze z każdą chwilą lotnictwo nie da mu spokoju na tyłach ewentualnego przeciw-rosyjskiego frontu. Doskonale przeprowadzone uderzenia Hitlera na Polskę, Francję, Bałkany i Kretę, ponadto zwycięstwo Rommla w Afryce — nakazywały podówczas szacunek dla militarnego rozsądku Niemiec. Uderzenie na Rosję, uderzenie w rosyjską przestrzeń — to gra niesłychanie ryzykowna. Nie przypuszczałem, że Hitler jest aż tak niepoczytalny. Poza tym wielką szansą wojenną i polityczną Hitlera była sprzeczność polityki Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego. Uderzenie na Rosję — automatycznie montuje blok wojenny rosyjsko-brytyjski. A to jest wielkie dla Niemiec niebezpieczeństwo. Z tych przyczyn nie wierzyłem w możliwość uderzenia Hitlera na ZSRR, a wiadomości przychodzące z kraju traktowałem jako zwykły szantaż wojskowy, celem osiągnięcia jakichś koncesji gospodarczych czy politycznych

Nie wierzyłem.

Uwierzyłem dopiero, gdy w parę kwadransów potem

w mieszkaniu Kurcyusza, zgromadzeni pod głośnikiem wysłuchaliśmy dwu wypowiedzi. Moskwa nadawała po polsku oświadczenie Mołotowa, piętnujące zdradziecki atak Niemiec na ZSRR, Berlin huczał po niemiecku orędziem Führera do Narodu. Na takie dictum — musiałem uwierzyć.

Wtedy rozpętała się dzika radość. Zaraz znalazło się na stole jakieś wino, ktoś skoczył po ciasteczka i owoce. Posypały się toasty. Na cześć zwycięstwa. Na cześć Rzeczypospolitej. Na zgubę Niemcom. Wszyscy Polacy Stambulscy byli zupełnie jednomyślni w ocenie wydarzenia. Niemcy przegrają wojnę na dwa fronty. To nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Wojna na dwa fronty przyspieszy zwycięstwo aliantów co najmniej o rok, a może i więcej. Wtedy w małym mieszkaniu Kurcyusza sytuacja wydawała się nam wszystkim nadzwyczaj prosta. Jeszcze Ribbentropp nie skończył ryczeć w głośniku orędzia swego mistrza, gdy my już wiedzieliśmy na pewno, jakim będzie wynik tej wojny: Niemcy zapędzą Rosjan w głąb Rosji. Zmordowani staną gdzieś na Kaukazie i Wołdze, a może na Uralu, a wtedy z zachodu wylądują na Europę Anglicy. Desant będzie przeprowadzony równocześnie na całe wybrzeże europejskie. We Francji i w Grecji, i we Włoszech, i w Danii. Tysiące samolotów zrzuca pomoc dla powstańców wszystkich krajów europejskich — i wojna się skończy dla Polski specjalnie pomyślnie — nim z pod Uralu nadbieżą wojska sowieckie — już dywizje Kukiela i Paszkiewicza i Kopańskiego obejmą wraz z ZWZ-em straż na ziemiach Polski, od Zbrucza po Odrę.

Opinia nasza o sile militarnej Rosji była dosyć słaba i — jak się okazało już niebawem — niesłyszanie fałszywa. Opinia ta zresztą powstała na tle opowiadań tych spośród nas, którzy przez pewien czas żyli wraz

z bolszewikami we Lwowie czy Wilnie. Opowiadali oni o karabinach wiązanych sznurkiem, o czołgach, które w braku paliwa zamierały w bezruchu na ulicach Lwowa... Takim gadkom wierzyliśmy chętnie. Sprawiedliwość każe przyznać, iż jedynym z naszego grona, który wtedy sceptycznie oceniał wiarygodność informacji o słabości militarnej Rosji był... Kurcyusz, który ciągle zapowiadał wszem wobec, że Rosja zrobi nam wszystkim wielką niespodziankę.

Dzień zbiegl nam w wielkiej radości. Wieczorem wsłuchiwaaliśmy się niecierpliwie w wiadomości radiowe, jakżeż skąpe, czekając na tę jedną, dla nas najważniejszą — wiadomość o podjęciu rokowań, czy może już wręcz o podpisanym układzie między Polską a Rosją. Każdy z nas czuł, że to właśnie jest koniecznością i logiką chwili.

Ten jeden dzień wyjaśnił nam wszystkie niezrozumiałe momenty, wydarzenia polityczne ostatnich paru tygodni. Jasnym stał się cel angielskiej wizyty Hessa. Niemcy chciały uzyskać pokój na Zachodzie przed uderzeniem na wschód. Nie udała się jednak misja Hessa, a mimo to Hitler uderzył. Wtedy po raz pierwszy wyraźnie uświadomiłem sobie, iż widocznie człowiek ten przestał być panem własnego rozsądku, że siły, tworzące hitleryzm, nie mogą stać bezczynnie w miejscu. Muszą uderzać, walczyć, podbijać. Europa opanowana, Wyspa nie do zdobycia. Afryka traktowana chwilowo tylko jako eksperyment i pomoc Włochom — pozostaje jedynie uderzenie na Rosję; co ma ponadto jedną dobrą dla Hitlera stronę. Przekreśli ideową dwuznaczność paktu Ribbentrop — Mołotow i pozwoli na koniec polityce Trzeciej Rzeszy być w absolutnej zgodzie z antykomunistyczną ideologią narodowego socjalizmu.

Zrozumiałem również ideę zawartego parę dni

wcześniej paktu przyjaźni między Turcją a Niemcami. Był to taktyczny pakt chwilowej, obopólnej korzyści. Niemcy miały zabezpieczone prawe skrzydło, Turcja trochę odetchnęła, przestała obawiać się ataku niemieckiego w najbliższej przyszłości, teraz, gdy Hitler zajęty jest na wschodzie. Wreszcie trzeci partner tej dyplomatycznej gry: Anglicy (jak wynika ze słów min. Seragöglü, byli oni stale informowani o przebiegu rokowań turecko-niemieckich) — z chęcią zgodzili się na takie zabezpieczenie Niemcom ich skrzydła, wierząc, że ośmieli to Hitlera do tym prędszego uderzenia na Rosję. Tego sobie Anglia z całego serca równie serdecznie życzyła, jak przystąpienia do wojny Stanów Zjednoczonych.

Nie jednak w naturze nie ginie. A szczególnie niepokoje. Ledwo uspokoiliśmy się, (a raczej uspokoiła się polska kolonia stambulska), że przez najbliższe miesiące nie grozi zmiana status quo Konstantynopola — a tu już powstały nowe problemy. Narodowe i indywidualne.

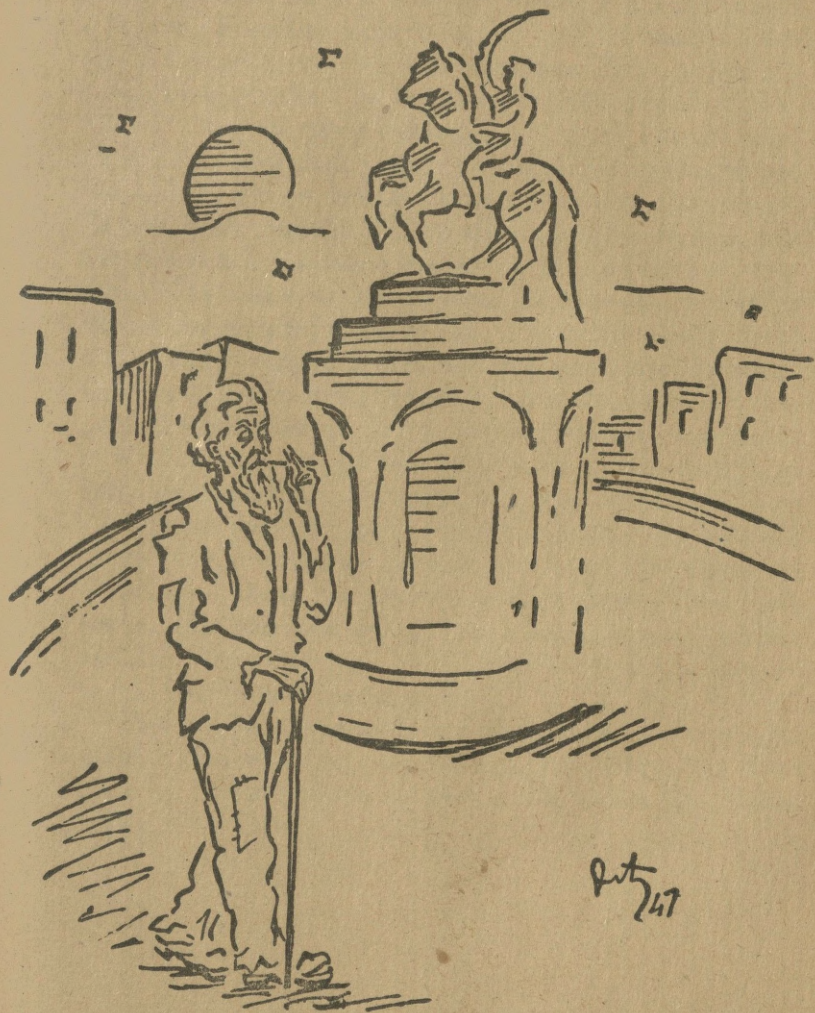
Problemem narodowym — były stosunki polsko-rosyjskie. Jak się ułoży ta sprawa. Tak drażliwa. Co będzie z granicą z roku 1939? Co będzie z tą wielokroć tyśięczną masą polskich cywilów i wojskowych znajdujących się na terenie Rosji? Znaki pytania, tak niepokojące, tak drażliwe, tak istotne — mnożyły się tego pierwszego wieczoru wojny rosyjsko-niemieckiej w nieskończoność. Na żadne pytanie nie było jeszcze odpowiedzi. Były tylko nasze koncepcje — mniej lub więcej fantastyczne.

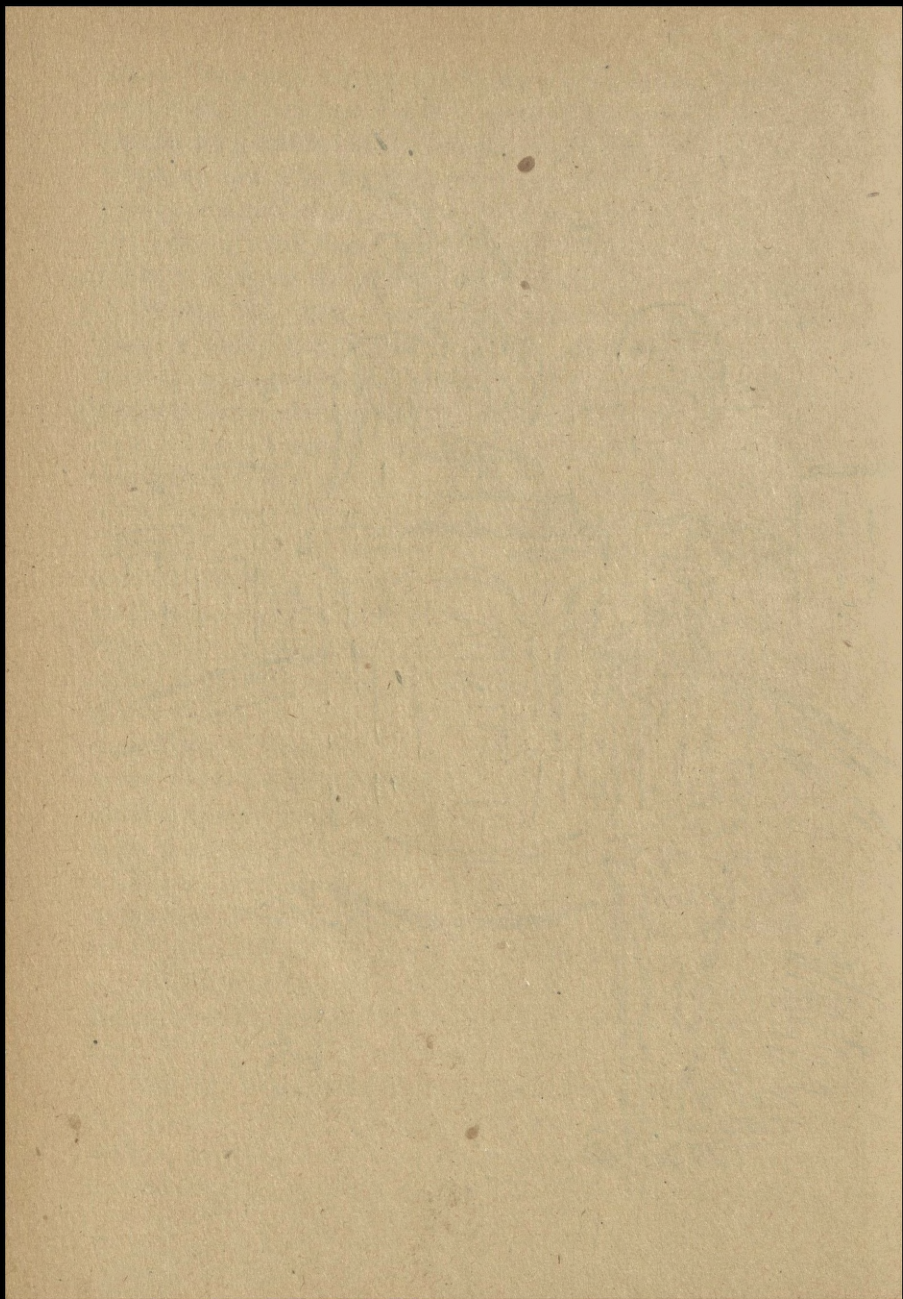
To były kłopoty narodowe. Mój kłopot indywidualny — był innego gatunku. Przejazd przez morze Czarne stał się niemożliwy. Niemcy minami zablokowali Dardanale, a sowieckie łodzie podwodne patrolowały wybrzeża Turcji i Bułgarii. Rumuńskie statki pasażerskie,

które dwa razy w tygodniu kursowały między Constanzą a Stambulem, zostały zatrzymane w Bosforze na nieokreślony przeciąg czasu. Statki węgierskie nie popłyną wodą do Dunaju. Kunsztownie zbudowana droga — po prostu wściekła się. Trzeba było montować inną. A ja już przeszło miesiąc siedzę w tym Stambule i bezskutecznie czekam na przerzucenie mnie do Budapesztu.

W naszym gronie rezydował od czasu do czasu kapitan P., szef tamtejszej polskiej „dwójki“. Przemiły starszy pan „wujciem“ zwany. „Wujcio“ miał zawsze znakomite wiadomości i znakomitego nosa. Przebieg, rezultat i czas kampanii na Krecie przewidział niemal co do godziny, już pierwszego dnia lądowania Niemców. Teraz też zaczęliśmy prosić go o prognozytyki militarne. „Wujcio“ miał już zdanie zupełnie wyrobione. Do piętnastego sierpnia Niemcy zajmą Moskwę, potem staną na Woldze i dostaną w skórę od Rosjan. Kurcyusz — który lubił mieć odmienne zdanie — zapytał się z głupiafrant, a co będzie jak do piętnastego sierpnia Moskwa nie zostanie zajęta? Według „wujcia“ było to wprost niemożliwe. Wobec tego stanął zakład o butelkę wermutu — co dzień. Wyglądało to zupełnie ciekawie. Od dnia wejścia Niemców do Moskwy (jeśli nastąpi to wcześniej niż 15.VIII) do dnia 15 sierpnia Kurcyusz stawia „wujkowi“ jedną butelkę wermutu co dzień. Jeżeli natomiast Niemcy nie zajmą Moskwy do tego czasu, to od 15 sierpnia do dnia wejścia Hitlera na Kreml, cały czy spalony obojętne — „wujcio“ funduje Kurcyuszowi jedną butelkę wermutu... co dzień. Przecinałem ten zakład.

Niestety — ze Stambułu wyjechałem przed 15 sierpnia. Często później podziwiałem nos Kurcyusza, żałowałem jednak, iż nie mogłem podziwiać osobiście wytrzymałości jego głowy. Człowiek ten bowiem pił mało.





Parna noc otuliła odwieczne miasto. Było jasno niczym w dzień. Księżyc z epoki Bizancjum konkurował o lepsze z lampami elektrycznymi z epoki Ismetu Ineunu. Na centralnym placu śródmieścia Pery — między pomnikiem pijaka i reformatora w jednej osobie Ata-Türka, a rogiem ulicy dyplomatów „Ayas Pasza“ przechadzał się powolutku starzec o pięknej i wyniosłej postaci, siwej długiej brodzie, dziurawym ubraniu i rozpadających się butach. Widywałem go tutaj co noc, jak nie prosząc o jałmużnę czekał na nią wytrwale i dumnie. Czy teraz, w ten wieczór 22 czerwca, też tylko czekał na lewantyńskie datki, czy raczej nasłuchiwał nocną ciszą odgłosu armat bijących w ziemię ojczystą? Czy z odgłosami tymi łączył jakąś nadzieję swego niepotrzebnego żywota? Czy przyśpieszonym tętnem drgało w nim serce rosyjskiego patrioty czy tylko carskiego serce generała? Komu życzył w tę noc zwycięstwa?

Czy też może nic go to wszystko już nie obchodziło?

Był to człowiek żyw jeszcze, czy już żyjący trup?

Na pytania te nie znalazłem odpowiedzi. Wtedy ani potem. Nie śmiałem podejść do niego i zagadnąć. Nie śmiałem przerwać jego bólu, nadziei lub obojętności — w każdym razie: nieszczęścia.

Nieszczęścia zapomnianego emigranta, zawieszonego między dwoma ojczyznami. Między tą, którą już stracił, a tą, której jeszcze nie zyskał. Nie zyska jej pewnie nigdy.

SELON STAMBUL

W nowej wojnie, która wybuchła — Turcja starała się zachować nominalną neutralność; w tej fazie konfliktu światowego było to na rękę wszystkim partnerom. Prasa turecka, zwłaszcza wydawana w języku francuskim, starała się zachować możliwy obiektywizm. Przestrzegano go drukując na pierwszej stronie numeru dwie paralelne rubryki. Jedną zatytułowaną „selon Moscou“, a drugą „selon Berlin“. Podawano tam równolegle komunikaty obu sztabów i noty obu rządów. Z tej prostej przyczyny za jedno pięć kurusy dziennie miało się przegląd wydarzeń w oświetleniach obu stron. Prasa turecka z rzadka pozwalała sobie na komentarze, prócz tej, która wyraźnie była na żołdzie „Osi“, jak „Türkische Post“, „Istambul“ m. Pierre de Goffa, subsydiowany przez Vichy, lub mały dziennik wydawany po francusku przez ambasadę włoską. Pisma tureckie nabrały wody w usta, i tylko z rzadka, dopiero w parę tygodni później, ten i ów publicysta zapytywał z głupia frant: — kto u diabła broni jeszcze Moskwy, jeżeli według komunikatów D. N. B. wszystkie armie sowieckie zostały już rozbite? Dzieci, kobiety, starcy? Poza tego rodzaju pytania — dostatecznie ilustrujące sympatie piszących i pism — chwilowo nie wychodzono, ściśle przestrzegając stosownego punktu niedawnej umowy turecko-niemieckiej.

Samo już jednak zestawianie komentarzy z obu stron

frontu wystarczało, by Stambuł był ciekawym punktem obserwacyjnym. Nowa wojna oglądana „selon Stambuł” była bardzo interesująca.

Najpierw rozpoczęły się wędrówki dyplomatów. Obaj ambasadorzy, z Moskwy i z Berlina, przyjechali do Stambułu. Przyjechali sami, gdyż Niemcy postąpili z resztą personelu podobnie, jak swego czasu z personelem pewnych konsulatów polskich: zaaresztowali ich. Na to Rosja nie pozostała dłużną i zatrzymała personel niemiecki. Nie zaaresztowała go, Broń Boże! Po prostu zatrzymała pociąg na jakiejś stacji, otoczyła wojskiem... i czekano. Nikomu nie wolno było wychodzić z wagonów. Ta metoda Niemcom przemówiła do przekonania. Personel radziecki zwolniono. Przyjechał do Stambułu. W parę dni zjawili się urzędnicy i dziennikarze niemieccy z Rosji. Hotele były przez parę dni nabite dyplomatycznymi podróżnikami. Rosjanie prędko pojechali do siebie. Niemcy jednak zostali dłużej. Wynajęto im na pomieszczenie duży rumuński statek pasażerski, który — bojąc się sowieckich łodzi podwodnych operujących na morzu Czarnym — stał w porcie w Stambule i czekał końca wojny. Niemcy też czekali końca wojny i dlatego nie jechali do Rzeszy. Ambasador niemiecki ewakuowany z Moskwy wręcz oświadczył korespondentom niemieckim, że muszą czekać w Ankarze, gdyż do dwudziestego piątego lipca wrócą do Moskwy. Nie warto więc jechać do domu. Wobec tego Niemcy czekali i liczyli na palcach tygodnie, dzielące ich jeszcze od powrotu do Moskwy. Instrukcje z Berlina wzbudzały nadzieję, a komunikaty OKW też nieustannie grały zwycięskie surmy.

Niemcy trafili tym razem na twardego przeciwnika, który był zdecydowany płacić im pięknym za nadobne. Dnia pewnego gazety stambulskie przyniosły ciekawą

wiadomość: za pośrednictwem Szwecji Rzesza zawiadomiła swego przeciwnika, że wypuszcza na Bałtyk statki Czerwonego Krzyża i zwraca uwagę, iż muszą być one jako takie honorowane i oszczędzane. Opinia nasza była jednolita: — Niemcy chcą na tych okrętach przewozić amunicję i żołnierzy. Następnego dnia wydrukowano odpowiedź Rosji. Min. Molotow oświadczył, iż Rzesza nie przestrzega swych zobowiązań, czego choćby ostatnim dowodem była napaść na Związek Radziecki, wobec tego Rosja ma podstawy spodziewać się, że i w tym wypadku statki znakowane czerwonym krzyżem służyć będą bezpośrednio celom przewożenia zdrowych żołnierzy, amunicji i broni. Wobec tego statki te będą torpedowane. — Na takie rosyjskie dictum ry-
czeliśmy wszyscy z radości.

Turecja przestrzegała w tym czasie żelaznej neutralności. Każda jednak ze stron walczących bardzo pragnęła tego, by kiedyś, za parę tygodni lub miesięcy, neutralność ta zamieniła się w sojusz oczywiście z nią. W tym celu zapewne Niemcy postanowiły Turcję nieco przestraszyć!

Pewnej lipcowej niedzieli DNB rozesłał do prasy tureckiej wielki i sensacyjny komunikat, w którym była wyluszczona historia zgoła niezwykła. Oto żołnierze niemieckiego oddziału, atakując Rosjan, rozbiwszy większą jednostkę złapali do niewoli cały jej sztab. Był to sztab dywizji, czy coś podobnego. W sztabie tym znaleźli wśród papierów dokładny plan uderzenia Rosji na Turcję, plan opanowania Stambułu. Wszystko było w tym dokumencie tak dokładnie opracowane, że nawet były podane adresy hoteli i instytucji w Stambule, w których miały się zatrzymać poszczególne sztaby i komendy wojsk sowieckich, okupujących miasto.

Historia była epatująca i nic dziwnego, iż w następ-

nym tygodniu, również w niedzielę, prasa turecka podała pod nagłówkiem „selon Moscou“ dalszą rewelację. Otóż Tass zakomunikował, że żołnierze niezwykłej Armii Czerwonej odnaleźli przy zabitych wyższych oficerach niemieckich plan ataku niemieckiego na Trację, Stambuł, oraz plan opanowania Dardaneli i Bosforu. Plany były równie dokładne, jak przed tygodniem.

Znów za tydzień DNB przyniósł dalsze rewelacje w podobnej sprawie i znów Tass nie pozostał długo dłużny. Taktyka Tassa doprowadziła DNB do szafu, a całą sprawę do tak jawnego absurdu, że Niemcy musieli w pewnej chwili dziwną dyskusję urwać w pół słowa — mieszkańcom Stambułu ku uciesze.

Tymczasem jednak Niemcy szli naprzód, i to szli z niepokojącą prędkością. Wprawdzie polscy optymiści obliczali, iż w gruncie rzeczy, to Niemcy wcale nie idą tak szybko, że przecież mogliby prędzej, że przeliczywszy na kilometry dziennie, to będzie mniej, niż przeciętnie robić może samochód ciężarowy — to były jednak laickie brednie. Niemcy szli rzeczywiście szybko.

Było im jednak mało tej chwały, którą zdobywał niemiecki żołnierz. Goebbels też potrzebował jej dla siebie i wtrącał swoje trzy grosze. Propaganda niemiecka opisywała dotąd stale Czerwoną Armię jako zwykłą bandę, uzbrojoną w zardzewiałe karabiny wiszące na sznurkach, chodzącą w łapciach miast butów i nie przedstawiającą żadnej wartości pod względem militarnym. Tego rodzaju metoda dobra wtedy, gdy żołnierza niemieckiego trzeba było zachęcić do wojny z Rosją, stawała się żenującą, gdy żołnierz ten parł zwycięsko naprzód, gdyż umniejszała wyczyny tego wojska. Trzeba było czymś wesprzeć Czerwoną Armię. I oto dnia pewnego DNB, a za nim gazety tutejsze jako „selon Berlin“ doniosły, że armia niemiecka przygotowuje się

do przełamania wielkiego „wału Stalina”, drugiej „Linii Maginot”, potężniejszej jeszcze od swej francuskiej poprzedniczki. Linia ta wybudowana ma być wzdłuż całej zachodniej granicy Związku (granicy według linii z roku 1939). Biegnie ona od Leningradu do Odessy, na wschód od Mińska i zachód od Kijowa. „Signale” i „Das Reich”, które można było już wtedy kupić w każdym kiosku, przyniosły dokładną mapkę wspaniałych umocnień „Linii Stalina”. Żołnierzowi niemieckiemu wita nowy wianek jego wojennej chwały. A wszelkiego rodzaju i gatunku szpiegzy, rezydujący w Stambule, stare wywiadowcze wygi, które z niejednego kotła jadły i kradły, drapali się w tyse przeważnie głowy, i kiwali nimi z powątpiewaniem. „Linia” nie jest szpilką ukrytą w stogu siana, a nikt nigdy o niej wcześniej nie wiedział. Żaden wywiad. Nawet niemiecki. I raptem odkrył to właśnie Goebbels. To była jakaś jawna bujda.

Bujda była zdaje się w istocie. Parę tygodni hitlerowski mistrz propagandy bawił się tą piłką, potem ją odrzucił precz i świat i Rzesza zapomnieli o „Linii Stalina”. Być może tylko w „Czwartej” lub „Piątej” Rzeszy będzie kiedyś siwy wojak opowiadał swym dzieciom i wnukom, jak „przełamaliśmy Linie Stalina. Szło jak w masło, dzieci!”.

Mimo wspaniałych rzeczywiście sukcesów, znakomicie ułatwianych Niemcom przez samych Rosjan, którzy w pierwszym okresie przyjęli starą taktykę Kutuzowa — nie wszystko szło tak, jak chciały tego komunikaty DNB. Podany przez ambasadora termin powrotu do Moskwy minął, a tu nawet jeszcze nie zdobyto Smoleńska ni Kijowa. Już wtedy Niemcy zorientowali się, że z Rosją sprawa nie jest prosta. W komunikatach DNB i OKW rozbito już tyle armii, zniszczono już tyle sprzętu, — ...a tu nic, i nic. Rosja trwa, nie ma w niej rewol-

lucji, nikt nie wita zdobywców chlebem ni solą, ani nie rzuca pod stopy złotych kluczy Kremla. I oto pewnego dnia pod tytułem „selon Berlin“ ukazał się krótki komunikat DNB, zapewne przeznaczony tylko dla zagranicy. Niemiecka agencja demaskowała perfidię rosyjską, która ich zdaniem przejawiała się w tym, że na dorocznych wielkich manewrach pod Moskwą, na które zapraszano przedstawicieli dyplomatycznych i attachés militaire. Rosjanie demonstrowali stare, przestarzałe modele czolgów, czym wprowadzali w błąd zagranicznych obserwatorów. Notatka kończyła się buńczucznie, że na ten temat powie nam dużo ciekawych rzeczy niemiecki attaché militaire, który właśnie przez Stambuł jedzie do Berlina.

Czytający wili się ze śmiechu! Perfidni, wprowadzili w błąd biednych Niemców... Notatka DNB, aczkolwiek głupia, zdradzała pewne zaniepokojenie Niemców, iż ich wyliczenia i sądy o sile Armii Czerwonej nie znalazły praktycznego potwierdzenia. A był to dopiero początek sierpnia roku czterdziestego pierwszego.

Wraz z wybuchem wojny radziecko-niemieckiej jasnym stało się, że nadszedł czas uregulowania spraw polsko-radzieckich. Było to pilne tym bardziej, iż w ZSRR przebywało ponad milion Polaków, którzy winni znaleźć się w jakimś wojsku, winni zostać wykorzystani w walce przeciw Niemcom.

W Stambule powitaliśmy radośnie złożoną przez Sikorskiego zaraz w pierwszym czy drugim dniu nowej wojny deklarację, pozytywnie ustosunkowującą się do ewentualnego nawiązania stosunków z ZSRR. Radio donosiło nam codziennie, że toczą się pertraktacje za pośrednictwem min. Edena między dwoma rządami. Równocześnie jednak też radio — choć w nieco innej formie — przynosiły nam niepokojące depesze wysyłane przez min. Kola, a donoszące, że w rządzie polskim wyłonił się

niebezpieczny kryzys, że Zaleski, Sosnkowski, popierani przez Bieleckiego (przyjechał on wiosną z Vichy) występują przeciw paktowi z Rosją i przeciw Sikorskiemu. Że nawet sprawa przerzuca się na wojsko, że wśród oficerów w Szkocji są jakieś fermenty... Jednym słowem przypominało mi się lato roku zeszłego, gdy w Londynie i Szkocji też były fermenty... Teraz jednak sytuacja była znacznie poważniejsza, gdyż dotyczyła sprawy stosunku naszego do Rosji, która wyjdzie z wojny zwycięska i nolens volens będzie naszym sąsiadem, a w której ponadto znajduje się tylu Polaków.

W naszym parosobowym kółku reprezentowane były przeróżne opinie, od bardzo prorosyjskich do bardzo anty. Wszyscy jednak zgadzali się jednomyślnie, że argument Wilna czy Lwowa, wysuwany przez opozycjonistów Sikorskiego, w tej chwili nie może decydować o naszym układzie z Rosją. W tej chwili o wzajemnym stosunku obu państw musi decydować stosunek do Niemców, a u nas musi jeszcze grać rolę dodatkowa troska o wojenne wykorzystanie i o los tych setek tysięcy Polaków, będących w Rosji lub cofających się razem z Czerwoną Armią.

Słuchaliśmy tedy z niecierpliwością radia, oczekiwaliśmy z biciem serca depesz ministra Kota — a sami nawiązaliśmy pierwsze kontakty z konsulem sowieckim w Stambule.

A raczej oni to zwrócili się do nas pierwsi, zaraz w parę dni po napadzie Niemiec. Prosimi o materiały dotyczące terroru niemieckiego w Polsce. Nim jeszcze posłaliśmy komplet naszego biuletynu informacyjnego „Polska pod okupacją” — już ukazała się w Stambule drukowana ulotka podpisana przez jakiegoś Borysowa, opisująca dolę Żydów w gettach GG. Ulotka była nie-

słuchanie naiwna, pisana przez człowieka, który nie widział nigdy getta i doli zamkniętych tam ludzi, gdyż za fakt mrozącego krew w żyłach okrucieństwa, podawał przede wszystkim to, iż jakoby Niemcy zaprowadzili dla Żydów specjalne pieniądze z drzewa; drewniany bilon. Ulotka ta rozśmieszyła nas niesłuchanie. Nie wiem do dziś, kto ją wydał. Materiały posłane przez nas do Rosjan zostały tam przyjęte z żarliwością ludzi, którym potrzeba materiału informacyjnego, a którzy mają go zbyt mało.

Tak nawiązane stosunki polsko-sowieckie na terenie Stambułu trwały potem nadal. W tym czasie jednak mój dalszy wyjazd rysował się coraz wyraziściej i zainteresowania moje zwróciły się przede wszystkim w stronę Bałkanów. Z Rosjanami utrzymywał dalsze stosunki Kurcysz, konsul Bader; pewnie utrzymywano je w Ankarze, w strefach już tak wielkiej i wysokiej dyplomacji, że gdy raz zapytałem jednego z *chargé d'affaire* ambasady polskiej co myśli o wojnie — pytanie, które w tym czasie mogło zastępować zdanie o pogodzie — dostałem odpowiedź godną historii: „Moje zdanie o tej wojnie wyrażę po jej zakończeniu!”

Po paru dniach zaczął wyjaśniać się horyzont polityczny polsko-radziecki. Pierwszym radosnym sygnałem było uwolnienie przez Rosję polskich polityków i generałów. W liczbie trzydziestu paru znajdował się prof. Stanisław Grabski i gen. Anders...

Na koniec stosunki polsko-radzieckie zostały nawiązane. Z Polaków przebywających w Rosji miała być utworzona nowa armia pod wodzą Andersa. Znow w naszym gronie poszły flaszki wina na toasty.

Jednocześnie w Londynie wywiązał się kryzys gabinetu. Ustąpili z rządu Zaleski, Sosnkowski. Na ich miej-

sce weszli Liberman, Mikołajczyk i przybyły z Rosji Komarnicki. Prof. Kot depeszował, że leci jako ambasador Polski do Rosji.

W tym całym potoku tak różnorodnych wiadomości — prawie niepostrzeżenie minęła depesza, jaką z Warszawy nadesłał do bazy wojskowej ówczesny komendant ZWZ-tu gen. Rakon. Baza wojskowa miała podówczas kontakt radiowy ze Lwowem, którego nie miała Warszawa. Rakon dopytywał się gorliwie o losy znanego pisarza Stanisława Wasylewskiego, który w latach 1959—41 zadeklarował się wobec władz radzieckich jako pisarz marksistowski, który niedawno na łamach „Czerwonego Sztandaru“ gromił nauczycieli za niedostateczną znajomość teorii marksistowskiej... Zdziwiła nas troskliwość Rakonia o losy Wasylewskiego. Teraz, gdy znamy dalsze ewolucje tego pisarza i jego ochotę współpracę z Niemcami, depesza zamordowanego komendanta ZWZ wygląda stokroć ciekawiej...

ADAMPOL — GRZECH POLSKI

Polonia w Turcji, prócz emigracji obecnej wojny, nie jest zbyt liczna. Jakaś dentystka, która wydała się za Turka studiującego swego czasu w Warszawie Akademii Sztuk Pięknych; jakiś Polak z nazwiska a Lewantyńczyk z kultury, nie znający nawet swego ojczystego języka; jakieś małżeństwo rosyjsko-polskie, a raczej zruszczonych Polaków, które po Rewolucji Październikowej znalazło się w Stambule i tak zostało. Jeszcze parę podobnych osób, z reguły mieszkańców Stambułu — no i A d a m p o l.

Adampol — jest to jedyne bodajże na przestrzeni polskiej historii zjawisko narodowe i jedyne bodajże tego rodzaju wśród emigracji polskiej, rozrzuconej po całej kuli ziemskiej.

Adampol — wioska położona kilkanaście kilometrów na wschód od Iskutari, niedaleko wybrzeży Bosforu. Założona w latach pięćdziesiątych zeszłego stulecia przez Adama Czartoryskiego, który zakupił tutaj szmat ziemi i osadził kilkudziesięciu Polaków, żołnierzy emigrantów z pod carskiej niewoli, żołnierzy powstania węgierskiego roku 1848, którzy po jego upadku pociągnięli razem z Bemem i Dębińskim z Węgier do Turcji. Część z tych żołnierzy-emigrantów powędrowała dalej w świat, część wróciła do kraju, paru — w tej liczbie Bem, Czajkowski — przyjęło obywatelstwo tureckie i wyrzekło się wiary katolickiej, ale też i nie była pew-

na czy napewno walczyć będzie przeciw Rosji w szereгах wojska tureckiego. Znalazła się jednak grupa, która nie chciała wyrzekać się polskości i wiary katolickiej, ale też i nie bardzo wiedziała czy jest sens ciągnąć gdzieś dalej w świat. Im właśnie Adam Czartoryski podarował ziemię nad Bosforem. Emigranci-żołnierze-szlacheccie przemieniwszy się w zwykłych chłopów-rolników, osiedli na roli, wybudowali wieś i ku czci swego wielkiego opiekuna nazwali ją Adampolem, (nie — jak niektórzy przypuszczają — ku chwale zmarłego w Konstantynopolu Mickiewicza).

Od tego czasu wśród rdzennie tureckich ziem, otoczony tureckimi wsiami i turecką ludnością — istnieje sobie Adampol, wieś polskich emigrantów politycznych.

Nie jest łatwo dostać się ze Stambułu do Adampola. Biurokracji tureckiej i szowinizmowi tureckiemu nie zależy na tym, by przybysz z zewnątrz podsycił narodowe ir tynkty i narodowy upór tej garstki zaciekłych Polaków. Biurokratyczno-wojskowy przepis znajduje tu znakomite zastosowanie. Wioska leży nieopodal Bosforu, którego wybrzeże ujęte jest regulaminem jakiejś tam zony zagrożenia. Rozlicznych perypetii potrzeba, by na koniec dostać wszelkiego rodzaju przepustki uprawniające do tej podróży, najpierw łodzią, potem końmi.

Adampol — to szlachecki zaulek. Chaty — to schludne miniaturowe dworki polskie z cyklu tych wyśpiewanych przez Mickiewicza. U wjazdu — tablica poświęcona pamięci Adama Czartoryskiego. Gdzie indziej krzyż ku czci Adama Mickiewicza. W każdej chacie-dworku znajdują się polskie obrazy. Matka Boska Częstochowska, jacyś polscy święci, Kościuszko lub skaczący w rękę Poniatowski, Orzeł Biały. Wszędzie leżą polskie książki do nabożeństwa i egzemplarze naszych wieszczów. Co najważniejsze jednak — oni wszyscy, pra-

wnukowie tych, którzy przed dziewięćdziesięciu laty osiedli wśród ludności obcej kulturą i językiem — oni wszyscy mówią przepiękną, czystą literacką polszczyzną. Zjawisko to jest tym dziwniejsze, gdy przekonani będąc że rozmawiamy z rodakami, dowiadujemy się, iż rozmówcą naszym jest Grek, czy Ormianka. W konsularcie polskim w Stambule urzęduje stary woźny, z którym stykając się codziennie przez długie tygodnie, brałem go, sądząc po pięknej polszczyźnie, za Polaka, — tymczasem jest to Grek, mieszkaniec Adampola, żonaty z Polką i zupełnie zaasymilowany.

Polacy, którzy przed bez mała wiekiem osiedlili się na północnym wybrzeżu Azji Mniejszej — nie znaleźli wśród ludności tureckiej chętnego i gościnnego przyjęcia. Zbyt wielka była różnica kulturalna i cywilizacyjna.

Polacy, mimo, iż ze swego serca zrzucili szlachecką pychę i wzięli się za zwyczajną chłopską robotę — nie potrafili odmienić swych manier, swych obyczajów. Różnica religii była też jednym z zasadniczych powodów wzajemnej obcości. Wnieśli oni w turecką wieś zupełnie inny styl życia. Co najmniej równie daleki kulturowo wsi tureckiej, jak i odległy jeszcze od kultury wsi zachodnio-europejskiej. Pieniężna pomoc ks. Czartoryskiego umożliwiła zaprowadzenie gospodarstwa — według skali podówczas w Polsce obowiązującej — wzorowego. Adampol stał się konkurentem gospodarczym całej okolicy, gdyż ziemia uprawiana przez Polaków, rodziła wydajniej niż pod rodzimymi, tureckimi pługami. Zamożna ludność Stambułu — tak turecka jak lewantyńska — chętniej wynajmowała pokoje na letnie wakacje w schludnych i czystych domkach Adampola, niż w brudnych, smrodliwych chatach wsi tureckich. Na takim tle wyrosła między społeczeństwem tureckim a Adampol-

lem niechęć i wrogość. Sprawia ona, iż od prawie lat stu żyją tu w swoistym getcie. Ponieważ Turcy nie dają przyjaźni i innych mniejszości zamieszkujących Trację i Azję mniejszą, więc też Polacy rozpoczęli szukać wśród tych mniejszości swych naturalnych sprzymierzeńców. Od trzech już pokoleń Polacy sprowadzają do wsi żony Greczynki, Ormianki. Mężowie odmiennych nacji ze względu na atrakcyjność Adampola ściągają tu za swoimi żonami, młodymi Polkami. Mężczyźni i kobiety asymilują się w polskiej atmosferze tego osiedla tak gruntownie, iż w parę lat stają się rzetelnymi Polakami, których nie sposób — jak woźnego w naszym konsulacie — odróżnić od autentycznych Polaków. Dziś w Adampolu Polaków czystej krwi jest już — na stukilkudziesięciu mieszkańców — stosunkowa mniejszość. Adampol ciągle jednak jest osadą w pełnym tego słowa znaczeniu polską, patriotyczną, wysoko uświadomioną narodowo. Język i obyczaj Adampola są polskie. Słychać piosenki polskie i polskie modlitwy. Przy zastawionym stole — mieszkańcy, z których większość nie ma już w sobie polskiej krwi, pięknym językiem Mickiewicza pytają o odległy kraj, o odległe miasta, których nie widzieli już nie tylko oni, ale nawet ich dziadów.

Palą się oni jakimś czystym polskim płomieniem, ale równocześnie w głosie ich, prócz rzetelnej troski o sprawę odległej ojczyzny, czuć też silną nutę głębokiego rozgoryczenia.

Bowiem między Polską a Adampolem sprawa nie jest prosta, nie jest uczciwa. I wina w tym wypadku obciąża całkowicie kraj i Państwo Polskie. Obciąża Polskę.

Póki nie istniało Państwo Polskie — póty rzesze emigranckie z przyczyn zrozumiałych i usprawiedliwionych skazane były na własne siły. Adampol to rozumiał

I okres siedemdziesięcioletni potrafił przetrwać. I to przetrwać z sukcesem nie byle jakim: mimo namów, szykan, nie przyjął obywatelstwa tureckiego, potrafił uchronić siebie przez rozplynięciem w tureckiej narodowości, potrafił stworzyć ośrodek przodujący całej okolicy tak gospodarczo, jak kulturalnie. Zdawało się więc, iż ma wszelkie powody oczekiwać w dalszych swych losach pomocy odrodzonego Państwa Polskiego. A pomoc ta była wtedy, po pierwszej wojnie światowej, potrzebna bardzo; gdyż skrajnie nacjonalistyczne prądy polityczne, które w Turcji doszły do władzy, w sposób kategoryczny, poparty całą siłą państwa totalnego, domagały się, by ta niewielka garstka Polaków przyjęła obywatelstwo tureckie i tym samym, by synowie Adam pola poszli służyć w armii tureckiej, stosującej — jak już napisalem — drakońskie metody asymilacji narodowej.

Między państwem tureckim a Polakami z Adam pola rozpoczęła się walka narodowościowa, której rząd w Warszawie przyglądał się zupełnie obojętnie. W samej Warszawie, nie mówiąc już nawet o Polsce, znajdowało się więcej tureckich obywateli, jako stałych mieszkańców Polski, niż było Polaków w Adam polu. Jedną jedyną notą, grożącą represjami ze strony władz polskich wobec — Bogu ducha zresztą winnych — obywateli tureckich przebywających w Polsce, położyłaby kres gorszącej sprawie i umożliwiła mieszkańcom Adam pola nie tylko faktyczne, ale i formalne kultywowanie swej polskości. Rząd w Warszawie jednak milczał. W roku 1929 Adam polanie musieli złożyć broń. Przyjęli obywatelstwo tureckie.

Przyjęcie obywatelstwa nie oznaczało jednak kapitulacji na całej linii. Polak — obywatel turecki — był i chciał być nadal Polakiem. Marzył o tym, by jego dzieci — dotychczas kształcone w gimnazjach niemieckich

i francuskich w Stambule — mogły chodzić do szkoły polskiej, mogły kończyć gimnazja w Warszawie czy Krakowie.

Polska Odrodzona nie troszczyła się jednak a zagubiony i słaby Adampol. Władcy potężnego Związku Polaków z Zagranicy ubiegali się o względy Polaków w Stanach Zjednoczonych, którzy już Polakami być przestawali, narzucali się ze swą opieką Polakom we Francji, którzy mieli wobec swej ojczyzny zapiekle urazy, ba! pamiętali nawet o Polakach z budapeszteńskiej Kőbanyi, gdzie młode pokolenie już w ogóle nie mówiło po polsku. Zapomniano jednak o jedynym bodajże na świecie środowisku polskiej emigracji politycznej, żywym i wiecznie polskim, które swą narodowość i swą odrębną kulturę potrafiło, niby bezcenny skarb, przemieścić przez wiekową bez mała wędrówkę, w stanie nieuszczuplonym. Z rzadka przysyłano do Adampola, gdzie w każdym domku są paryskie wydania „Pana Tadeusza” — jakieś polskie książeczki. Polscy dyplomaci urzędujący w Stambule i Ankarze nie zwykli byli zjawiać się pod adampolskimi strzechami w innych celach, jak dla myśliwskiego wypoczynku. Jedyne — czym związane Adampolan z Państwem Polskim — to liberie ambasady czy generalnego konsulatu nakładane wóznym, z reguły rekrutowanym spośród mieszkańców wioski.

Z żalem głębokim cytują mało chlubne nazwiska polskich dyplomatów z Ankary i Stambułu polscy emigranci z Adampola. Dopiero ostatni z polskich konsułów generalnych zaczął na niewiele lat przed wojną kolatać sprawą Adampola w szklane drzwi gabinetów pałacu Brühla. W Polsce zaczęto mówić o Adampolu. I raptem znalazł się jakiś biedny ksiądz, który zdecydował, iż wałną przysługę odda sprawie swego narodu,

gdy pojedzie do owego Adampola, by słowem Bożym głoszonym po polsku zagrzewać Adampolan do trwania w polskości. Jak postanowił — tak uczynił. Zjawił się w Adampolu, przywiózł żywą wieść o Polsce, przywiózł polskie książki i książeczki. Adampol dostał polskiego proboszcza — pierwszy raz w swej długiej historii. Tego było jednak zanadto tureckim szowinistom. Ksiądz zaczął gnębić administracyjnymi represjami, szczerze go biurokratycznymi i politycznymi regułkami. Zamknięto go do aresztów, z których uciekał, by dalej prowadzić swą apostołską misję. Uparty, wiejski ksiądz, nie dawał za wygraną, mimo iż ministerstwo w odległej Warszawie nie myślało o tym, by przyjść mu z pomocą. Inne miało troski na głowie. Organizowano przecież wtedy wielkie szopy-zjazdy, na które ściągano pseudo-Polaków z całego bogatszego od Polski świata, dokładając sumy do każdego zjazdowicza. Nie starczyło już wysiłku i inwencji, by myśleć o biednym księdzu w odległej Turcji i nie było już pieniędzy, by w ślad za nim posłać nowe polskie książki, polskie elementarze, mapy i słowniki.

Nie było tego wszystkiego — gdyż nie było dobrej woli w stosunku do Adampola. Była małoduszność lub wyrachowanie, którym kierowano się wobec Polaków z USA i z Francji.

Na rok przed wojną w Adampolu było wielkie święto. Dzięki staraniom nadludzkim — (a kto zna dwie biurokracje, polską i turecką, wie jak niesłychane trzeba było pokonać opory!) — ostatniego konsula polskiego w Stambule, dwa państwa zgodziły się z łaski, by jeden młody obywatel Adampola, maturzysta niemieckiego gimnazjum w Stambule, pojechał do Polski do podchorążówki, aby tam mógł zostać polskim oficerem.

Polski oficer wśród Adampolan! — cóż za niezwykle

święto i radość dla tych ludzi, potomków oficerów i żołnierzy Wysockiego, Dębińskiego i Bema. Oficer Polski Niepodległej wśród ich synów!

Jesienią roku 1938 młodzieniec przyjechał do Polski. Zajechał do podchorążówki piechoty (znawcy nieciekawych spaw wojskowych zaraz mi szepną ze złością: nie podchorążówki, lecz kursu dywizyjnego! — wszystko jedno!). I tu zaczęła się dopiero zabawa. Ponieważ wskutek trudności paszportowych młodzieniec spóźnił się na kurs o parę tygodni — kretynscy oficerkowie zaczęli go tak sekować i musztrować, że w parę tygodni rozgoryczony chłopak rzucił wszystko do diabła i uciekł z powrotem do Turcji, do Adampola bardziej polskiego, niż oficerska szkoła w Państwie Polskim.

Nie znalazła się wtedy żadna instytucja, która zajęłaby się młodym Adampolaninem. Nie myślał o tym żaden referent w Sprawach Wojskowych ani w Sprawach Zagranicznych.

Nie dziwnego, że w głosie Polaków z Adampola drgała nuta głębokiego żalu. Żalu aż nadto słusznego. Przecież, gdyby panowie z ulicy Wierzbowej inaczej o nich myśleli, synowie Adampola nie służyliby dziś w szeregach armii tureckiej, ale w armii polskiej na emigracji.

Wielki był grzech Polski wobec Adampola.

Ileż takich Adampolów zostanie po wojnie rozrzuczonych po wszystkich kątach świata i jakie grzechy w stosunku do nich mieć będzie Ojczyzna, która z reguły — jak wszystkie ojczyzny na świecie — jest macochą, miał być matką?

Takie niepokojące pytania tłuką się po głowie, gdy promem-motorówką płyniemy z powrotem Bosforem do Stambułu z miasta zapomnianych emigrantów?

NIECH ŻYJĄ CZESI!

W tym czasie — była to już druga połowa lipca 1941 roku — moja dalsza podróż stawiała się coraz bardziej nagłą koniecznością. Według planów układanych w Londynie, miałem najdalej jesienią być w Polsce. W ten sposób podróż i tak trwałaby około 5 miesięcy. Jeżeli wziąć pod uwagę okoliczności tej podróży, takie, jak konieczność okrążania prawie połowy Afryki, jak wybuch wojny na Bałkanach, który na długi okres czasu przerwał możliwość komunikowania się Stambułu z Budapesztem — czas pięciu miesięcy nie jest zbyt długim. W tych czasach do komunikacji z Krajem nie używano jeszcze spadochronów. Pierwsza próba wykonana w lutym 1941 roku przez trzech skoczków skończyła się właściwie niepowodzeniem — o czym dowiedziałem się po przyjeździe do Stambułu. Lotnik wyrzucił ich w innym miejscu, nie tam gdzie oczekiwała ekipa przyjmująca i w rezultacie kurier cywilny „Włodek” wpadł w ręce Niemców i tylko swemu sprytowi zawdzięczał, iż został jedynie skazany na parę miesięcy więzienia za nielegalne przekroczenie niemiecko-sowieckiej linii demarkacyjnej. O tym, że latem 1941 roku „Włodek” wyszedł z więzienia i swoje posłannictwo owocnie spełnił — dowiedziałem się dopiero w rok potem, ale to już inna historia. Dość, że w tym czasie jeszcze nic nie wiadzano ani w Londynie ani w Stambule o Włodku, są-

dzono iż siedzi w więzieniu i pilono mnie, hym prędzej ruszał do Polski.

W Stambule jednak sytuacja wyglądała ciągle jeszcze ciężko. Wprawdzie w stosunkach niemiecko-tureckich nastąpiło znaczne odprężenie, Turcja przestała się obawiać — od owego 22 czerwca — o własną skórę, ale normalna komunikacja kolejowa i pasażerska nie była jeszcze podjęta. Kursowała jedynie poczta, przez granicę przewożona autobusami.

Dnia pewnego za pośrednictwem poselstwa argentyńskiego w Ankarze, przyszedł list z Sofii. List adresowany do Kurcyusza, okazał się być pisanym przez jednego z jego młodych znajomych Andrzeja I. Pan I. donosił, iż siedzi już od trzech miesięcy w Sofii, pracuje jako urzędnik do spraw polskich w konsulacie argentyńskim; po zerwaniu stosunków polsko-bułgarskich opiekę nad naszymi sprawami objęła Argentyna. Andrzej I. znalazł się po klęsce Jugosławii w Sofii. Tu spotkał swego dawnego znajomego z Argentyny, konsula Wallaca, który zaproponował mu właśnie to zajęcie. I. chce tą drogą nawiązać kontakt z Kurcyuszem, w charakterze pracy którego orientuje się dokładnie.

Natychmiast postanowiliśmy, iż I. będzie organizował placówkę nielegalnego przerzutu przez Sofię do Bukaresztu. W Bukareszcie wojsko miało już swoją placówkę, która mogła podejmować i naszych ludzi. Do I. poszły tajne instrukcje ukryte w książeczce do nabożeństwa. Przewiózł — i dowiózł je jakiś jego znajomy, dyplomata argentyński.

Wydawało się, iż ja ruszę właśnie taką drogą. Przez zieloną do Bułgarii. Tam posiedzę parę dni u pana I. Potem przez zieloną do Rumunii, do Bukaresztu i stamtąd już bez specjalnych trudności — łączność tam była dobra — przez „zieloną“ do Budapesztu. W zimie —

może bym się i krzywił na trzy „zielone” — nie licząc jeszcze tej ostatniej, najważniejszej — ale w lecie... można chodzić. Przygotowania już były zaawansowane do tego stopnia, że do Bukaresztu wysłano przygodną okazją paczkę z moimi dolarami i listami. — Czy doszła? Bóg raczej wie! Nigdy już potem jej nie zobaczyłem, ani o niej nie słyszałem!

W tym stadium przygotowań pojawiła się raptem zupełnie nowa koncepcja dalszej drogi.

Od chwili, gdy w listopadzie poprzedniego roku w Londynie, podpisano układ wstępny o przyszłej konfederacji polsko-czechosłowackiej — realizowanie przyjaźni i ścisłej współpracy z Czechami rozpoczęło się na wszystkich szczeblach i na wszystkich terenach, gdzie tylko znajdowały się polskie placówki. Było to nie tylko zalecane przez rząd polski oficjalnymi okólnikami, ale było wyrazem pewnych spontanicznych uczuć, podówczas panujących w polskich i czeskich środowiskach emigracyjnych. Od strony formalnej przejawiało się to przez powołanie przy wszystkich komórkach politycznych, reprezentujących ministerstwo spraw wewnętrznych i będących równocześnie placówkami łączności z krajem, odpowiednich referentów. Ich zadaniem było czuwanie nad współpracą tych dwóch ośrodków. Trzeba przyznać, że sprawę traktowano nadzwyczaj solidnie i referaty zostały obsadzone przez osoby rzeczywiście najbardziej do tego predestynowane, które znacznie wcześniej swą działalnością polityczną, kulturalną czy społeczną realizowały przyjaźń czesko-polską. Tak się dziwnie złożyło, że wśród emigracji polskiej na Bałkanach i Bliskim Wschodzie, jedyne osoby, które rzeczywiście mogły pochwalić się realnymi osiągnięciami w organizowaniu przyjaźni narodów słowiańskich, należały do grupy ideowej, jaka przed wojną gromadziła się ko-

ło postaci ekonomisty i publicysty poznańskiego, Jana Stachniuka. Była to owa sławna grupa „Zadrugi“, która postulowała jakiś *sui generis* neo-pogанизm, prastawianizm. Jej wódz, Stachniuk, w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. wydał książkę „Dzieje bez dziejów“, gdzie przeprowadził swoistą analizę całej polskiej historii i gdzie wyłożył swoją receptę uzdrowienia Rzeczypospolitej.

Członkowie lub sympatycy tej grupy reprezentowali rzetelną myśl słowiańskiego braterstwa; nie dziwnego tedy, że na stanowisko takiego oficjalnego „przyjaciela“ czeskiego z polskiej strony przy placówce w Stambule, został powołany człowiek wielkich w tym kierunku zalet, sędzia M. ze Śląska. W Turcji występował on jako inżynier, gdyż związany był licznymi więzami ideowymi ze środowiskiem polskich inżynierów, pracujących w zakładach przemysłowych w Ankarze. Nie chcąc rozłączać się z kolegami, prowadził tam swego rodzaju pracę apostołską w duchu „Zadrugi“ — zakamuflował się między nimi, jako jakiś „inżynier“. Turcy inżynierowi zostać pozwolili, sędzia by nigdy stałej wizy pobytowej nie dostał. W początkach czerwca przyjechał M. z Ankary do Stambułu, gdzie zaczął pracować nad położeniem solidnych fundamentów przyjaźni polsko-czeskiej.

Sędzia M., człowiek koło czterdziestki, fanatyk swej doktryny ideowej, dla realizacji której nie cofnąłby się — jak sam zaznaczał — przed żadnym uczynkiem, zwolennik państwa totalnego, opartego o jakieś neo-pogańskie ideały, wysnute z książki „Dzieje bez dziejów“, — w którą podówczas wtajemniczał mnie i uczył jej niemal na pamięć — był krańcowym przeciwstawieniem katolika i liberała mecenasa Blenaua. Łączyła ich tylko namiętność prawnicza — choć obaj inaczej do „prawa“

jako regulatora życia społecznego, podchodząc. Przy tym wszystkim M. był zacnym patriotą i człowiekiem o złotym sercu, choć czupurny, przewrażliwiony i łatwo obraźliwy. Namiętne codzienne dysputy między trzema prawnikami, każdym o innej strukturze duchowej, nie mówiąc o przekonaniach — były arcyprzyjemnym wypełnieniem upalnych wieczorów.

I oto w końcu lipca sędzia M. zakomunikował Kurcyuszowi, że Czesi — mający na terenie Stambułu swą zakonspirowaną placówkę łączności z Pragą — mają pewne możliwości na terenie tutejszego konsulatu niemieckiego i są gotowi wyrobić dla nas wizy przejazdowe: bułgarską, niemiecką ważną na przejazd tranzytem przez Jugosławię i wjazdową węgierską. Należy im tylko dostarczyć odpowiedniego, oczywiście nie polskiego, paszportu i stosownej do niego „legendy“.

Koncepcja była warta trudu. Kurcyusz zaczął się żwawo kręcić, w czym pomagał mu korpulentny szef bazy płk. Kr., jako iż tymczasem do Stambułu przyjechał kurier wojskowy, który miał zostać przerzucony do Budapesztu, do obsługiwaną tamtej bazy. Czesi i jemu skłonni byli wyrobić wizy. Postanowiono, iż ruszy on w parę dni po mnie.

Po pewnych staraniach, paru pijaństwach z różnymi ciemnymi agentami, dla odmiany francuskimi, podobno pracującymi u de Gaulla, — w jednym z takich wieczorów musiałem nawet sam brać udział — udało nam się zdobyć najzupełniej autentyczne paszporty. Dwaj rodzeni bracia, Francuzi z Syrii, przebywający obecnie w Stambule, zgodzili się odsprzedać na pewien okres czasu swoje francuskie paszporty. Paszporty te miały później do nich wrócić. Jeden paszport miałem dostać ja, drugi kurier wojskowy. Mój paszport opiewał na 29 letniego młodzieńca, urodzonego w Damaszku, który swą służbę

wojskową odbywał w wojskach kolonialnych w Syrii i w sierpniu 1940 roku został zdemobilizowany na mocy rozporządzenia mieszanej komisji demobilizacyjnej włosko-niemieckiej (wśród papierów dostałem i kartę zwolnienia z wojska!). Z wykonywanego obecnie zawodu był urzędnikiem w attachacie handlowym poselstwa francuskiego w Stambule. Dalsze dzieje obiecującego młodzieńca — ja już pisałem; wystąpił on mianowicie ze służby u Francuzów i został przyjęty jako sekretarz attaché handlowego... egipskiego w Sofii, który go zresztą miał później wysłać z misją do Budapesztu. Z łaską na pieniądze prawdziwym egipskim attaché handlowym rzecz została ubita bez specjalnego trudu. Nawet zgodził się on przewieźć dla mnie przez granicę bułgarską niewielką kopertę z pieniędzmi i listami.

Tak wreszcie moja dalsza droga zaczęła przyoblekać się w pewne realne kształty. Wizy wyrabiane przez Czechów zostały przybite w komplecie na paszporcie, w którym była jeszcze fotografia faktycznego właściciela.

Czesi wywiązali się ze swych zobowiązań znakomicie. Inna sprawa ile nas i ich samych w przyszłości te „znakomite możliwości“ kosztowały. Ale o tym wtedy jeszcze nikt w Stambule nie myślał.

Teraz rozpoczęły się ostateczne, przedwyjazdowe kłopoty.

Pierwszym była... moja fotografia. Dzentelmen, w którego prawa wchodziłem, miał w tej chwili lat 29, a ja na moim dyplomatycznym paszporcie 25, w rzeczywistości zaledwie 22. Musiałem jednak przynajmniej na fotografii wyglądać na 29. Nadworny fotograf bazy i równocześnie laborant od fałszowania pieczęci i tym podobnych sztuczek, ulizal mnie najpierw brylantyną, potem kazał zafundować jakieś specjalne szkła, wresz-

cie tak manipulował reflektorami w czasie zdjęcia, że w rzeczywistości wyszedłem na trzydziestoletniego, młodego pastora. Wygląd miałem dostojny i nikt nie śmiał podejrzewać, że nie jestem czcigodnym sekretarzem egipskiego atachatu handlowego w Sofii. Od tego czasu brylantynowałem sobie włosy z wielką starannością.

Następnym nie tyle kłopotem, co zagadnieniem, było wyekwipowanie mojej walizy. Zastanawialiśmy się, czy pakować w dno i ścianki tysiące dolarów przeznaczonych dla Kraju, czy też lepiej próbować innej drogi. Ja byłem zwolennikiem tezy, by, gdy jest okazja, brać jak najwięcej; jeśli wypadnę,—to i tak nie mnie nie wyratuje, a jeśli nie — nigdy nie odżałujemy straconej okazji. Rozsądek moich przełożonych jednak przeważył — i zdecydowano pieniądze wysłać inną drogą. Inną drogą również miała jechać „maszyna piekielna“ — jak ją nazywałem — to jest puszka blaszana do przenoszenia szyfrów, która przy nieumiejętnym otwieraniu wybuchła w rękę, parzyła solidnie otwierającego, paląc klisze będące w środku. Miałem więc jechać względnie czysty, nie licząc paru prywatnych listów, które do Bułgarii miał zabrać Egipcjanin, trochę dolarów na drobne wydatki i oprawnych w kieszonkowy słownik „Langenscheidta“ filmów z instrukcjami radiowymi. Paczka przesłana swego czasu do Bukaresztu — miała być stamtąd odesłana do Budapesztu.

Na koniec ostatnie przygotowania. Zaopatrzenie się w ten lub owy drobiazg z przydatnych w tego rodzaju eskapadzie.

Wszystko było gotowe do drogi. Jeszcze trzeba było tylko wydostać turecką wizę wyjazdową. Załatwiał ją już płk. Kr., gdyż Kurcysz musiał w pierwszych dniach sierpnia pojechać do Kairu, by spotkać się tam z lecącym do Moskwy ministrem Kotem. Na drogę wypra-

wiała mnie i błogosławiła Danką, w asyście naszego kółka.

Z wizą turecką były jakieś trudności. Turcy chętnie widzieli osoby wyjeżdżające na południe, mniej chętnie na północ. Dwukrotnie paszport wracał do nas. Mój wyjazd w denerwujący sposób odkładał się z dnia na dzień. Bałem się zupełnie poważnie, czy w urzędzie tureckim któryś z durnych biurokratów nie dopatrzył się czegoś podejrzanego w lewantyńskim paszporcie.

W końcu jednak 10 sierpnia paszport opatrzony kompletem wiz, bilet na kolej turecką Stambuł — Edirne, skąd dalej już miałem przez granicę jechać taksówką, — znalazły się w moim posiadaniu. Kupiłem sobie jeszcze dwie francuskie książki na drogę, parę tabliczek doskonałej tureckiej czekolady w bloku i byłem gotów do drogi.

11 sierpnia 1941 roku wieczorem wsiadłem w pociąg, który miał mnie, Rolanda Ponsa, tym razem Francuza, urzędnika legacji egipskiej, zawieźć na granicę Bułgarii. Ze względów konspiracyjnych — nikt mnie nie odprawiał na dworzec.

Przestałem być Polakiem — awantura rozpoczynała się na całego!

W KRAINIE EUROPEJSKIEGO „V“

Noc przeminęła bez żadnych specjalnych wrażeń. Rano pociąg zatrzymał się w Edirne, obecnie granicznej stacji z Bułgarią. Dalej koleje jeszcze nie szły; most na Maricy jeszcze nie został odbudowany. W Edirne stoją przed stacją taksówki, za niewielką opłatą gotowe dowieźć podróżnych do samej granicy. Tam mają czekać inne taksówki, które z kolei dojeżdżają do najbliższej czynnej bułgarskiej stacji kolejowej.

Taksówka trzęsła niesamowicie po drodze. W Turcji, tak azjatyckiej jak europejskiej, poza niewielu kilometrami koło Stambułu, dróg asfaltowych prawie nie ma. Droga, trakt właściwie, jakim jechaliśmy, co kilkadziesiąt metrów poryty był przeciwczołgowymi rowami; nie zasypywano ich. Auto musiało lawirować i zjeżdżać na boki. Nie była to jazda przyjemna, lecz pouczająca. Pustynny, szarobrazowy, nieprzyjemny kraj skopany był okopami i zabudowany ziemiankami. Melancholijnie pomyślałem sobie, iż takie właśnie przygotowania wojenne widziałem już raz: w marcu 1940 roku na granicy jugosłowiańsko-włoskiej. Tu i ówdzie dały się zauważyć niewielkie zasieki z drutu kolczastego. Mijaliśmy jakieś warty i posterunki wojskowe. Widać było wyraźnie, iż kraj, po którego granicy jedziemy, nie czuje się — mimo swych wszechstronnie rozbudowanych sojuszów — zbyt bezpieczny.

Po półgodzinnej jeździe dotarliśmy na koniec do nie-

wielkiej przydrożnej lepianki; reprezentowała ona majestat rzeczypospolitej tureckiej. Celnicy i rewidenci paszportowi okazali się mniejszymi biurokratami niż ich mocodawcy w Stambule. Graniczne formalności nie trwały długo. Dostałem pieczętkę potwierdzającą opuszczenie granic Turcji — akurat w trzy miesiące po przybyciu do Stambułu. Taksówka podwiozła mnie jeszcze pół kilometra i dwa spuszczone ponad drogą kolorowe szlabany znańczyły wyraźnie granicę mego ryzyka.

Nadjechały właśnie od Stambułu inne auta i razem z dwoma Niemcami — jakimś przemysłowcem i jakimś urzędnikiem konsularnym — wkroczyłem w niemiecką Europę, przychylnie i bez trudności powitany przez granicznych strażników bułgarskiej suwerenności.

Niestety — przed budyneczkiem celników — stała tylko jedna taksówka. Chcąc nie chcąc, musiałem z miejsca zacząć przyzwyczajać się do obcowania z „Herrenvolkiem“, który w osobach swych dwóch przedstawicieli — jednego grubego i jednego chudego — prezentował się grzecznie i zgoła przyzwoicie. Zaprosili mnie do auta i bez żadnych zbędnych konwersacji dojechaliśmy po paru minutach do granicznej stacji Svilingrad.

Svilingrad — mała wioska — szczycił się okazale reprezentacyjną stacją, wybudowaną według tych cesarsko-austriackich wzorów, którymi zabudowana jest nasza Małopolska. Towarzysze niemieccy gdzieś znikli; ja znalazłem przedział pusty.

Gładko i pięknie pociąg zaczął mnie wwozić w głąb bułgarskiego królestwa. Sunął prędko i sprawnie przez przeciętny wiejsko-europejski krajobraz, przez nudne stacyjki i niewielkie miasteczka — tak właśnie jak powinien jechać pociąg w państwie, gdzie panujący król bardziej interesuje się sprawnością i szykiem swych lokomotyw, aniżeli swego kraju.

Na poszczególnych stacjach dosiadali się żołnierze niemieccy, jadący na swój „urlaub“. Gdziekolwiek z okien pociągu dostrzec można było kwatrujące powsiach oddziały niemieckiego Wehrmachtu.

Pod wieczór dojechaliśmy do Sofii. Tutaj dopiero buchnęło niemieczyną. Ściany i słupy dworca pokryte były rozlicznymi napisami niemieckimi, wskazującymi Niemcom cywilnym i wojskowym, zorganizowanym i luzakom, gdzie, w jakim pokoju dworca mają się meldować, gdzie dostaną kartkę do hotelu, a gdzie znów urządzuje punkt sanitarny, gdzie jest komendant niemiecki miasta, i którędy do najbliższej żandarmerii niemieckiej. Przez perony i sale niedużego i skromnego dworca przelewały się tłumy żołnierzy niemieckich wszelkiego rodzaju, z Wehrmachtu, z Luftwaffe i z Marine. Język niemiecki dominował.

Przed dworcem z niemałym trudem złapałem wolną taksówkę i kazałem się wieźć do jakiegoś hotelu w śródmieściu. Po niewielkim mieście krążyliśmy z dobrą godzinę, nim na koniec w bocznej uliczce, w trzeciorzędnym hoteliku, znalazł się wolny od okupacji niemieckiej pokój. Tu wprawdzie też kręciła się masa żołnierzy; podejrzewam, iż był to hotelik, w którym członkowie zaprzyjaźnionych sił zbrojnych „nocowali“ w dzień i w nocy. Szczęśliwy byłem jednak, że choć takie locum zdobyłem. Wobec wczesnego wieczoru ruszyłem na miasto rozejrzeć się trochę i zjeść kolację.

Miasto niewątpliwie piękne, przez swobodę i gest z jakim było budowane. Czyste chodniki, asfaltowe jezdnie błyszczące w świetle mnogich lamp. Tu i ówdzie dyskretnie, niewielkie, nierażące neony. Te piękne ulice są jednak jakby zamarte. Ledwo wczesny wieczór; o tej porze przedwojenna Warszawa zaczynała kipieć nocnym ruchem i tłokiem, — tutaj po zupełnie pustych ulicach

wałęsają się tylko niemrawi żołnierze niemieccy głodni międzynarodowej miłości. Do jedzenia nic nie mogłem dostać o tej porze. Poszedłem spać z pustym żołądkiem.

Zaraz następnego ranka zjawiłem się w konsulacie argentyńskim, mieszczącym się przy jednej z wielu uliczek wiodących swą nazwę od tytułu „car“, czyli po bułgarsku „król“. Ze sobą miałem bilecik od naszego attaché militaire w Stambule płk. Libicha; polecał on mnie konsulowi argentyńskiemu w Sofii p. Wallace'owi. Obaj panowie znali się z przed lat paru, z Rygi. Wallace przyjął mnie chłodno; na szczęście o nic nie potrzebowałem go prosić, rozmowa zaczęła i skończyła się szybko i konwencjonalnie. W jej rezultacie wiedziałem jedno na pewno — że w razie trudności z otrzymaniem bułgarskiej wizy wyjazdowej (miałem bułgarską pobytową, na wszelki wypadek) — mr. Wallace nic mi nie pomoże i nie należy wtajemniczać go w moje lewantyńskie wcielenie.

Wobec tego skomunikowałem się natychmiast — ten sam pałacyk konsularny, inna klatka schodowa — z panem Andrzejem I. Ucieszyliśmy się sobą niepomrotnie, tym bardziej, iż już w pierwszych chwilach rozmowy dogadaliśmy się do wspólnych znajomych. Pan I., równie jak ja, zamieszany był zimą 40 roku w „sprawę Kotta“ i właśnie u niego w mieszkaniu na ul. Suchej Kott po swej ucieczce z al. Szucha przemałowywał swoją czarną głowę na rudą. Andrzej I. uciekł z Polski akurat w ten sam wieczór, gdy w Warszawie zabity został Igo Sym. Z Budapesztu jechał do Zagrzebia jako kurier dyplomatyczny. W Zagrzebiu zastała go wojna jugosłowiańsko-niemiecka i przedzierał się sam, z rewolwerem wyniesionym jeszcze z Polski, przez walczące i walące się fronty. Na koniec dotarł do Sofii, gdzie spotkał swego starego znajomego jeszcze z tych czasów, gdy uciekłszy po maturze z Warszawy do Argentyny — dorobił się na handlu

świniami i kupił obszerną farmę. Pan Wallace był — i jest jeszcze — jego sąsiadem w Argentynie. Zaopiekował się nim, dał mu posadę w konsulacie. Był to maj. I. prędko rozpoczął tak ożywioną działalność wśród przemyskających się chyłkiem-boczką przez Bułgarię Polaków, że policja bułgarska najpierw go zaaresztowała, potem puściła na interwencję Wallace'a, na koniec doręczyła papier, iż do dnia 1 września b. r. musi, jako niewygodny cudzoziemiec, opuścić gościnną Bułgarię.

Położenie innych Polaków w Sofii — a było ich w tej chwili kilkunastu — nie było tak różowe, jak mego nowopoznanego znajomego. Wszyscy żyli na nielegalnej stopie, ukrywali się Bóg wie gdzie. W razie złapania policja bułgarska odprowadzała ich wpierw do placówki gestapo, a dopiero później, gdy wszechmocni sprzymierzeni nie zdradzali ochoty zaopiekowania się delikwentem, przytrzymywano go w areszcie bułgarskim, nie bardzo w takich razach wiedząc, co z delikwentem zrobić. Siedział więc biedak przez parę tygodni, za nielegalne mieszkanie w Sofii, — potem wypuszczano go na wolność i historia zaczynała się od nowa. Pomoc konsulatatu argentyńskiego była bardzo iluzoryczna. Wallace nie miał żadnych dyspozycji od własnego rządu, nie miał żadnych pieniędzy, a ponadto, litując się z dobrego serca nad niedolą Polaków, politycznie był sprzymierzeńcem Niemiec: żył w uroku oręża niemieckiego; o rządzie polskim w Londynie nie odzywał się inaczej, jak „banda głupców z Sikorskim na czele!“. Uważał za swój obowiązek interweniować w policji — ale już nie w gestapo — gdy ta aresztowała Polaka. Nie czuł się jednak w obowiązku pomóc takiemu Polakowi w przedostaniu się do Turcji. A to nie była prosta sprawa, jako iż granicę nader starannie obsadziły wojska niemieckie.

Andrzej I. zgodził się na propozycję Kurcyusza, za-

komunikowaną przeze mnie, by podjął się zorganizować w Sofii placówkę nielegalnego przerzutu. Szczególnie pomocnym miał mu być w tym zadaniu — tak długo jak sam nie opuści Bułgarii, gdyż i jemu pali się ziemia pod nogami — niejaki pan dr J. Pan J. była to postać z tego samego cyklu, co sędzia M. Też namiętny zwolennik stachniukowskich teorii, też zapalony realizator słowiańskiej jedności. Swą emigracyjną karierę rozpoczął w Bukareszcie, skąd jednak prędko wyniósł się do Beogradu, by pełnić przy tamtejszym poselstwie funkcje referenta od spraw słowiańskich. Koneksje w świecie serbskim miał ogromne; pracował wydajnie i owocnie. Gdy fatalnego dnia napadu niemieckiego na Jugosławię spóźnił się na ewakuacyjną zbiórkę ciała dyplomatycznego i został — oddał się pod opiekę swych jugosłowiańskich przyjaciół, którzy dostawili go całego i zdrowego do Sofii. Tu opiekowali się nim bułgarscy ludowcy, członkowie partii legendarnej Stambolińskiego, która, zdelegalizowana, pracując tajnie, podlegała gwałtownym prześladowaniom. Niedawno powieszono paru jej przywódców. Rząd bułgarski rozpoczynał w owym czasie totalne rządy państwowego terroru skierowanego przeciwko komunistom i ludowcom. Teror był tym ostrzejszy, iż ludność bułgarska odznaczała się zawsze dużą dążą historycznej i tradycyjnej przyjaźni wobec Rosji. Nie darmo na najpiękniejszym bulwarze w Sofii stoi pomnik Aleksandra — cara Oswobodziciela. Kult dla Rosji jest żywy w całym narodzie. A tymczasem rząd stowarzysza się z Niemcami, idącymi przeciw Rosji. Póki jeszcze przyjaźń z Niemcami ograniczała się do wrogości wobec Grecji czy nawet Serbii — sprawa nie była wewnętrznie tak groźna. Obecnie jednak, gdy w grę weszła Rosja — sytuacja zaostrzyła się, tym bardziej, iż bułgarscy komuniści przeszli do podziemnej ofensywy, politycznej i pro-

pagandowej. Po ulicach Sofii jeździło ich auto, nieustannie nadając antyrządowe audycje radiowe. Przy tym wszystkim jednak partia komunistyczna, mimo swej międzynarodowości, była słaba i nie potrafiła nawet zorganizować przerzutów przez „zieloną“ do Turcji. W takim właśnie środowisku — jak widać nie specjalnie spokojnym i bezpiecznym — znalazł się miły dr J.

Z dniem 22 czerwca życie jego nabrało nowego sensu. Klejenie przyjaźni słowiańskiej z Serbami, Chorwatami czy Bułgarami było niczym wobec zadania zbudowania pomostu między Polską a Rosją. Dr J. entuzjazmował się paktem Sikorskiego z Rosją i pragnął gwałtownie znaleźć się nie tyle w Turcji, co właśnie w Rosji, by praktycznie móc przyłożyć rękę do powstawania nowych form współżycia tych dwóch wielkich państw słowiańskich. Jego przyjaciele komuniści obiecywali, że gdy jeden z nich, pilot lotnictwa bułgarskiego, uciekać będzie wkrótce swym samolotem do Odessy czy na Krym — to zabierze go ze sobą. J. żył teraz tylko tą nadzieją. Nie przeszkadzało mu to jednak podjąć się ochoczo razem z Andrzejem I. zorganizowania punktu przerzutowego. Mieli już nawet w tym celu upatrzonych Polaków, od dziesiątków lat obywateli bułgarskich, nieposzlakowanej u władz policyjnych opinii. Przez Andrzeja I. posłałem Kurcyuszowi sprawozdawczą notatkę z rozmów i rozpocząłem starania o wizę wyjazdową, by ruszyć do Budapesztu.

Spotkałem mego egipskiego dyplomatę, który przywiózł kopertę z listami i pieniędzmi. Pożegnaliśmy się czule. Namawiał mnie bardzo bym był ostrożny. On też jest zawsze ostrożny...

Sofia była podówczas niemieckim miastem.

Wprawdzie meczety i nieprzeliczone rzesze czyścibu-

tów dobitnie świadczyły, iż miasto to należy już do strefy Bliskiego Wschodu — ale dominującym elementem była tu jednak niemieczyna. Ulice wypełnione tłumami Niemców — żołnierzy, lotników, marynarzy, chłopców z Hitlerjugend i dziewcząt z Bund Deutsches Mädel, członków SS, SA i SD. Raz po raz przejeżdżały samochody znakowane niemieckimi cyframi rejestracyjnymi. Wydawało mi się chwilami, iż Niemców było w Sofii więcej, niż jesienią roku 1939 u nas w Warszawie; Andrzej I. zapewniał mnie, iż teraz to już prawie ich nie ma. Żeby pan wiedział co się tu działo w maju i w czerwcu... ho, ho, ho! Trudno mi było sobie wyobrazić, ale zaczynałem rozumieć powoli dlaczego stambulscy dyplomaci przezornie wynosili swe walizy na drugą stronę cieśniny.

Flagi hitlerowskie wisiały gęściej niż bułgarskie. Z każdego rogu wyskakiwały jakieś kasetki, jakieś wystawy, jakieś postumenty, na których ustawiano ogromne znaki „V”. Sofia zarzucona była dosłownie tym kradzionym symbolem zwycięstwa, symbolem, którego Niemcy tak się panicznie bali.

Trzeba przyznać, iż historia z „V” była jednym z bardziej udanych tricków angielskich. Gdy przed paru tygodniami speaker BBC zapowiedział, iż rozpoczyna się na kontynencie ofensywa znaków „V”; — którymi miała się pokryć cała Europa okupowana, — rysowanymi i umieszczanymi rękami żołnierzy ruchów oporu — Niemcy straciły cierpliwość. Gdy pierwszej zaraz nocy po angielskim wezwaniu gmach niemieckiego konsulatu w Stambule pokrył się pisanymi kredą znakami „V”, gdy przypuszczalnie w całej Europie wykwitły na murach takie znaki — Goebels chwycił się genialnego środka, który wprawdzie bezpośrednio maskował, lecz pośrednio potwierdzał, siły anty-hitlerowskiego podziemia. Niemiecki

mistrz propagandy ogłosił, iż „V” jest niemieckim znakiem zwycięstwa. I oto w ciągu paru dni Niemcy w całej Europie wywiesili „V” czyli „Victoria”. Słowo angielskie, jakiego nie ma w słowniku niemieckim. Ten drobiazg jednak mało znaczył. W wyścigu „V” wygrały, rzecz jasna, Niemcy, lecz podjęcie przez nich tej rękawicy było sukcesem Anglii i umęczonej Europy.

Witryny księgarni sofijskich zavalone były niemieckimi wydawnictwami, kioski niemieckimi gazetami, wśród których wyróżniały się czerwone okładki „Signale” wydawanego w edycji bułgarskiej. „Signale” wydawano podówczas we wszystkich językach Europy, prócz polskiego, rosyjskiego i angielskiego.

Na wszystkich wystawach sklepowych wisiały portrety: króla Borysa po lewej stronie i Adolfa Hitlera po prawej. Ten sam porządek był zachowany w broszurkach-ulotkach, sławiących korzyści sojuszu Bułgarii z Niemcami. Broszurki drukowane były w języku bułgarskim, ale przywożono je samolotami z Wiednia. Andrzej I. był właśnie na lotnisku, gdy jeden z worków wynoszonych przez obsługę z wiedeńskiego samolotu pękł i wysypał się zeń plik takich ulotek. Podniósł parę i pokazywał mi w parę chwil później. Pachniały jeszcze świeżą drukarską farbą.

Sofia zapominała o tym, iż była stolicą państwa bułgarskiego. Gwałtownie upodabniała się do prowincjonalnego miasta Trzeciej Rzeszy. Pozornie było wszystko ładnie i przyjemnie. Pod stopy heilujących żołnierzy niemieckich rzucano kwiaty. Bawiono się i śmiano.

Były to jednak tylko pozory. Sklepy były puste. O żywność było trudno. Dni bezmięsnych przestrzegano tak ściśle, że w restauracji podano mi... befsztyk z jarzyn.

Aresztowania trwały bez przerwy. Lud burzył się po

cichu. Coraz to nowi działacze ludowi szli na szubienicę. Chłopi, robotnicy i inteligencja z nienawiścią patrzyli na pałac, gdzie rezydował w jednym skrzydle król, a w drugim była urządzona wspaniała restauracja, teraz z reguły zapelniona wyższymi oficerami niemieckimi.

Wizę wyjazdową dostałem bez trudu. Ta łatwość ucieszyła mnie, choć na chwilę obudziła nawet podejrzenia. Minęły szybko złe myśli — nie były jednak bezpodstawne, jak już wkrótce miałem się przekonać.

Siedemnastego sierpnia o dziewiątej rano ekspresem Sambuł — Wiedeń, łączącym sześć stolic, wyruszałem z Sofii, dalej w głąb niemieckiego „Neue Ordnung“. Teraz już każdy kilometr zbliżał mnie do Warszawy.

Z radością opuszczałem Sofię, tą jeszcze piękną twarz organizmu już zżeranego przez chorobę. Chorobę drugiej — w ciągu niecałego ćwierćwiecza, prawdopodobnie równie nieszczęśliwej jak pierwsza — współpracy dworu z Niemcami. Współpraca ta nie była zresztą taka dziwna. Borys i jego ojciec Ferdynand, wiedli swój ród z niemieckich książąt: z Cobourg-Gothów.

„...VOUS ETIEZ M. ROLAND PONS?”

Do Jugosławii stanowczo nie miałem szczęścia. Gdy jechałem z Węgier do Francji samochodem — to wobec braku automobilowego tryptyku i wynikających z tego obaw celników serbskich, że sprzedamy auto na terenie ich państwa — musieliśmy w ciągu jednej nocy i pół dnia przelecieć całą Sławonię. Teraz natomiast okoliczności niemieckiej okupacji sprawiły, że przez Serbię też muszę jechać tranzytem. Nie wolno mi wysiadać nawet na stacjach, prócz jednego dworca w Beogradzie, gdzie wypada mi zmieniać pociągi.

Niewiele widać z okien ekspresu. Jednak, gdy jedzie się przez Serbię jedno dostrzec można z całą pewnością: wojna w Jugosławii nie skończyła się w kwietniu. Trwa nadal.

Pociąg wije się górską doliną Morawy. Nie sposób oderwać oczu od bujnej natury, zaprezentowanej w całej swej skalisto-leśnej krasie. Przesuwamy się nad przepaściami i popod' górami. Raz po raz, co kilkanaście kilometrów na stokach jarów leżą wywrócone, wybebeszone, skręcone katastrofą, wagony kolejowe. Moi towarzysze z przedziału przy każdym takim widoku szepcą gorliwie między sobą. Z jednym z nich, kupcem z Beogradu udaje mi się na koniec nawiązać rozmowę. Oczywiście po niemiecku, gdyż — o ironio losów! — jest to najbardziej zrozumiały i wspólny język dla wszystkich Słowian, a szczególnie dla tych, którzy mieli do czynie-

nia ze ś. p. monarchią austriacką. Obywatel Beogradu objaśnia mi to półgłosem, iż jazda tym efektownym ekspresem Wiedeń — Sztambuł nie należy do spraw najbezpieczniejszych. Partyzanci poukrywani w ostępach Starej Serbii ze szczególną gwałtownością atakują właśnie tę linię Jugosławii, o kluczowym międzynarodowym znaczeniu dla okupanta. Wojska niemieckie strzegą jej ze specjalną gorliwością. Ustrzec jednak linię jest wprost niesposób. Zwłaszcza w takich górach, wśród lasów i jarów, będących naturalnymi sprzymierzeńcami partyzantów. W tych górach można walczyć latami. Nic dziwnego, iż partyzantka jugosłowiańska trwa od pierwszego momentu, gdy komenda Wehrmachtu zawiadomiła lakonicznie świat cały, iż walki w Jugosławii należy uważać za zakończone. Wtedy dopiero zaczęły się one.

Kupiona na granicy bułgarsko-jugosłowiańskiej niemiecka „Donau-Zeitung“ donosi, iż wojska niemieckie stoczyły w Bośni regularną bitwę z „komunistycznymi bandami“. Bandy te musiały być znakomicie wyekwipowane, jeżeli w rezultacie potyczki wycofały się własnym pociągiem pancernym. W Starej Serbii bitew nie ma — góry i lasy opanowane są przez oddziały gen. Michajłowicza, oficera podporządkowanego jugosłowiańskiemu rządowi w Londynie. W Bośni działają inne wojska partyzanckie — jakiegoś tajemniczego Tito, o którym w tym czasie jeszcze nikt nie pewnego nie wiedział, prócz tego, iż odmawiał on posłuszeństwa królowi Piotrowi. W kraju, przez który sunie pociąg — tylko linia kolejowa jest w rękach niemieckich oddziałów. A nawet i to jest — jak wyraźnie widać ze śladów licznych katastrof — nader problematyczne.

Nie tylko z okien wagonu widać ślady wojny. W samym pociągu znać okupację: w wagonie restauracyj-

nym, doczepionym widocznie tylko dla „szyku“, prócz kufelków ohydneho piwa, nic dostać nie można. Pod tym względem w Bułgarii było inaczej i miałem wyjątkowe szczęście, iż dzisiejszy obiad zjadłem jeszcze w królestwie Borysa.

Przez Starą Serbię jechaliśmy dzień cały. Podróż była zasadniczo spokojna. Mijały nas w obie strony idące pociągi ze sprzętem wojennym, przeznaczonym dla wojsk Rommla walczących w Afryce. Konwojowali je żołnierze niemieccy w piaskowych, tropikalnych mundurach, z palemkami wyszytymi na rękawach.

Raz jeden tylko serce załopotало mi w sposób niezbyt przyjemny. Na którejś ze stacji, gdy staliśmy przez czas dłuższy, raptem podniósł się wielki harmider. Niemieccy żołnierze zaczęli biegać po peronie, ludzie krzyczeli, klasnęły dwa strzały. Wieść gminna przyniosła zaraz do wagonu relację: wśród podróżnych pociągu ukryto ...angielskiego szpiega. Angielski szpieg — to było wszystko. Mógł to być pasażer jadący na gapę, mógł być byle cudzoziemiec, jakich bez paszportów i wiz kręciło się po Bałkanach wielu, mógł być jakiś rozpoznany w wagonie partyzant serbski, mógł być wreszcie i ktoś, kto podróżował w sposób i z celem podobnym memu. Jakiś przedziwny Francuz czy Amerykanin. Z lekka ścierpła mi skóra na grzbiecie.

Ciemno było, gdy dojechaliśmy do Beogradu. Mimo zmroku znać ślady bombardowania miasta. Mijane domy miały potrzaskane fronty lub piętra, огоłocone z pokrycia dachy. Dworzec serbskiej stolicy zburzony był częściowo. Z trudem odnalazłem w ciemnościach kasę biletową, ukrytą w jakiejś obskurnej izdebce. Kupiłem bilet do Nowego Sadu czyli po węgiersku Ujvideku, granicznej stacji. Orbis w Sofii nie sprzedawał biletów inaczej, jak tylko do granicy bułgarskiej. Tam mogłem ku-

pić bilet tylko do Belgradu. Tutaj — do Ujvideku. A dopiero w Ujvideku dostanę bilet do Budapesztu. Jest to wyjątkowo niepraktyczne ze względów walutowych; walut mam skąpo, a zaszytych dolarów w drodze nie mogę zamieniać.

Na stacji muszę czekać czas jakiś, nim nadejdzie pociąg do Budapesztu. Siadam w kącie peronu, by najmniej być zauważanym. Ciemność dworca, przejmująco dziwna nieokreśloność tego miasta, o którym wiem tylko tyle, że gestapo wyłapało tu wszelkie nasze placówki i bazy — wzbudzają we mnie lęki, które trudno opanowuję. Rad jestem niezmiernie, gdy na koniec zajeżdża pociąg i mogę zawinąć się w pled w rogu pustego pulmanowskiego przedziału. Według informacji konduktora, już za godzinę winniśmy być na miejscu, na granicy węgierskiej.

Przedział jest zupełnie pusty, wyciągam się na ławce i zasypiam snem sprawiedliwym. Przez sen czuję, iż jedziemy już bardzo długo, iż zapowiadana godzina dawno minęła; czuję jak przedział zapełnia się powoli, ktoś zsuwa mnie delikatnie do połowy ławki i sam kładzie się na drugiej połowie. Na koniec światło dzienne wpada do przedziału, budzę się i z mocnym zdziwieniem konstatuje, iż pociąg powoli jedzie, a w przedziale prócz mnie siedzi jakiś jegomość ubrany w nieznany mi mundur, z czerwoną hitlerowską opaską na rękawie. Pytam go po niemiecku, czy jesteśmy już w Ujvideku i dlaczego tak długo jedziemy? Okazało się, iż do Ujvideku dopiero dojeżdżamy, i że jechaliśmy okrężną trasą, gdyż wczoraj wieczorem wysadzono most na Dunaju, przez który idzie najkrótsza linia kolejowa łącząca Beograd z Ujvidekiem, linia licząca coś około czterdziestu kilometrów. Musieliśmy szukać drugiego mostu, aż w Chorwacji, i dlatego

przyjeżdżamy do Ujvideku z takim opóźnieniem i z zupełnie innej strony.

Jestem niezadowolony ze spóźnienia, jedną chwilą chciałbym być już w Budapeszcie, ale równocześnie raduję się, że w Jugosławii wojna trwa, że szkopy mają takie kolejowe kłopoty.

W Ujvideku kontrola paszpartów jest bardzo uprzejma. Węgrzy są elegancy, nie chcą rewidować mojej walizki, tylko na moment zabierają mi paszport do drugiego przydziału i zwracają już opieczętowany przepiśsowo i regulaminowo.

Znów poddaję się podobnym uczuciom, jak przed półtora rokiem, kiedy na te same Węgry wchodziłem przez „zieloną granicę“ od zupełnie innej strony, od północy. Wydaje mi się, iż w tym kraju jestem już zupełnie bezpieczny. Cieszę się jak dziecko, że minąłem już niebezpieczną strefę, za jaką uważałem Jugosławię.

W Ujvideku nie ma już Niemców. Wszędzie widać już tylko śmieszne węgierskie ukośne kepi, trójkątne wstążeczki u mnogich medali, kogucie pióra żandarmów i cały c. i k. nastrój, jaki w tym kraju przechował się, nieczym pod szklanym kloszem.

Przez równinę węgierską pociąg pędzi żwawo. Nie widać tu śladów katastrof, nie widać zbombardowanych miasteczek, popalonych wsi. Poranne słońce wyłącza rżyska. Jestem uradowany i dobrej myśli. Bez lęku patrzę na mych towarzyszy podróży, którzy już zatłoczyli wagon i przedział. Odnoszę wrażenie, iż w kraju tym nie ma wojny. Wszyscy są porządnie ubrani i gaworzą z radosnym ożywieniem.

W Pesc czyli Pięciokościolach kupiłem „Pester Lloyd“, stary, rządowy węgierski dziennik, wydawany po niemiecku pod angielskim tytułem. Dowiedziałem się, że ostatecznie został przed trzema dniami wzięty Smoleńsk

i że tego samego dnia — czternaściego sierpnia — na Atlantyku Prezydent Roosevelt i mr. Churchill podpisali Kartę Atlantycką. Uradowała mnie ta wiadomość, nie ze względu na treść dokumentu, której „Pester Lloyd” nie podawał, lecz ze względu na sam fakt. Od tej chwili mogłem już nieomylnie liczyć na przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny. Uważałem fakt, że wiadomość ta dosięgła mnie właśnie w chwili, gdy koło moich podróży przez czternaście krajów, wszystkimi możliwymi środkami komunikacji lądowej, morskiej i powietrznej — lada godzina zamknie się przyjazdem do Budapesztu, — za doskonały prognostyk dalszych poczyną.

Dopiero w wagonie restauracyjnym, który znów, minawszy granicę Jugosławii, wypełnił się frykasami, dostrzegłem pewne zmiany, jakie w tym kraju, zaszyły od czasów, gdy go żegnał w marcu 1940 roku. Jedzenia było jeszcze w bród. Zażądałem jajek na miękko — dostałem. Chleba, bułek i masła postawiono przede mną do nieograniczonej konsumpcji. Tylko resztę z banknotów wydano mi w bilonie wojennym — aluminiowym, nie srebrnym. Tak lekkim, że ułożony na dłoni sfruwał z niej przy mocniejszym dmuchnięciu. Był to pierwszy znak, spostrzeżony na Węgrzech, że państwo prowadzi jakąś wojnę, że ma trudności gospodarcze. Gdybym w dwaście dni później jechał tym samym wagonem jadalnym — nie dostałbym już ani jajek, ani tak szczerze udzielanego chleba i masła. Zaczynały obowiązywać restrykcje aprowizacyjne.

Koło południa zaczęliśmy zbliżać się do Budapesztu. Stojąc w oknie przedziału łapczywie łowiłem każdy znajomy kąt. Poznawałem z radością wprost dziecinną przedmiejskie dworce. Z oddali próbowałem nazwać kształty stołecznych budowli. Zdawało mi się, iż dojazd

do Budapesztu jest podobny dojazdowi do Warszawy. Wiedziałem, że stamtąd już tylko jeden skok, jeden jeszcze tylko wysilek i jeszcze łapczywiej wypatrywać będę wyłaniającą się z porannej mgły niewykończoną, ściętą wieżę kościoła świętego Jakuba. Wiedziałem, iż w Budapeszcie czekają na mnie wiadomości o bliskich i najbliższych. Pośpiesznie, ze wzruszeniem, czynilem w myślach krótki rachunek mej osiemnastomiesięcznej wędrówki, w czasie której poznałem dziesięć przeróżnych wojen. Z nich każda była inna, indywidualna, do drugiej niepodobna, a wszystkie one razem składały się nieustannie na ten wielki i straszny akt historyczny, zwany drugą wojną europejską. Pośpiesznie przebiegałem w myślach te różne wojny. Tę namiętnie przeżył, przecierpiał, przeklął tylekroć wojnę we Francji. Tę krwawą, lecz krzepiącą i dumną wojnę gruzów i bomb w Londynie i w Szkocji. Tę zaskakującą i wygodną wojnę na morzu. Tę upalną i pracowitą w Takoradi i na powietrznych szlakach Afryki. Tę abisyńską i jedyną już zwycięską w Chartumie. Tę ciekawą w Egipcie, neutralną w Turcji, nieszczęśliwą w Bułgarii, partyzancką w Jugosławii. I wreszcie tę, którą oglądam teraz właśnie, tę „wojnę — jeszcze nie wojnę“ — na Węgrzech.

Teraz koło wojen zamyka się. Przede mną znajduje się następna wojna — drugi raz wojna podziemna w Polsce.

Pociąg już wjeżdżał w śródmieście Budapesztu. Czulem w sobie wielką i niecierpliwą radość. Ściągałem walizkę z półki. Zostawiłem niedojedzony blok tureckiej czekolady. Słownik francusko-niemiecki z cenną zawartością okładki włożyłem do kieszeni marynarki.

Wjeżdżaliśmy na Dworzec Południowy — Keleti Pályaudvar.

W tłocznej kolejce wysiadłem na koniec z wagonu.

Szedłem śpiesznie przez peron. Nieoczekiwanie wyrosła przede mną barczysta postać eleganckiego bruneta w jasnym garniturze. W rękę trzymał zwinięty w rulonik numer „Signale“. Poznałem w nim jednego z pasażerów naszego wagonu. Zatrzymał mnie i zapytał się uprzejmie, po francusku:

— Pardon monsieur. Vous etiez monsieur Roland Pons?

Tysiączne myśli przemknęły mi w dzikiej galopadzie przez głowę. Któż to może być? Kto mnie poznał? Czy ktoś z naszej placówki mógł mnie oczekiwać? Onie miałem. Z trudem rzekłem:

— Oui.

— Będzie pan więc łaskaw — brunet ciągnął dalej po francusku — udać się wraz ze mną na węgierską policję państwową!

W tej chwili zauważyłem, iż trzech innych agentów cywilnych stało już koło mnie.

— Jestem aresztowany?

— Nie, to drobiazg. Zaraz się sprawa wyjaśni.

Uczułem się dziwnie opanowany i spokojny. Wiedziałem już jedno na pewno: wpadłem. Ale jak? Przez kogo? Przez co?

W małym osobowym aucie usiedliśmy ciasno. Dwaj agenci ścisnęli mnie między sobą. Jeden z nich wyjął rewolwer z kieszeni.

Staralem się być możliwie opanowany; nie myśleć o tym, że jestem aresztowany, lecz o tym jak tu ewentualnie uciec. Staralem się rozpoznać ulice, przez które jechaliśmy. Bezskutecznie. Nie byłem tu nigdy lub też w letniej szacie Budapeszt wyglądał odmiennie. Przejechaliśmy most. Auto zatrzymało się przed zwykłym, brzydkim, trzypiętrowym, żółtym gmachem.

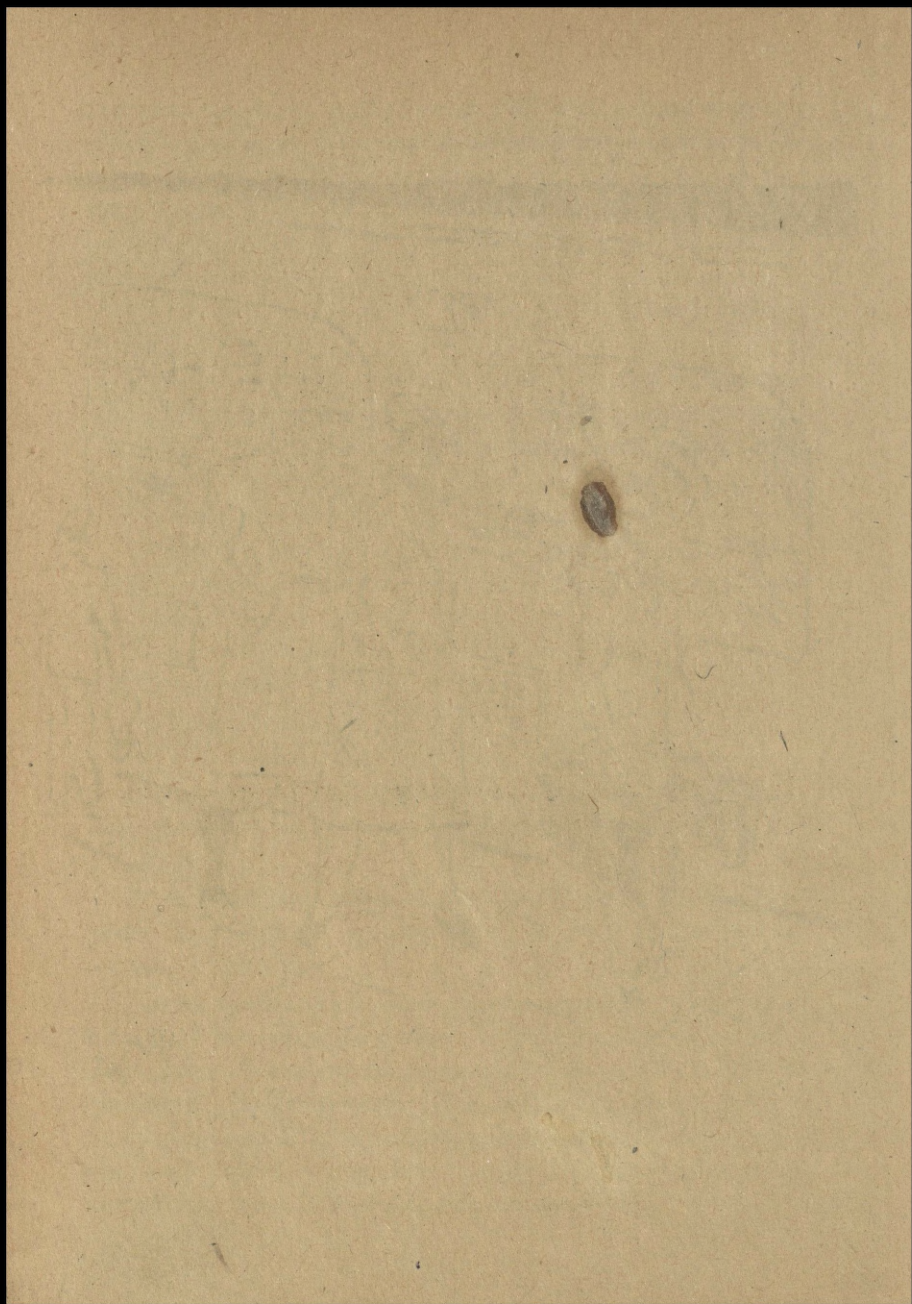


40936



4-5/47





Chwycono moją walizkę. Wskazano schody, zakończone wielką żelazną kratą.

Otworzyła się przed nowym gościem; gdy ją przeszliśmy — trzasnęła z hałasem.

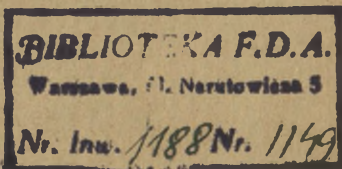
Zostałem aresztowany. Po raz drugi w życiu i po raz drugi na Węgrzech. Tym razem wprawdzie nie jako biedny uciekinier z Polski, lecz jako Francuz, Roland Pons, z fałszywymi dokumentami, z instrukcjami radiowymi w słowniku, z dolarami, i — co najgorsze — z jakąś denuncjacją, o której nic nie wiem.

Koło mojej podróży rzeczywiście zamknęło się w Budapeszcie.

Warszawa, 1946.

K O N I E C

Dalszy ciąg podróży, zakończonej powrotem do kraju, opowiedziany zostanie w książce p. t. „Dwa bratanki“.



SPIS ROZDZIAŁÓW

	str.
Cup of tea	9
Memento mori...	19
Bóg jest za wysoko	30
Freetown	39
Niewielkie miasto wielkiej kariery	50
Wielka wojna w Takoradi	59
„Biali i czarni”	67
Nasi niedaleko równika	80
Lagos	87
Ponad puszcza i pustynią	99
W najstarszym mieście świata	106
El Fasher	114
Chartum	123
Tropami Stasia i Nel	134
Wiatr od pustyni	140
Rozczarowania kairskie	148
Wojnę znać w nocy	162
Kłopoty płk. Aleka	175
Od Suezu do Bosforu	183
Na Ayas Pasza	191
Tureckie rozdroża	207
Miasto potrójnej wielkości	220
Jeszcze jedna wojna	230
Selon Stambul	240
Adampol — grzech Polski	249
Niech żyją Czesil	257
W krainie europejskiego „V”	265
„...vous etiez m. Roland Pons?”	275



100281

1